RACHUNKI Z BALCEROWICZEM

UKRAINA: CZAS PRZESILENIA

BAJKOWY ADWENT

MASECKI: TANGO JEST POLSKIE

Kraków 29 listopada – 5 grudnia 2023 nr 49 (3882) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

# TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

# Ostatnia lekcja religii

- CO ZEPSUŁ KOŚCIÓŁ
- CO ZROBI PAŃSTWO
- CZEGO CHCĄ UCZNIOWIE

STRONY SPECJALNE

FUNDACJA INTEGRALIA

CENTRUM MEDYCYNY OBLICZENIOWEJ SANO

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

GEERS DOBRY SŁUCH

# Cukrzyca – czynnik ryzyka ubytku słuchu

Na sprawność słuchu danej osoby mają wpływ czynniki genetyczne, biologiczne, psychospołeczne i środowiskowe występujące w ciągu całego życia. Wymienione czynniki oddziałują na uszy i mogą powodować ubytek słuchu lub chronić przed nim[1]. **Niedawno odkryto, że cukrzyca jest czynnikiem zwiększającym ryzyko ubytku słuchu**[2,3]. Cukrzyca pojawia się, gdy w organizmie utrzymuje się podwyższony poziom glukozy we krwi, bo organizm nie jest w stanie efektywnie produkować lub wykorzystywać insuliny. Cukrzyca może uszkodzić wiele narządów, doprowadzając do groźnych powikłań, takich jak choroby układu krążenia oraz uszkodzenie nerwów, nerek i oczu[4].

**Występowanie cukrzycy**[4]

- 537 milionów osób dorosłych choruje na cukrzycę
- Gwałtownie rosnąca liczba przypadków: prognozuje się, że do 2030 roku liczba ta sięgnie 643 milionów
- **Cukrzyca typu 2 występuje najczęściej:** to około 90% ogółu przypadków tej choroby

## Ubytek słuchu a cukrzyca typu 2:

- Cukrzyca typu 2 jest powiązana z ubytkiem słuchu[5,6,7,8,9].
- Ubytek słuchu występuje statystycznie znacząco częściej w grupach badanych cierpiących na cukrzycę typu 2, w porównaniu z grupami osób nie chorujących na cukrzycę[5,6,7,8,9].
- U osób chorujących na cukrzycę typu 2 stwierdza się częściej lekki ubytek słuchu (progi słyszenia powyżej 25 dB HL) przy wysokich konwencjonalnych częstotliwościach audiometrycznych (4–8 kHz) w porównaniu z osobami niechorującymi na cukrzycę[5,6,8,9].

Przykładowo na podstawie przeglądu systematycznego i metaanalizy 18 badań[5] wykazano, że ogólna częstotliwość występowania ubytku słuchu była niemal dwukrotnie wyższa (1,91x) w grupie osób chorujących na cukrzycę.

Częstotliwość występowania ubytku słuchu wynosiła od 44% do 70% w grupach osób chorych na cukrzycę typu 2 i była znacznie wyższa niż w grupach kontrolnych (od 20% do 49%).

Nie można jeszcze jednoznacznie ocenić, czy zwiększona częstość występowania ubytku słuchu u osób z cukrzycą typu 2 odzwierciedla związek przyczynowo-skutkowy, czy jest tylko korelacją wynikającą ze wspólnych procesów biologicznych[10]. Niemniej jednak osoby chorujące na cukrzycę są bardziej narażone na ubytek słuchu i w związku z tym ich słuch należy monitorować w celu wczesnego rozpoznania jego pogorszenia i rozpoczęcia rehabilitacji.[1]

Szacuje się, że wśród osób dorosłych w wieku 65 lat i starszych 33% choruje na cukrzycę[11].

**W związku z rosnącą częstością występowania cukrzycy typu 2[4] oraz znaczną liczbą dowodów potwierdzających związek między występowaniem cukrzycy typu 2 a ubytkiem słuchu[5,6,7,8,9] ważne jest, aby u pacjentów chorujących na cukrzycę typu 2 przeprowadzać badania przesiewowe pod kątem ubytku słuchu oraz objąć tych pacjentów kompleksową opieką – zapewnianą przez lekarzy pierwszego kontaktu, otorynolaryngologów i protetyków słuchu działających w ramach ścisłej współpracy.**

## BEZPŁATNA KONTROLA SŁUCHU w placówkach GEERS

**na terenie całej Polski** pod adresem **www.geers.pl**

[1] Światowa Organizacja Zdrowia (WHO). 2021. *World report on hearing*. Licencja: CC BY-NC-SA 3.0 IGO. https://www.who.int/publications/i/item/world-report-on-hearing [2] Draznin, B., Aroda, V. R., Bakris, G., Benson, G., Brown, F. M., Freeman, R., ... & Kosiborod, M. (2022). 4. Comprehensive Medical Evaluation and Assessment of Comorbidities: Standards of Medical Care in Diabetes-2022. *Diabetes Care, 45* (Supplement_1), S46-S59. [3] American Diabetes Association. *Diabetes and Hearing Loss*. Dane pozyskane 29 listopada 2022 r. ze strony: https://diabetes.org/diabetes/diabetes-and-hearing-loss [4] International Diabetes Federation (IDF). 2021. *IDF Diabetes Atlas* (10th ed.). https://diabetesatlas.org/atlas/tenth-edition/ [5] Akinpelu, O. V., Mujica-Mota, M., i Daniel, S. J. (2014). Is type 2 diabetes mellitus associated with alterations in hearing? A systematic review and meta-analysis. *The Laryngoscope, 124*(3), 767-776. [6] Li, J., Zhang, Y., Fu, X., Bi, J., Li, Y., Liu, B., i Zhang, L. (2018). Alteration of auditory function in type 2 diabetic and pre-diabetic patients. *Acta Oto-Laryngologica, 138*(6), 542-547. [7] Li, Y., Liu, B., Li, J., Xin, L., i Zhou, Q. (2020). Early detection of hearing impairment in type 2 diabetic patients. *Acta Oto-Laryngologica, 140*(2), 133-139. [8] Ren, H., Wang, Z., Mao, Z., Zhang, P., Wang, C., Liu, A., & Yuan, G. (2017). Hearing loss in type 2 diabetes in association with diabetic neuropathy. *Archives of Medical Research, 48*(7), 631-637. [9] Ren, J., Ma, F., Zhou, Y., Xu, A., Zhang, J., Ma, R., & Xiao, X. (2018). Hearing impairment in type 2 diabetics and patients with early diabetic nephropathy. *Journal of Diabetes and its Complications, 32*(6), 575-579. [10] Samocha-Bonet, D., Wu, B., & Ryugo, D. K. (2021). Diabetes mellitus and hearing loss: A review. Ageing Research Reviews, 71, 101423. [11] Endocrine Society. (2022, January). *Diabetes and older adults*. Dane pozyskane 29 listopada 2022 r., ze strony: https://www.endocrine.org/patient-engagement/endocrine-library/diabetes-and-older-adults

KS. ADAM

# Boniecki: *Upiększanie wiary*

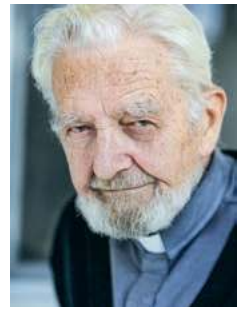

Nie wszystko jest starożytne. Wieniec adwentowy wprowadził dopiero Johann Hinrich Wichern w szkole dla sierot w Hamburgu w 1839 r. Potem, kiedy został skierowany do Berlina (w 1860 r.), przeniósł tam ten zwyczaj (zmniejszając liczbę świeczek z dwudziestu czterech do czterech). Wieniec się przyjął i zawędrował do różnych krajów katolickich. Do Polski trafił w 1925 r. A Boże Narodzenie zaczęto obchodzić w IV-VI wieku. Wtedy ustanowiono to święto. Kwestię daty uregulował Grzegorz Wielki (590-604) i od tego czasu adwent trwa cztery tygodnie. Nigdy Kościół nie sugerował, że data święta odpowiada rzeczywistej dacie narodzin Jezusa. Ustalenie daty święta Bożego Narodzenia najprawdopodobniej było zależne od innych – nazwijmy je duszpasterskimi – racji.

Lubimy opowieści o narodzeniu Jezusa. Przywykliśmy, pewnie także dzięki kolędom, do opisu narodzin Jezusa, do aniołów, do cudownej gwiazdy i innych zjawisk. Nie zadajemy pytań o ich prawdziwość czy brak prawdziwości, ale albo się po prostu radujemy z Narodzin Jezusa, albo odrzucamy wszystko, co się z tym urodzeniem – z jego opisami – wiąże. Dziś jest jasne, że opisy wydarzeń związanych z wiarą były ozdabiane szczegółami, które tę wiarę miały podtrzymywać. Wiara w Jezusa niekoniecznie musi oznaczać wiarę w anielskie śpiewy (z podanym tekstem) i inne wydarzenia (jak np. sen Józefa). Nie wszystko, co zapisano, należy brać dosłownie.

Upiększanie tekstów tymi niezwykłymi szczegółami stanowiło podkreślenie niezwykłego charakteru wydarzeń, które bez nich, na pierwszy rzut oka, mogły wyglądać nazbyt zwyczajnie. Nie twierdzę, że nie było wydarzeń cudownych, ale cuda nie zawsze i nie wszystkich rzucają na kolana.

Pan Johann Hinrich Wichern z pewnością nie był ani pierwszym, ani jedynym, który ubogacił obchody Bożego Narodzenia. Wcześniej i gruntowniej zrobił to Franciszek z Asyżu, a z pewnością przed nim i po nim – wielu innych. Nie ma w tym nic złego, byle nie zapomnieć, co jest naszym wspomnieniem, naszym wyobrażeniem i naszą produkcją, co zaś dziełem Pana Boga. Nasze ludzkie pomysły się starzeją. Rewolucyjne w jakimś etapie historii, z czasem mogą stać się banalne i nie spełniać dawnej funkcji, zwłaszcza jeśli z czasem przybierają postać kiczu.

Te upiększenia nie byłyby niczym złym, gdyby nie wiązały się z nimi pieniądze. Nie udawajmy, że nie wiemy, jak wiele „nabożnych praktyk" taki właśnie miało cel: by pod religijnym pretekstem wyciągnąć od ludzi pieniądze. Pieniądze są potrzebne do funkcjonowania Kościoła, lecz sposoby ich zdobywania... niestety łatwo tu stracić umiar.

Sposób działania obecnego papieża przeraża wielu pobożnych ludzi. Przeraża m.in. dlatego, że do tej pory (przynajmniej za naszej pamięci) żaden papież nie rozpoczął wojny z największymi wadami instytucji znanej jako święty, powszechny, rzymski Kościół. Zmagania te mają swoje blaski i cienie. Papież z pewnością czasem się myli, czasem, całkiem po ludzku, przesadza lub zbyt łatwo rezygnuje. Jednak w zasadniczej sprawie, którą jest przywrócenie świętości Kościoła, ma rację. Nawet jeśli niekiedy nie potrafimy wszystkich jego decyzji zrozumieć, może mieć rację, którą mu po latach przyznamy.

Papież Franciszek walczy o prawdziwy obraz Kościoła. Nie zwalcza rzeczy drugorzędnych, moralnie obojętnych, choć niekoniecznie bliskich istocie Kościoła. Urzęduje w Watykanie, choć na mieszkanie wybrał sobie hotel (tak, w Watykanie, ale jednak hotel), korzysta z Watykanu, kiedy mu wygodniej. Co ważniejsze, papież Franciszek irytuje wielu. Są to różnego typu irytacje. Jednych irytuje walką z nadużyciami, innych swoją otwartością na słuchanie i podejmowanie rzeczy, które są (zdaniem zirytowanych) trudne do pogodzenia z wiarą. A jednak – powtarzam to uporczywie – jest papieżem opatrznościowym. Opatrznościowym, bo odważnym. Po nim przyjdą inni, kolejni papieże. Konia z rzędem temu, kto zdoła przewidzieć, jacy będą, lecz na pewno będą tacy, jakich trzeba. Kościół nie jest firmą czysto ziemską, dlatego nas zaskakuje. Nie tylko zaskakuje osobami na jego czele, ale także tym, co robi, a czego my byśmy na pewno nie zrobili. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Podkastu Tygodnika Powszechnego słucha już ponad **80 000** osób.

Dziękujemy!

dołącz!

**20 Rachunki z Balcerowiczem**
MAREK RABIJ
*On sam uważa się za strażnika kanonu zdrowej ekonomii. Młodszym ekspertom, którzy właśnie przejmują stery polskiej gospodarki, Leszek Balcerowicz jawi się jako ktoś, kto nie uczy się ani na swoich, ani na cudzych błędach.*

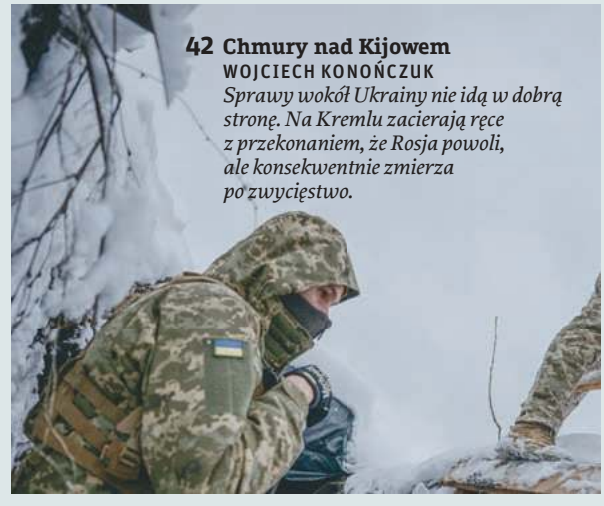

**42 Chmury nad Kijowem**
WOJCIECH KONOŃCZUK
*Sprawy wokół Ukrainy nie idą w dobrą stronę. Na Kremlu zacierają ręce z przekonaniem, że Rosja powoli, ale konsekwentnie zmierza po zwycięstwo.*

ADWENT

**32 Świeżość Boga**
PIOTR SIKORA
*Adwent przypomina, że stale przychodzi do nas nowa religijna rzeczywistość. Nowość ta otwiera możliwość zmian form naszej religijności i postaci wspólnoty Kościoła.*

**86 25 dni z książką**
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK
*Kalendarz adwentowy nie musi pachnieć czekoladą ani brzęczeć zabawkami schowanymi w maleńkich skrytkach. Czekać na święta można z opowieścią, która koi dziecięce smutki.*

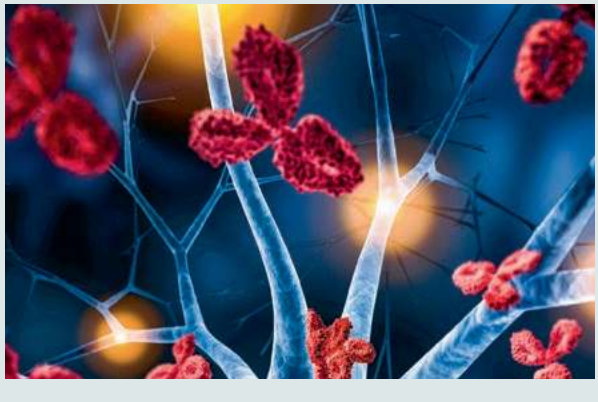

**64 Odwrotne szczepionki**
ANNA BARTOSIK
*Choroby autoimmunologiczne są wynikiem fatalnej pomyłki – organizm sam zwalcza swoje tkanki i narządy. Nowe eksperymenty sugerują pomysłowy sposób, jak je leczyć.*

**70 Taki jestem, spójrz!**
ROZMOWA Z MARCINEM MASECKIM, MUZYKIEM:
*Wcześniej zrealizowałem wiele spektakularnych projektów, ale często łatwiej jest zrobić pokaz fajerwerków, niż rozmawiać na scenie ze swoim wewnętrznym dzieckiem czy wywoływać duchy przodków.*

TOMASZ GZELL / PAP // OZGE ELIF KIZIL / ANADOLU / EAST NEWS // MAGDALENA KWAPIŃSKA / MATERIAŁY PRASOWE // KUBA DĄBROWSKI / MATERIAŁY PRASOWE // SHUTTERSTOCK // JOE GIDDENS / PA IMAGES / FORUM

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

**6 Bardzo długie przesilenie**
MAREK KĘSKRAWIEC

**8-9 Komentarze**

**10-11 Wydarzenia**

■ ■ CZYTANIA

**18-19** MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, KARD. GRZEGORZ RYŚ, PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

**20 Rachunki z Balcerowiczem**
MAREK RABIJ

**24 Narracja pilnie poszukiwana**
RAFAŁ MATYJA: *Potrzebujemy nowej doktryny sprawowania władzy*

**27 Biedni współczują bardziej**
SZYMON ŻYŚKO: *Blisko 1,8 mln Polaków żyje w skrajnym ubóstwie. Nowy raport Szlachetnej Paczki budzi wielki niepokój*

■ ■ WIARA

**32 Świeżość Boga**
PIOTR SIKORA

**36 Ojciec święty i jego wykręty**
EDWARD AUGUSTYN
*o głośnych słowach papieża Franciszka*

**38 Nowe życie katedry**
ANNA GARYCKA Z PARYŻA: *Otwarcie Notre-Dame po pożarze już za rok. A Francuzi czekają na to już dziś*

■ ■ ŚWIAT

**42 Chmury nad Kijowem**
WOJCIECH KONOŃCZUK

**45 Cena władzy**
AGNIESZKA ZIELIŃSKA: *Na ulicach protestuje milion ludzi. Co się dzieje w Hiszpanii?*

TEMAT TYGODNIKA

**12 Lekcje z religii**
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Nowa władza może i namiesza w szkolnej katechezie, ale z publicznej oświaty jej nie wyrzuci. Anachroniczna, niespójna i nudnawa, będzie znikać sama. Na życzenie Kościoła.

PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

■ STRONY SPECJALNE ■

**59 FUNDACJA INTEGRALIA**

**68 CENTRUM MEDYCYNY OBLICZENIOWEJ SANO**

■ FELIETONY ■

**31** TOMASZ STAWISZYŃSKI
**41** WOJCIECH BONOWICZ **53** JACEK PODSIADŁO
**84** OLGA DRENDA **85** PAWEŁ BRAVO
**90** STANISŁAW MANCEWICZ
**90** BARTOSZ MINKIEWICZ

ILUSTRACJA NA OKŁADCE:
KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

**46 Czesi murem za Izraelem**
MARTYNA WASIUTA Z PRAGI: *Dlaczego Czechy tak jednoznacznie popierają państwo żydowskie?*

**48 Mamy już dość bólu**
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET: *Czy po tej wojnie jest szansa na pokój między Żydami i Arabami?*

**50 Argentyna na nowo**
DOMA MATEJKO: *Kim jest Javier Milei, prawicowo-ultraliberalny nowy prezydent Argentyny*

■ ■ HISTORIA

**54 Antypolska akcja we wsi Barysz**
ANNA WYLEGAŁA
*o rzezi w Galicji Wschodniej*

■ ■ NAUKA

**64 Odwrotne szczepionki**
ANNA BARTOSIK

■ ■ KULTURA

**70 Taki jestem, spójrz!**
ROZMOWA Z MARCINEM MASECKIM

**74 Nowe szaty „Cracovii"**
BEATA CHOMĄTOWSKA: *Czy dawny krakowski hotel zamieni się w muzeum*

**78 Inna awangarda**
PIOTR KOSIEWSKI
*o wystawie fotografii Moï Vera*

**80 Hasło nieprawidłowe**
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „W nich cała nadzieja" Piotra Biedronia*

**81 Bez lukru**
LEKTOR *o „Przepierkach" Julii Przyboś*

**83 Tygodnik Czytelników**

■ ■ ZMYSŁY

**86 25 dni z książką**
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

**Kiedy przyjdą pierwsze pieniądze z KPO?**
*Zgoda Brukseli na zaliczkę dla Polski z Funduszu Odbudowy to ani „odmrożenie KPO", ani zasługa „efektu Tuska"* – pisze **TOMASZ BIELECKI** | **powszech.net/kpo**

**Piłkarz, który został prezydentem**
*Sześć lat temu w Liberii uwierzyli, że czarodziej piłki dokona cudu i uczyni ich życie równie pięknym jak jego własne.* O George'u Weah pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

# BARDZO DŁUGIE PRZESILENIE

Mamy od poniedziałku władzę, która jest widmem, i prawdziwy rząd tkwiący w cieniu. Byłoby to może i zabawne, gdyby chodziło o jakąś małą społeczność, a nie o 38-milionowe państwo z wojną u bram.

**MAREK KĘSKRAWIEC**

**POWYŻEJ:**
**Mateusz Morawiecki podczas I posiedzenia Sejmu X kadencji. Warszawa, 13 listopada 2023 r.**

NAZWISKA CZŁONKÓW RZECZYWISTEGO rządu Polski na najbliższe miesiące, a może i lata, poznawaliśmy sukcesywnie przez ostatnie dwa tygodnie i właściwie pozostała w nim tylko jedna niewiadoma. Sprawy poszły gładko, jak na koalicję sięgającą od konserwatystów z PSL po Lewicę, której radykalne skrzydło ostatecznie pozostanie poza gabinetem Donalda Tuska. Rozwodu jednak nie będzie, co najwyżej separacja pomiędzy Włodzimierzem Czarzastym a Adrianem Zandbergiem i Magdaleną Biejat, która przyjęła przecież stanowisko wicemarszałkini Senatu.

**OFICJALNIE** powstał jednak rząd zupełnie inny, którego nazwiska ukrywano przed nami do samego końca, jakby tworzono go w konspiracji i bano się aresztowań w przypadku przedwczesnego ujawnienia personaliów. Ale może to i dobrze, bo skrócono do minimum okres, w którym nowi ministrowie będą bohaterami ironicznych komentarzy i memów. Wiadomo bowiem, że gabinet Mateusza Morawieckiego, promowany jako rząd z dużym udziałem kobiet i ekspertów, mający być „wspólnym mianownikiem najważniejszych punktów programowych, które zaczerpnięto także z programów innych partii" – to tylko performens, który zakończy się po dwóch tygodniach klęską podczas głosowania nad wotum zaufania albo wcześniejszą rezygnacją Morawieckiego dla uniknięcia upokorzenia w Sejmie.

Ustępująca władza wyobrażała sobie tę operację jako część nowego otwarcia dla PiS, ale nie przysporzy ona zwolenników temu ugrupowaniu, tylko udowodni kolejny raz,

że analiza wyborczej porażki skłoniła Jarosława Kaczyńskiego jedynie do wzmocnienia przekazu z kampanii – a dzięki niemu można się co najwyżej głębiej zakopać w twardym elektoracie, ale nie da się nikogo nakłonić do współpracy. „Sami przeciwko wszystkim" – to hasło dobre dla szeryfa w opanowanym przez bandytów mieście na Dzikim Zachodzie, ale nie dla mieszkańców państwa, które już 34 lata temu wyzwoliło się z komunizmu (cały system trwał w Polsce 44 lata), a od dwóch dekad jest członkiem UE, gdzie zaliczyło skok cywilizacyjny niespotykany poza Irlandią.

**WAŻNĄ CZĘŚCIĄ** tego okresu są oczywiście rządy PiS, które w kwestiach ustrojowych oznaczały ogromny regres, ale w sprawach gospodarczych – mimo licznych afer z wykorzystywaniem środków publicznych do partyjnych celów oraz osobliwej polityki NBP – przyniosły dalszy rozwój. Kłopot w tym, że zbiorowa mentalność partii Kaczyńskiego, przypisywanie sobie ojcostwa wszystkich sukcesów oraz oskarżanie dosłownie całej klasy politycznej o głupotę i zdradę narodowych interesów, zaprowadziła Zjednoczoną Prawicę na margines. Choć jest on duży i komfortowy, to naznaczony w przyszłości komisjami śledczymi, które zajmą się m.in. Jackiem Sasinem i jego wyborami kopertowymi.

Misja Morawieckiego wokół „dekalogu polskich spraw" nawet w PiS była przyjmowana bez wiary, a niechętna wobec premiera większość działaczy, którzy wciąż mają go za obce ciało, zaczęła nazywać go „Mojżeszem". Ale takim, z którym nikt nie wybiera się w podróż do ziemi obiecanej. Wizja szefa rządu, który siedzi pół dnia w biurze, czekając bez skutku na zaproszonych gości do rozmów koalicyjnych – dopełnia obrazu klęski. Na spotkanie z nim wybrał się jedynie Krzysztof Bosak z Grzegorzem Braunem (Sławomir Mentzen odmówił), ale tylko po to, by Konfederacja mogła łowić wyborców na prawicy i przypominać premierowi, że zamiast klecić coś, czego sklecić się nie da, powinien zająć się rozwiązaniem kryzysu wokół protestu firm transportowych na granicy z Ukrainą.

**ZA CHWILĘ** cała ta rządowa hucpa będzie czasem przeszłym, jeśli nie liczyć sowitych odpraw dla „ministrów". Potem przeżyjemy następną wojenkę o datę powołania rządu Donalda Tuska, którego Andrzej Duda z racji swych planów wyjazdowych zaprosi do siebie zapewne dopiero 13 grudnia. Dzięki temu prawicowi publicyści zaczną snuć symboliczne paralele z wprowadzeniem stanu wojennego, a Tusk – pojedzie kolejnego dnia na szczyt UE do Brukseli już jako szef rządu. Jego wicepremierami zostaną Władysław Kosiniak-Kamysz i Krzysztof Gawkowski, a cały skład z grubsza będzie odzwierciedlał podział mandatów, z czego najmniej skorzysta Lewica – jest dziś zbyt słaba, by realizować swe ambitne plany, choćby wobec aborcji. Na osłodę pokieruje resortem nauki i szkolnictwa wyższego, ministerstwem rodziny oraz cyfryzacją. Więcej wpływów będzie miała Trzecia Droga. PSL otrzyma MON (Kosiniak), rolnictwo (Czesław Sekierski), resort infrastruktury i ministerstwo rozwoju; Polska 2050 – klimat oraz fundusze europejskie (Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz).

Pierwsze skrzypce grać będzie jednak KO (11 ministerstw). Edukacją pokieruje dawna działaczka lewicy Barbara Nowacka, a resortem sprawiedliwości Adam Bodnar; Marcin Kierwiński dostanie MSWiA, Tomasz Siemoniak służby specjalne, Andrzej Domański finanse (kurs raczej na przedsiębiorców niż pracowników, ale z zachowaniem programów społecznych PiS). Bardzo trudną ochroną zdrowia dowodzić ma polonistka Izabela Leszczyna, znana z dość sprzecznych opinii na tematy gospodarcze i podatkowe.

Z uwagi na konieczność przeprowadzenia szybkiej rewolucji w TVP, kulturą zarządzać ma znany ze zdecydowanego charakteru, związany z Tuskiem Bartłomiej Sienkiewicz, a MSZ – Radosław Sikorski. Ten ostatni jest dość „gruboskórny", więc zapewne poradzi sobie z nieustającymi atakami PiS, z drugiej jednak strony, znając jego skłonność do obraźliwych uwag pod adresem oponentów, można wątpić, iż celem przyszłego rządu okaże się wygaszanie wojny polsko-polskiej. ©℗

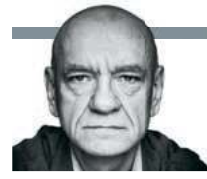

# Wilders idzie

**DARIUSZ ROSIAK**

WIELU KOMENTATORÓW PRZYJĘŁO NIEOCZEKIWANE zwycięstwo Partii Wolności Geerta Wildersa w holenderskich wyborach jako kolejny przejaw marszu europejskiej skrajnej prawicy po władzę na kontynencie.

Odpowiedzialność za ten sukces miałyby ponosić partie mainstreamowe, zwłaszcza centroprawica, która podejmując temat migracji utorowała drogę politykowi bardziej radykalnemu. To podejście nie tylko błędne, ale przeciwskuteczne.

Błędne, bo Wilders, choć wygrał zdecydowanie, to jednak nie na tyle, żeby utworzyć stabilny rząd, który będzie realizował jego przedwyborcze zapowiedzi. Ma tylko 37 miejsc w 150-osobowym parlamencie, a jedna z dwóch centrowych partii, która ewentualnie mogłaby wejść z nim do koalicji, już zapowiedziała, że tego nie zrobi. Druga, zanim wejdzie, prawdopodobnie wymusi na Partii Wolności porzucenie najbardziej skrajnych pomysłów, takich jak likwidacja meczetów, drastyczne ograniczenie migracji, a zwłaszcza referendum w sprawie wyprowadzenia Holandii z Unii.

*W ogóle nie jest jasne, czy to Wilders stanie na czele nowego rządu.*

Natomiast pewne jest, że ten rząd będzie musiał rozwiązać problemy, które doprowadziły do wygranej Partii Wolności.

Najważniejszym z nich jest masowa migracja, której Holendrzy, podobnie jak wiele innych narodów w Europie, mają dosyć. W ubiegłym roku w kraju osiedliło się ponad 200 tys. obywateli innych państw, powiększając podstawowy problem Holandii, którym jest brak mieszkań w rozsądnej cenie. Przy rosnących kosztach życia i presji migracyjnej nic dziwnego, że ludzie głosują na kogoś, kto obiecuje powstrzymanie dalszego napływu przybyszów i odejście od najbardziej kosztownych elementów polityki unijnej, zwłaszcza dotyczących powstrzymania zmian klimatu. Zagrożeniem dla demokracji nie jest podejmowanie tych tematów przez partie mainstreamowe, tylko przemilczanie ich, co zresztą było do niedawna praktyką w całej Europie. Wiara, że budując kordon sanitarny wokół tzw. partii populistycznych da się „załatwić" temat migracji i rosnących kosztów życia, doprowadziła do tego, że już ok. 30 proc. Europejczyków głosuje właśnie na takie partie. Po przyszłorocznych wyborach do PE nasz kontynent może czekać kolejny szok. ©

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

# Ukraina jedzie do Unii

**MAREK RABIJ**

Zablokowane przez polskich kierowców przejścia na granicy ukraińskiej nie są ilustracją zmiany nastrojów polskiego społeczeństwa wobec poparcia dla Kijowa. Zwiastują za to problemy, jakie wywoła w Polsce wejście Ukrainy do Unii Europejskiej.

Kryzys narasta od 6 listopada. Wtedy to polscy kierowcy ciężarówek sparaliżowali ruch na trzech przejściach granicznych z Ukrainą. Od 24 listopada zakłócają płynność odpraw na czwartym, protestując w ten sposób przeciwko decyzjom Brukseli, które doprowadziły do wpuszczenia na wspólny rynek ukraińskich przewoźników.

Do 2022 r. Unia wydawała po 160 tys. takich zezwoleń dla Polski i Ukrainy, zatem transportem przez wschodnią granicę wspólnoty zajmowało się 320 tys. pojazdów. Po wybuchu wojny, dla usprawnienia dostaw dla Kijowa, Bruksela zniosła jednak koncesje na przewozy komercyjne z Ukrainy. W efekcie, jak mówi Jacek Sokół z Komitetu Obrony Przewoźników i Pracodawców Transportu, na unijny rynek wkroczyły ukraińskie firmy spedycyjne. Tylko w tym roku polską granicę przekroczył blisko milion ciężarówek ze wschodu.

Polscy kierowcy domagają się przywrócenia ograniczeń dla konkurentów zza wschodniej granicy i utrudniają im odprawę. Przejście Dorohusk–Jagodzin przekracza po kilkadziesiąt ciężarówek na dobę, choć przed blokadą ruch sięgał tu 700 pojazdów towarowych dziennie. Strona ukraińska twierdzi, że polscy kierowcy paraliżują w ten sposób również dostawy dla armii i transporty humanitarne. Zarówno przedstawiciele polskich związków zawodowych kierowców, jak i polskie organizacje pozarządowe podkreślają jednak, że transporty wojskowe i humanitarne przechodzą przez granicę bez opóźnień. Fundacja „Zarys" zaprosiła nawet mera Lwowa do jednego ze swoich konwojów.

Odchodzący rząd PiS zlekceważył kryzys, podrzucając go następcom. Protest kierowców na granicy zwiastuje jednak także problemy, jakie niechybnie wywoła w Polsce wejście Ukrainy do UE. Polscy przewoźnicy – jak przedstawiciele wielu branż – skutecznie konkurowali dotąd z zachodnioeuropejskimi rywalami głównie dzięki niższym cenom. Ukraina w Unii ich tego atutu pozbawi. ©

**Protest przewoźników na granicy polsko-ukraińskiej. 23 listopada 2023 r.**

OLEG MARUSIC / REPORTER

MATEUSZ WŁODARCZYK / / NURPHOTO / GETTY IMAGES

**KS. PIOTR STUDNICKI:**

# Lepiej komisję przygotować dobrze niż szybko

**ARTUR SPORNIAK: W marcu biskupi zdecydowali powołać komisję historyczną do badania przypadków wykorzystania seksualnego w Kościele w Polsce. W maju zaakceptowana miała być jej formuła, a w czerwcu skład. Tymczasem do dzisiaj kompletowany jest zespół pracujący nad powołaniem komisji. Dlaczego?**

**KS. PIOTR STUDNICKI:** Analizowaliśmy raporty komisji z innych krajów, a także konsultowaliśmy się z delegatem ds. ochrony dzieci i młodzieży episkopatu Francji. Dzieląc się swoim doświadczeniem, zasugerował, by badaniem objąć zakony męskie i żeńskie. Jeśli działalność komisji będzie obejmowała jedynie diecezje, bez zakonów, to podzieli pokrzywdzonych. Dlatego episkopat zaprosił do współpracy Konferencje Wyższych Przełożonych Zakonów Żeńskich i Męskich, które obradowały we wrześniu i październiku. Wtedy też obie konferencje oddelegowały swoich przedstawicieli do zespołu pracującego nad powołaniem komisji.

**Jaka ma być formuła komisji?**

Już w czerwcu biskupi postanowili, że będzie ona badać sprawy od 1945 r. do czasu powołania komisji, oraz że nie ograniczy się do badań jedynie archiwalnych, ale za przykładem np. komisji francuskiej będzie miała charakter interdyscyplinarny. Dlatego w jej skład powinni wejść oprócz archiwistów, historyków i kanonistów także m.in. psychologowie, psychiatrzy i socjologowie. Będzie mogła też zapewne wysłuchać osób skrzywdzonych.

**Kiedy poznamy jej skład?**

Na razie dyskutowane są cele. Konieczna jest też decyzja co do trybu jej powołania. Dopiero wtedy można się zająć personaliami. I na to wszystko muszą się zgodzić te trzy gremia – episkopat i obie konferencje zakonne. Mam nadzieję, że będą o tym decydowały na wiosennych zebraniach.

**Kim będzie jej przewodniczący i czy to się wszystko nie przeciąga?**

To będzie musiała być osoba o dużym społecznym autorytecie, ciesząca się zaufaniem osób skrzywdzonych i Kościoła, a jednocześnie gwarantująca niezależność komisji i gotowa wykonać ciężką pracę. Komisja francuska pracowała przez 30 miesięcy, a jej pracę episkopat przygotowywał przez rok.

**KS. PIOTR STUDNICKI** – *kierownik Biura Delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży.*

## NA PUNKTY

**NATURA**
Ponad 200 tys. subskrybentów ma Sejm w serwisie YouTube. Ostatnim przebojem oglądalności była scena, w której marszałek Hołownia pyta przemawiającego przy wyłączonym mikrofonie posła Suskiego, w jakim trybie znalazł się przed obliczem Wysokiej Izby, a następnie dorzuca komentarz „Przyzwyczajenie drugą naturą człowieka".

**JAZDA**
Na popularność z marszałkiem rywalizować mógł jedynie uczestnik teleturnieju „Jeden z dziesięciu" Artur Baranowski, który w drodze do finału zdobył rekordowe 803 punkty, ale w samym finale nie wziął udziału z powodu awarii samochodu.

**LOT**
À propos awarii: w odpowiedzialnej za loty VIP-ów 1. Bazie Lotnictwa Transportowego lekceważy się procedury bezpieczeństwa, a relacje między pilotami i dowództwem naznacza konflikt personalny. „Gdyby politycy wiedzieli, jeździliby Uberem" – brzmi tytuł alarmującego tekstu Onetu.

**STAN**
Niektóre przyzwyczajenia się jednak zmieniają: z danych GUS wynika, że w 2022 r. tylko połowę małżeństw zawarto w świątyni – w ciągu 20 lat liczba ta spadła z 73,4 proc. ©℗

# *OpenAI: wygrały pieniądze*

**AGATA KAZIMIERSKA**

Świat technologii w osłupieniu przyglądał się, jak w OpenAI nagle dokonano defenestracji prezesa, by sześć dni później – po serii zadziwiających zwrotów akcji – sprowadzić go z powrotem i wyrzucić połowę zarządu. Można by to było uznać za żenującą biurową psychodramę albo zderzenie rozdętych ego gwiazdorów z Doliny Krzemowej, gdyby nie fakt, że w tle tej awantury rozegrała się walka o przyszłość bezpieczeństwa sztucznej inteligencji.

OpenAI, która zbudowała ChatGPT i DALL-E, nigdy nie miała być zwykłą firmą technologiczną. Powstała siedem lat temu jako centrum badawcze non-profit, którego celem miało być zbudowanie „bezpiecznej sztucznej inteligencji ogólnej dla dobra ludzkości". Teoretycznie cel się nie zmienił, ale w 2019 r. powstało nastawione na zysk komercyjne ramię organizacji, bo potrzebne były pieniądze na moc obliczeniową do testowania ambitnych projektów. Wtedy też prezesem został Sam Altman (na zdjęciu). Nie jest tajemnicą, że to on dążył do jak najszybszej komercjalizacji produktów OpenAI, dzięki czemu dziś wartość firmy szacowana jest na co najmniej 80 mld dolarów. Z nieoficjalnych doniesień wynika, że w tle niedawnego zwolnienia Altmana ma być przełomowy ponoć projekt Q*. Reuters podał, że część naukowców OpenAI miała ostrzegać zarząd, iż program może stać się zagrożeniem dla ludzkości. Nie jest jasne, czy ten algorytm Altman także chciał wprowadzać na rynek.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Z perspektywy czasu wydaje się, że rozłam pomiędzy dążącym do zysku ramieniem OpenAI a zarządem organizacji non-profit był nieunikniony.

Biorąc pod uwagę, że Altman wrócił na stanowisko, wygląda na to, że pierwsza z tych frakcji wygrała. Bez względu, jak zaawansowany jest projekt Q*, sztuczna inteligencja, jak każda inna technologia, sama z siebie krzywdy nam nie wyrządzi. Mogą to natomiast zrobić ludzie, którzy udostępniają takie programy, dostatecznie dobrze ich wcześniej nie testując. ©

# *Finansowanie in vitro to symbol zmian*

**MAŁGORZATA SOLECKA**

Czy pary, którym przekonania etyczne nie pozwalają na skorzystanie z metody in vitro, będą mogły liczyć na wsparcie państwa? – pytali podczas debaty w Sejmie nad obywatelskim projektem „Tak dla in vitro" posłowie PiS.

Pytanie wydaje się zasadne, ale wprowadza w błąd. Ze środków publicznych finansowane powinny być metody leczenia zgodne z aktualną wiedzą medyczną i o wysokiej skuteczności. W tym kontekście finansowanie przez osiem lat programu opartego na naprotechnologii trzeba uznać za co najmniej wątpliwe, nawet jeśli zgodne z sumieniem osób, które podjęły w 2015 r. decyzję pozbawiającą tysiące rodzin możliwości posiadania dziecka.

W trakcie debaty posłowie bloku demokratycznego wskazywali, że szansę odebrano rodzinom mniej zamożnym. Nie tym, dla których wydatek rzędu 10-20 tys. złotych to kwestia co najwyżej rezygnacji z wakacji. Nawet dla średnio sytuowanych Polaków leczenie komercyjne było cały czas dostępne, choć mogło się wiązać z realnymi wyrzeczeniami. Z legalnej, uznanej przez medycynę i skutecznej metody wykluczono największą grupę – przeciętnie sytuowanych.

PiS w tej sprawie nie jest monolitem – część polityków zapowiedziała poparcie dla projektu, część warunkowo (o ile zostanie doprecyzowany), część zagłosuje przeciw, czyli zgodnie z linią prezentowaną od ponad dekady, gdy do agendy politycznej weszła kwestia finansowania in vitro. Z punktu widzenia szans na uchwalenie ustawy nie ma to większego znaczenia: projekt popiera cały blok demokratyczny (w tym znany z konserwatywnych poglądów Roman Giertych). To nie zaskakuje, bo projekt przywracający finansowanie in vitro ze środków publicznych nie jest przypadkowy. To symboliczny początek odwracania decyzji podejmowanych przez PiS. ©

# Watykan dyskutuje z Niemcami

**SYNOD** ▪ Stolica Apostolska wyznacza czerwone linie niemieckiej Drodze Synodalnej. Kard. Pietro Parolin, sekretarz stanu, pisze do tamtejszych biskupów, że zgodnie z nauczaniem Kościoła sakrament kapłaństwa zarezerwowany jest jedynie dla mężczyzn, a akty homoseksualne są „obiektywnie niemoralne".

List, napisany 23 października, opublikowany został w ub. piątek przez niemiecki dziennik „Die Tagespost" (Watykan jak dotąd nie zdecydował się na jego upublicznienie, autentyczność pisma potwierdził rzecznik episkopatu Niemiec). Poświęcony jest w większości dwóm najbardziej kontrowersyjnym postulatom *Synodaler Weg* – kapłaństwu kobiet i zmianom w katolickiej etyce seksualnej – przypominając znane od lat stanowisko Stolicy Apostolskiej.

Inny pomysł Drogi Synodalnej skrytykował z kolei papież Franciszek, uznając za niezgodne z prawem powołanie Rady Synodalnej, złożonej z biskupów i świeckich, która nadzorowałaby prace biskupów diecezjalnych (dotąd podlegających jedynie Stolicy Apostolskiej). Jego list w tej sprawie opublikował, także w ubiegłym tygodniu, dziennik „Die Welt".

Niemiecka Droga Synodalna wystraszyła wielu hierarchów, którzy od dawna zgłaszają zastrzeżenia do jej radykalnych i – ich zdaniem – niezgodnych z doktryną Kościoła postulatów. Swój sprzeciw wobec propozycji *Synodaler Weg* przedstawił m.in. abp Stanisław Gądecki, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski.

Z listu Sekretarza Stanu wynika także – co warto zauważyć – że Watykan rozpoczął z niemieckimi biskupami negocjacje (a nie jest to częsta praktyka). Kard. Parolin wspomina „o kontynuacji podjętego dialogu". Wiadomo, że dwa takie spotkania już się odbyły (w lipcu i październiku), kolejne trzy zapowiedziano na wiosnę. Co może oznaczać, że Stolica Apostolska dopuszcza realizację pozostałych niemieckich pomysłów – choćby takich, jak dobrowolny celibat czy diakonat kobiet.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

**DZIENNIKARZE I AUTORZY „TP"**
**co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!**
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl

# Zamieszki ujawniły paradoks Irlandii

**MIGRACJE** ▪ Można powiedzieć: to wciąż państwo na uboczu wielkich zdarzeń. Między innymi dlatego kilkunastogodzinne zamieszki, które wybuchły 23 listopada w Dublinie – jak twierdzi policja, największe w historii Republiki Irlandii – będą długo tematem sporów.

Do ulicznych starć doszło kilka godzin po tym, gdy urodzony w Algierii obywatel Irlandii, mieszkający tu od 20 lat, zaatakował nożem troje pięcio- i sześcioletnich dzieci oraz usiłującą je obronić kobietę. Dwie ofiary trafiły do szpitala w stanie krytycznym. Napastnika zatrzymano, ale z gromadzącego się na miejscu tłumu słychać było już wezwania do „ujawnienia swoich uczuć". W domyśle: uczuć antyimigranckich. Wieczorem na reprezentacyjnej O'Connell Street już pół tysiąca młodych ludzi atakowało tramwaje i demolowało sklepy. Gardaí, irlandzka policja, aresztowała 48 osób, a jej szef określił sprawców jako „obłąkaną, chuligańską grupę kierującą się skrajnie prawicową ideologią".

Czy faktycznie – jak utrzymuje choćby urodzony w Limerick pisarz Paul Lynch, świeży laureat tegorocznej Nagrody Bookera – zamieszki pokazują pokłady nieujawnianych na co dzień przez Irlandczyków emocji? Według ostatnich sondaży aż trzy czwarte Irlandczyków uważa, że ich kraj przyjął za dużo uchodźców wojennych (dotyczy to m.in. 96 tys. Ukraińców). Najsilniejsze antyuchodźcze i antyimigranckie nastroje panują wśród wyborców partii Sinn Féin, której poparcie wynosi 29 proc.

Jednak po dwóch dekadach niemal nieograniczonej imigracji ekonomicznej z centralnej i wschodniej Europy nastroje antyimigranckie w Irlandii – niewielkim państwie o silnej tożsamości i do niedawna w miarę jednolitym kulturowo – pozostają raczej umiarkowane. Irlandczycy odrobili np. lekcję brexitu. Ogłoszone w dniu dublińskich zamieszek dane wskazują, że tylko w 2022 r. do Wielkiej Brytanii przybyło o ok. 750 tys. osób więcej niż z niej wyjechało – jakby w państwach o dynamicznym rynku pracy „siłowe" zarządzanie migracją było wręcz niemożliwe. Mimo powiązań z podlegającą Londynowi północną częścią wyspy – i długiego sporu o zasady brexitu – Irlandczycy w Republice nie zamknęli swojego rynku pracy. Na razie więc pierwszym efektem zamieszek jest chęć ukarania sprawców i zmiana przepisów. Irlandzka policja wciąż analizuje ponad 6 tys. godzin nagrań z monitoringu, rząd chce zaś szybko umożliwić służbom korzystanie ze wspomaganych przez AI systemów rozpoznawania twarzy.

©℗ MARCIN ŻYŁA

**Zamieszki na ulicach Dublina. Irlandia, 23 listopada 2023 r.**

PETER MURPHY / AFP / EAST NEWS

# Izrael–Hamas: chwila ulgi po zawieszeniu ognia

**WOJNA IZRAELSKO-PALESTYŃSKA** ▪ Na te obrazy Izraelczycy czekali od 50 dni wojny: rodziny ściskające dzieci i kobiety powracające z niewoli Hamasu, ojcowie tulący synów, mieszkańcy miasta witający flagami i oklaskami samochody z tymi, o których uwolnienie toczyła się walka – nie tylko dosłowna, ale też wewnątrz Izraela, bo ten układ z Hamasem miał swoją polityczną cenę. Zakładał on m.in. czterodniowe zawieszenie ognia – walk w Strefie Gazy i ostrzału Izraela – oraz uwolnienie izraelskich zakładników w zamian za wypuszczenie z więzień palestyńskich więźniów w stosunku 1:3.

W niedzielę Hamas uwolnił 17 zakładników: 14 Izraelczyków i 3 Tajów (zatrudnionych w zaatakowanych przez Hamas kibucach). Chwila ulgi trwa też po palestyńskiej stronie: na mocy układu w minioną niedzielę z izraelskich więzień wyszło 39 Palestyńczyków (kobiety i osoby do 18. roku życia). Przez przejście graniczne w Rafah wjechało do Strefy Gazy 200 ciężarówek z pomocą humanitarną. Hamas ogłosił w niedzielę, że zawieszenie broni zostanie przedłużone, jeśli będą podjęte wysiłki, by uwolnić kolejnych palestyńskich więźniów z Izraela. W poniedziałek Izrael ogłosił, że jest gotowy na przedłużenie zawieszenia broni, czeka na odpowiedź Hamasu. Tego samego dnia mieli zostać uwolnieni kolejni zakładnicy i więźniowie. W niewoli Hamasu wciąż pozostaje ponad 200 obywateli Izraela i innych krajów.

ISRAELI ARMY / AP / EAST NEWS

**9-letnia Emily Hand, Irlandka żydowskiego pochodzenia, uwolniona z niewoli Hamasu, ze swoim ojcem. 26 listopada 2023 r.**

Kilkudniowe zawieszenie ognia oraz uwolnienie zakładników i więźniów dają dotkniętym wojną cywilom chwile ulgi i nadziei. Poruszenie w mediach w Izraelu i Irlandii wywołało uwolnienie 9-letniej Emily Hand, obywatelki obu krajów, wcześniej uznanej za zamordowaną. Jej ojciec udzielił wywiadu, w którym powiedział, że informacja o jej śmierci jest łatwiejsza do zniesienia niż świadomość jej uwięzienia w rękach Hamasu. W sobotę córka wróciła do ojca. Emocje wzbudziły też słowa premiera Irlandii, który powiedział, że dziewczynka „zgubiła się i została odnaleziona". Izraelski minister spraw zagranicznych zarzucił premierowi „utratę moralnego kompasu", przypominając, że dziecko zostało uprowadzone przez organizację terrorystyczną.

Kolejne rodziny czekają na swoich bliskich. Radość miesza się jednak ze łzami: jest pewne, że ani dla Izraela, ani dla Hamasu zawieszenie broni nie oznacza końca tej wojny.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

# Neurony w mózgu komunikują się też bezprzewodowo

**NEUROBIOLOGIA** ▪ Od kiedy Santiago Ramón y Cajal i sir Charles Scott Sherrington na przełomie XIX i XX w. opisali budowę oraz funkcję neuronów i występujących między nimi połączeń (synaps), w podręcznikach do neurobiologii można było przeczytać, że komórki nerwowe tworzą sieci, w których sygnały przekazywane są jak po kablu – z jednego neuronu do kolejnych, bezpośrednio z nim połączonych. Jednak dziś wiemy już, że taki obraz układu nerwowego nie jest pełny, ponieważ neurony potrafią się komunikować nie tylko „po kablu", ale również „bezprzewodowo" – za pomocą uwalnianych do otoczenia cząsteczek sygnalizacyjnych (tzw. neuropeptydów), które mogą zostać wychwycone przez dalej zlokalizowane neurony, z którymi dana komórka nie ma połączeń synaptycznych. O tym, że taka bezprzewodowa komunikacja ma znaczenie dla pracy układu nerwowego, przekonują dwa badania przeprowadzone na modelowym organizmie neuronauki – nicieniu *C. elegans*.

Neurobiolodzy wiedzieli już wcześniej o istnieniu neuropeptydów, nie zdawali sobie jednak sprawy, że mogą one tworzyć coś w rodzaju bezprzewodowej sieci w układzie nerwowym – przyznał w rozmowie „Nature" William R. Schafer, autor jednego ze wspomnianych badań. Schafer razem z zespołem przeanalizował, u których spośród 302 neuronów *C. elegans* dochodzi do ekspresji genów związanych z uwalnianiem neuropeptydów, a u których do ekspresji genów związanych z receptorami tych cząsteczek. Na tej podstawie badacze sporządzili mapę możliwych połączeń bezprzewodowych między neuronami, która różniła się od tradycyjnej mapy połączeń synaptycznych.

To, że neurony *C. elegans* faktycznie kontaktują się bezprzewodowo, potwierdziły badania kierowane przez Andrew Leifera. Jego zespół sprawdzał, w jaki sposób rozchodzi się sygnał od kolejnych neuronów nicienia, które jeden po drugim aktywowano za pomocą światła. Badacze obserwowali wzorce aktywacji rozchodzące się nie tylko jak „po kablu" – przypuszczali więc, że w grę wchodzą neuropeptydy. Aby to potwierdzić, wyhodowali nicienie pozbawione genów kodujących te cząsteczki, a wówczas „bezprzewodowe" aktywacje faktycznie zanikały.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK / NATURE.COM

TEMAT TYGODNIKA

# LEKCJE Z RELIGII

Nowa władza może i namiesza w szkolnej katechezie, ale z publicznej oświaty jej nie wyrzuci. Anachroniczna, niespójna i nudnawa, będzie znikać sama.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Katarzyna Potempa-Baran, wieliczanka, matka dwójki synów; niewierząca: – Moje dzieci na religię nie chodzą, ale nauczanie jej w szkole mi nie przeszkadza. A nawet uważam, że katecheza w salkach byłaby poza kontrolą rodziców. Jestem zdecydowanie za ograniczeniem jej finansowania przez państwo.

Maja Szwedzińska, ślązaczka mieszkająca niedaleko Warszawy, matka czworga dzieci; wierząca i praktykująca: – Niech religia będzie w szkole, albo i nie, ważniejsza jest jej jakość. Choć może ten drugi wariant byłby dla Kościoła sprawdzianem? Kto chce religii, a kto woli balet albo koszykówkę?

Ks. Damian Wyżkiewicz, Nauczyciel Roku 2019, przez lata katecheta na wszystkich etapach edukacji w Polsce, teraz uczący na Islandii, czyli w jednym z kilku europejskich krajów ze świecką szkołą [patrz: ramka na str. 14]: – Robimy religię to po domach kultury, to po wynajętych salach, to w domach uczniów. Tak, w domach uczniów! Jest ich np. w klasie sześcioro chodzących na katolicką religię, i umawiamy się, że tym razem gości nas X albo Y. Zdarza się też, że organizujemy lekcje w kruchcie, a rodzice uczniów przywożą stoły i krzesła. Nie chciałbym, żeby w Polsce stało się podobnie. Mamy swoją kulturową specyfikę. Wprowadzajmy zmiany ostrożnie.

PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Nie wiadomo jeszcze, czy nowa władza wprowadzi zmiany, i czy będą one ostrożne. Ale gdyby kierowała się nastrojami i postawami Polaków, odpowiedzi na te pytania byłyby twierdzące. Tak, wprowadzi zmiany. Owszem, będą raczej ostrożne.

### Polak za, a nawet przeciw

**KATARZYNA:** – Nasza decyzja była konsekwencją wcześniejszych wyborów życiowych. Nie mamy ślubu kościelnego, oddaliliśmy się od Kościoła dawno, uczciwe wobec siebie, ale również wyznawców religii było niechrzczenie dzieci, a tym samym wypisanie ich z religii w szkole. Mój starszy syn jest wśród siódemki niechodzących, młodszy wśród trójki. Ale o żadnym piętnowaniu z tego powodu nie ma mowy. Jestem świadoma, że to zasługa szkoły, bo dba o komfort dzieci nieuczestniczących.

**MAJA:** – Pochodzę z katolickiej rodziny. Sama czuję się częścią Kościoła, ale w znaczeniu jego wspólnoty, a nie uznania dla hierarchii. Pierwszą trójkę dzieci, po bożemu ochrzczonych, mam z moim pierwszym mężem, z którym się „nie po bożemu" rozwiodłam. Najstarszy syn, dziś już pełnoletni, chodził na religię przez całą swoją edukację. Dwoje młodszych zaczynało od religii, później przeszło na etykę. Najmłodszy nie chodzi ani na religię, ani na etykę. Nie został ochrzczony, co było wspólną decyzją – moją i mojego drugiego męża, który jest niewierzący. Sam w przyszłości dokona w tej sprawie wyboru.

Polska odwraca się od szkolnej religii, tak jak odwraca się od religii w ogóle? Nie do końca: odwraca się na „wyspach", i to wcale nie tak licznych. Chodzi głównie o szkoły ponadpodstawowe, przede wszystkim o duże miasta i raczej zachód – ewentualnie centrum – Polski. Gdyby więc skupić wzrok na wielkomiejskich liceach z wyłączeniem ściany wschodniej, można by odtrąbić przejście – przynajmniej w oświacie – katolickiej Polski z większości w mniejszość. I to wątłą. Np. w warszawskich i poznańskich szkołach ponadpodstawowych na religię chodzi nieco ponad 20 proc. uczniów, a we Wrocławiu 15 proc.

Ale ogłaszanie ogólnopolskiej rewolucji to – delikatnie mówiąc – przesada. Tak, frekwencja na tych lekcjach wyraźnie na przestrzeni lat spada, ale spada znacznie wolniej niż inne wskaźniki pokazujące odwrót Polaków od Kościoła, jak choćby odsetek uczestniczących regularnie w mszach (tzw. *dominicantes*), pikujący przecież od początku lat 90. z ok. 50 proc. do obecnych 28,3 proc.

Tymczasem na religię we wszystkich typach szkół jeszcze w roku szkolnym 2022/23 (to najświeższe ogólnopolskie dane podane przez Kościół) chodziło nadal 82,4 proc. uczniów. Przy czym istnieją diecezje, gdzie odsetek ten przekracza 90 proc., a nawet (to przypadek łomżyńskiej, rzeszowskiej, przemyskiej czy rekordowej pod tym względem tarnowskiej) jest wyższy niż 95 proc.

Znacznie wyraźniej spadało deklaratywne poparcie dla katechezy w szkołach. W lutym 2019 r. Ipsos po raz pierwszy pytał na zlecenie OKO.press, „Gdzie Pana/Pani zdaniem powinna być nauczana religia?". Wtedy szkołę wskazało 44 proc. ankietowanych, parafię zaś 52 proc. Ale już półtora roku później – m.in. po emisji głośnego filmu braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu" – pierwszy ze wskaźników spadł do 27 proc., drugi zaś wzrósł do 66 proc. Dwa miesiące temu sondaż na ten sam temat przeprowadził na zlecenie RMF FM i „Rzeczpospolitej" IBRiS. Niemal połowa ankietowanych (48,4 proc.) uznała, że religia powinna być w parafiach. Co ciekawe, zmian chcą rodzice: o ile wśród posiadaczy jednego dziecka poparcie dla takiej rewolucji jest na poziomie 47 proc., o tyle w gronie opiekunów dwójki bądź więcej potomstwa rośnie do aż 65-66 proc.

↦

*Zakończenie roku szkolnego w Szkole Podstawowej nr 26. Poznań, 25 czerwca 2021 r.*

↦ Deklaracje jednak, jak widać, nie przekładają się na życie. Ale tu ważny jest kontekst: nie wiemy, jak wyglądałyby wskaźniki, gdyby wszystkie polskie szkoły umieszczały katechezę na początku lub na końcu dnia zajęć – jak przystało na przedmiot nieobowiązkowy. Dziś bardzo często uczestnictwo w katechezie to po prostu efekt braku realnego wyboru.

Tak czy inaczej, o masowym odwrocie polskich dzieci i ich rodziców od religii w szkole nie ma mowy. Gdy więc typowana do niedawna na ministrę edukacji posłanka Lewicy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk mówi, że „religia ze szkół wychodzi sama, wyprowadzają ją uczniowie, którzy masowo wypisują się z tej lekcji" (wypowiedź dla programu „Onet Rano") – to przedstawia bardziej życzeniową wersję rzeczywistości niż samą rzeczywistość. Polska laicyzacja pustoszy kościoły, zmienia poglądy – szkole wymierza relatywnie niski wymiar kary.

Co planują politycy nowej koalicji? Wszystkie jej ugrupowania zgadzają się co do jednego: status religii musi się zmienić. Po raz pierwszy od ponad trzech dekad, gdy katecheza wyprowadziła się z salek do sal.

SŁAWOMIR OLZACKI / FORUM

Peregrynacja obrazu i relikwi św. Stanisława Kostki podczas lekcji religii w szkole podstawowej w Makowie Mazowieckim. 17 kwietnia 2018 r.

## Religia w Europie

**DWADZIEŚCIA TRZY KRAJE** Unii Europejskiej nauczają religii w szkołach, choć forma tej lekcji jest różna – od konfesyjnej, kontrolowanej przez związki wyznaniowe, a więc w modelu podobnym do obowiązującego w Polsce, po programy bardziej zbliżone do religioznawstwa. Wraz z postępem laicyzacji drugi z modeli staje się coraz bardziej rozpowszechniony.

**W OŚMIU PAŃSTWACH** unijnych – na Cyprze, Malcie, w Austrii, Szwecji, Danii, Finlandii, Grecji i w większości landów niemieckich – przedmiot ten jest formalnie obowiązkowy, choć w większości z nich wyraźny sprzeciw rodziców wystarczy, by zwolnić dziecko z religii. W Danii naucza się „wiedzy o chrześcijaństwie", a na dalszych etapach nauki uwzględniane są również inne wyznania. W Niemczech z kolei religia – traktowana jak każdy inny przedmiot – umieszczona jest w szkolnym planie lekcji, jednak przygotowanie do sakramentów odbywa się na terenach kościelnych.

**W PIĘTNASTU KRAJACH** UE status religii jest taki jak u nas – przedmiot ten jest nauczany w publicznej oświacie, jednak jako fakultatywny. Np. we Włoszech w szkole odbywa się jedna godzina, druga – w parafii. W Belgii oświata publiczna oferuje dwie lekcje religii, fakultatywnie zaś zajęcia z etyki, ale rodzice bądź uczniowie – podobnie jak w Polsce – mogą zrezygnować z uczęszczania na którąkolwiek z nich. W Czechach z kolei nie ma przedmiotu alternatywnego wobec religii. Ta jest zwykle u naszych południowych sąsiadów nauczana popołudniami i w dniu, w którym uczniowie mają mniej zajęć.

**WE FRANCJI**, Słowenii, Bułgarii i Luksemburgu religia jest w szkołach publicznych nieobecna. Pierwsze dwa spośród tych krajów mają wpisaną do konstytucji świeckość – żadne elementy religijne nie mają prawa znaleźć się w przestrzeni publicznej (we Francji wyjątkiem jest Alzacja i Lotaryngia, gdzie religia jest w szkołach obecna). W Bułgarii religia nie wróciła do szkół po okresie komunizmu, Luksemburg zaś zrezygnował z nauczania tego przedmiotu w szkołach w roku 2015.

©℗ PW,
na podstawie EKAI.PL

### Nowy rozdział? Nie tak szybko

**KATARZYNA:** – Mam z tamtego czasu złe wspomnienia. I w związku z religią uczoną w salkach, i w szkole. Raz ksiądz zaprosił nas do siebie na plebanię, gdzie puścił na kasecie VHS film z zabiegu aborcji. Bez cenzury. Do dziś nie wiem, czemu to miało służyć.

**MAJA:** – Lata 80., dobudówka przy kościelnym chórze, drewno w ciemnym brązie, krzesła obite skajem. I świetna katechetka, siostra Dulcissima. Mam z salek dobre wspomnienia, bo to był świat integrujący, więziotwórczy. W dodatku trochę w kontrze do szkoły. Wiadomo było, że nie o wszystkim się w niej mówi, a w tej salce można było np. powiedzieć, że rodzice dorabiają w Niemczech. Myśmy na tę nieobowiązkową przecież religię chodzili na 6.50 rano! Nie wiem, co by się musiało dzisiaj dziać, by dzieci szły na nią tak chętnie.

Ta historia zaczyna się w 1990 r. Od decyzji, której tryb wdrożenia dziś mógłby wywołać burzę: religia wraca do szkół na mocy... instrukcji ministra edukacji narodowej w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, prof. Henryka Samsonowicza (dopiero później przedmiot ten trafi do ustawy, a w 1993 r. do konkordatu). Przeciw temu trybowi protestuje ówczesna rzeczniczka praw obywatelskich Ewa Łętowska, wnosząc skargę do Trybunału Konstytucyjnego. Bezskutecznie.

– Decyzja rządu Mazowieckiego nie budziła większych światopoglądowych kontrowersji, bo Kościół był wtedy „ważny i już", a religia w stosunku do innych spraw wydawała się rzeczą drobną – przypomina Jan Wróbel, wówczas nauczyciel

historii w warszawskim zespole szkół społecznych Bednarska, później jej dyrektor, obecnie też publicysta. – Gdy przestała być drobna, bo później wszystko, co miało związek z Kościołem nabrało ciężaru, to nie było już tak łatwo się z tej decyzji wycofać.

Mimo że kolejne lata przyniosą dwie kadencje z dominacją w Sejmie SLD. – Znaczenie Kościoła było nadal duże, politycy nie chcieli otwartej wojny – tłumaczy prof. Sławomir Sowiński, politolog UKSW, badacz związków religii i polityki. – Lewica wiedziała też, że głos Kościoła może się jej przydać. Leszek Miller pytany później, dlaczego nie podejmował w stosunku do Kościoła żadnych radykalnych decyzji, odpowiedział krótko: „Unia warta była mszy".

A gdy w ostatniej dekadzie autorytet Kościoła upada, u władzy jest już PiS. Dopiero 15 października tego roku otwiera się droga do nowego rozdziału. Radykalnego, jeśli bazować na zapowiedziach, zwłaszcza tych przedwyborczych, szczególnie Lewicy. Ostrożnego, jeśli brać pod uwagę polityczne, ale też prawne realia.

Lewica obiecywała wyprowadzenie katechezy ze szkół – tyle że tego zabrania konstytucja, głosząca, iż religia „może być przedmiotem nauczania w szkole". Skoro może, to nie wolno jej zabronić.

Problematyczny jest też postulat wycofania lub ograniczenia finansowania przez państwo lekcji religii – dziś pensje dla katechetów pochłaniają rocznie około półtora miliarda zł.

– W Polsce obowiązuje zasada autonomii, ale też współpracy państwa z Kościołem, a wyznanie ma w świetle naszego prawa charakter nie tylko prywatny, ale i publiczny. A skoro tak, to państwo nie powinno uchylać się też od rozsądnego wspierania Kościołów oraz organizowanych przez nie lekcji religii – uważa prof. Sowiński.

Podobny pogląd, oparty na art. 53 konstytucji (to ten mówiący o religii, która może odbywać się w szkole), sformułował na początku tego roku rzecznik praw obywatelskich. Skoro państwo dopuszcza religię do szkoły, to ciąży też na nim – argumentował Marcin Wiącek – obowiązek ponoszenia kosztów.

Ale to niejedyna interpretacja. Prof. Paweł Borecki, ekspert prawa wyznaniowego z Wydziału Prawa i Administracji UW uważa, że wykładnia RPO jest korzystna dla Kościoła, a nawet – klerykalna. – Konstytucja nie mówi, kto finansuje religię – ucina prof. Borecki. Ale i on przyznaje, że odcięcie katechetów od publicznych pieniędzy jest wątpliwe: – Dwunasty artykuł konkordatu gwarantuje, że publiczne placówki oświatowe „organizują zgodnie z wolą zainteresowanych naukę religii w ramach planu zajęć szkolnych". Sformułowanie „organizują" można interpretować jako pojęcie porządkowo-techniczne, ale bardziej właściwa wydaje się interpretacja, że oznacza to również finansowanie.

Teoretycznie można zmienić konkordat, co nadal postuluje Lewica. Ale już z kręgu KO można usłyszeć, że to rozwiązanie jest – przynajmniej na razie – mało realne.

Co więc może się wydarzyć?

### Historia pewnego oszustwa

**KATARZYNA:** – W pierwszej klasie siostra zakonna powiedziała dzieciom zostającym na świetlicy w trakcie trwania religii, żeby „żałowały", bo jak się nie idzie do komunii, to się nie dostaje prezentów. Wychowawczyni, po proteście rodziców, dość szybko zareagowała. Była rozmowa i nigdy więcej podobna sytuacja nie miała miejsca. Szkoła też pilnuje, by przynajmniej jedna z dwóch lekcji religii była na końcu lub na początku dnia. Ale druga jest już w środku planu lekcji. Dzieci są wtedy w bibliotece, co jest dla nich atrakcyjne, ale w wielu innych szkołach czy klasach ta praktyka dyskryminuje uczniów niechodzących na religię.

**MAJA:** – Jedno z moich dzieci chciało wiele lat temu iść na etykę zamiast religii. Odpowiedź szkoły? To niemożliwe, bo wszyscy uczniowie z tego rocznika idą w tym roku do komunii.

Jan Wróbel opowiada anegdotę z początku lat 90. Bednarską, w której od początku obowiązuje zasada, że religia jest na początku lub na końcu lekcji, odwiedza ksiądz dziekan. Do kierującej wówczas placówką Krystyny Starczewskiej wypala: „Pani dyrektor, dobrze by było wprowadzić te lekcje gdzieś do środka dnia, bo inaczej pouciekają".

– Już wtedy czuł, skąd i gdzie wieje wiatr – śmieje się historyk Bednarskiej. – I tak to trwa do dzisiaj: mamy w polskiej szkole lekcję niby do wyboru, ale co to za wybór, skoro mówimy wielu dzieciom: „Nie chcesz religii, to siedź na korytarzu".

Rok 2013, a więc dwie dekady po podpisaniu konkordatu. „Na pewno mieliśmy w ostatnich latach do czynienia z pełzającym naruszaniem tego rozdziału [chodzi o rozdział państwa od Kościoła – red.] – zarówno przez niektórych księży czy biskupów, jak i przez bierność urzędników" – mówi w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego" Tadeusz Mazowiecki. W tej samej rozmowie (z Andrzejem Brzezieckim i Michałem Okońskim) pierwszy premier III RP daje przykład tego naruszenia: to właśnie religia w samym środku szkolnego dnia.

Dekadę później praktyka ta nie tylko ma się dobrze, ale jest nierzadko pochwalana – także przez urzędników państwowych i hierarchów. W 2022 r. małopolska kurator oświaty Barbara Nowak podczas konferencji „Prześladowany jak katolik" apelowała do dyrektorów, by „nie wyrzucali lekcji religii na pierwszą lub ostatnią lekcję". Z kolei w 2019 r. ówczesny przewodniczący Komisji Wychowania Katolickiego KEP, bp Marek Mendyk, dowodził, że religia z chwilą zapisania się na nią staje się obowiązkowa, więc nie ma podstaw, by umieszczać ją na początku lub na końcu dziennych planów lekcji.

– Kościół katolicki od 1990 r. konsekwentnie, krok po kroku, zgodnie z tzw. taktyką salami, wszędzie tam, gdzie się tylko da, usiłuje nadawać przedmiotowi nominalnie dobrowolnemu wszelkie cechy lekcji obowiązkowej – ocenia prof. Borecki. – Kropkę nad „i" usiłował postawić minister Przemysław Czarnek. Chciał wprowadzić zasadę, że uczęszczanie na religię lub etykę jest obowiązkowe. A że nie wszystkie szkoły, jak wiadomo, zapewniają etykę, więc ta decyzja dekretowałaby w wielu miejscach obowiązek uczęszczania na religię.

Ku satysfakcji, uważa prawnik UW, wielu hierarchów: – Sam byłem świadkiem, jak podczas konferencji nt. finansowania Kościoła kard. Nycz mówił do abp. Budzika, że „Czarnek nam to obiecał", mając na myśli właśnie obowiązek uczęszczania na religię lub etykę.

Obowiązek w życie nie wszedł, lekcje religii w środku dnia odbywają się nadal. A to stało się jeszcze bardziej uciążliwe po wprowadzeniu reformy edukacji przez ↦

↦ przychylne Kościołowi PiS. – Tak spartaczonej reformy nie było chyba w całych dziejach – ocenia ks. Wyżkiewicz, który uczył wówczas religii w najwyższych klasach podstawówki. – Nie miała merytorycznego uzasadnienia, za to spowodowała ściśnięcie materiału z trzech klas gimnazjum w dwóch podstawówki. Pamiętam z tamtego czasu siódmo- i ósmoklasistów przeoranych jak chłopi pańszczyźniani. A religia stała się główną ofiarą tej sytuacji: uczniowie masowo z niej rezygnowali.

– Nie wszędzie rezygnacja cokolwiek daje, bo religia jest w środku dnia – zauważam.

– Pracowałem w różnych szkołach, i proszę mi wierzyć, że nie zawsze da się tak ułożyć plan, by religia była na początku i na końcu – odpowiada ks. Wyżkiewicz.

– Ale to już kłopot katechety, dyrektora szkoły i lokalnej kurii. A nie dziecka, które nie chce chodzić na religię, za to chce iść w czasie jej trwania do domu.

– To prawda. Dlatego trzeba wyważyć między dwiema wartościami: prawem do świeckiej edukacji a prawem do nauki religii.

Czy Koalicji Obywatelskiej uda się twarde zadekretowanie religii na początku i na końcu planu dnia? To jedna z obietnic tego ugrupowania w słynnych przedwyborczych „stu konkretach na pierwsze sto dni rządów". I akurat tę zmianę da się przeprowadzić bez ingerencji w konstytucję i konkordat.

Da się też przeprowadzić inne zmiany. – Konkordat nie określa liczby godzin religii w szkole, więc można sobie łatwo wyobrazić zarówno *status quo* w tej sprawie, czyli dwie godziny w tygodniu, jak i np. jedną – zauważa prof. Borecki.

A Jan Wróbel zwraca uwagę, że największy spór nie dotyczy wcale obecności religii w szkole: – Chodzi raczej o to, na jakich zasadach ona tu funkcjonuje. Nie ma powodu, by ksiądz czy katecheta był pełnoprawnym uczestnikiem rady pedagogicznej, i by stawiał oceny. I żeby był, muszę to niestety powiedzieć, opłacany przez państwo. Religia w szkole, czemu nie, to przecież jedna z nielicznych lekcji, na której może się odbywać poważna refleksja na temat życia, dobra, zła. Ale już nie jako „szkolny przedmiot", tylko rodzaj towarzysza podróży dla chętnych. Takie „wyprowadzenie" religii ze szkoły sobie wyobrażam. Pewnie znajdzie się jakaś liczba „obrońców wiary", którzy zorganizują protest, może nawet głodowy. Ale większość Polaków by chyba taką formułę religii zaakceptowała.

### Ile wiary w religii

**KATARZYNA:** – Tłumaczę chłopcom, że zdecydowaliśmy się być poza chrześcijaństwem. Ale nie przeszkadza mi to poruszać z nimi chrześcijańskiej tematyki. W kontekście literatury, sztuki czy po prostu zasad człowieczeństwa. Np. kupiłam im i czytałam przypowieści religijne w serii leksykonów dla dzieci. O co pytali w kwestii Kościoła, Jezusa czy komunii, dostawali odpowiedź. Bez machania ręką, olewania czy śmiechu. Nie zamknęłabym im tej drogi, gdyby chcieli nią pójść.

**MAJA:** – Moje dzieci dostawały na pierwszą komunię Biblię, nie rowery i zegarki, a potem tę Biblię czytały. Podobnie jak podsuwane im przeze mnie lektury filozoficzne. Co do szkolnej religii, powinna dawać przede wszystkim wiedzę. Sama w latach 90. chodziłam do liceum prowadzonego przez urszulanki i dało mi to cztery lata solidnej pracy z tekstami biblijnymi. Niestety, nie zawsze tak jest. Moja córka w podstawówce zdecydowała, że zrezygnuje z religii i pójdzie na etykę, prowadzoną przez fantastycznego nauczyciela, jak się później zresztą okazało, prawosławnego księdza. Gdy na korytarzu katechetka spytała o powody zmiany, moje dziecko odparło: „Na etyce można zadawać pytania".

W książkach do katechezy można za to znaleźć odpowiedzi.

„W jednym z podręczników do klasy pierwszej znalazłem takie stwierdzenie: »Małżeństwa mieszane często zawodzą (z Arabami rozpadają się prawie wszystkie, z Murzynami około 75%), o wiele szybciej niż te z jednego kręgu kulturowego. Różnica religii sprawia, że nie możemy świętować tego samego, w tym samym czasie«. To się w głowie nie mieści! Nie dosyć, że treść jest rasistowska, to jeszcze stygmatyzująca małżeństwa mieszane" – denerwował się w wydanym w 2020 r. wywiadzie rzece przeprowadzonym przez Dawida Gospodarka ks. Wyżkiewicz („Ostatni dzwonek", Biblioteka Więzi, 2020).

To nie żaden wyjątek. W widniejącym na oficjalnej liście Komisji Wychowania Katolickiego KEP podręczniku do I klasy LO „W poszukiwaniu wolności" można wyczytać, że homoseksualizm to efekt „współdziałania szeregu różnych czynników środowiskowych". A w innym miejscu krótką diagnozę zjawiska transpłciowości (choć to słowo nie pada): „Trzej badacze zagadnienia tożsamości płciowej, G. Aardweg, R. Cohen i J. Nicolosi zgodnie twierdzą, że problemy w tej dziedzinie mają swoje źródło w toksycznych, niedojrzałych relacjach w rodzinie lub środowisku".

Kto odpowiada za podobne treści i efekt ich oddziaływania, np. na transpłciowych nastolatków? Tylko Kościół czy może też państwo, skoro organizuje i finansuje lekcje religii? Dzisiejsza formuła odpowiedzialności jest niejasna: nauczycieli w szkole zatrudnia dyrektor, ale katecheci dostają tzw. misję kanoniczną od biskupa. Podobnie jest z nauczanymi treściami: są pod kontrolą Kościoła, choć autoryzuje je niejako państwo.

– Konkordat w jednej kwestii wymaga na pewno renegocjacji – uważa prof. Borecki. – Trzeba dopisać do niego prawo weta po stronie państwa w sytuacji, gdy jakiś fragment podstawy programowej albo podręcznika godzi w obiektywne przepisy prawa państwowego. Np. te, które chronią przed dyskryminacją ze względu na wyznanie, orientację czy płeć.

Ale skandaliczne treści w podręcznikach to nie jedyny punkt krytyki, jaka pojawia się od trzech dekad pod adresem lekcji religii. Nie brakuje głosów, że katechezę gubi najzwyklejsza nuda i rutyna. Jan Wróbel: – Pamiętam tylko jednego polityka, który wyśmiewał pomysł wprowadzenia jej do szkół. Nazywał się Janusz Korwin-Mikke i mówił, że religia na tym straci, bo stanie się takim samym nudnym przedmiotem, jak wiele innych. Proroczo.

– Dlaczego proroczo?

– Sam jestem z pokolenia salek katechetycznych i pamiętam, jaką odskocznię od rutyny one dawały. Ówcześni katecheci to może nie byli wybitni dydaktycy, ale byli u siebie, więc te lekcje miały charakter autentycznego spotkania. A potem? Oceny, nieprzyniesiony zeszyt,

minus za brak aktywności, czyli rzeczywistość jak na każdej innej lekcji.

We wspomnianym już „Ostatnim dzwonku” ks. Wyżkiewicz punktuje m.in.: „robienie ze szkoły kościoła” (np. organizowanie w jej murach modlitw); jakość pracy niektórych katechetów; nijakość i miałkość podręczników („Większość to jakieś pobożne rozważania, zresztą dość infantylne”); dogmatyzm podstaw programowych.

– Skoro trzy lata temu był „ostatni dzwonek” do zmiany, co jest dzisiaj? – pytam ks. Wyżkiewicza.

– Nie chcę tak na to patrzeć – odpowiada. – Zresztą widzę też zmiany na lepsze. Środowisko katechetów się nieco przebudziło, powstało trochę ciekawych autorskich programów nauczania, zmieniono kilka podręczników. Choć trzeba przyznać, że to działania oddolne. Bo już oficjalne gremium, które przygotowuje programy i podręczniki, czyli Komisja Wychowania Katolickiego KEP, zmianom nie podlega. Studiuję teraz katechetykę w Anglii, obserwuję też to środowisko w krajach nordyckich – uczą tam młode, dobrze wykształcone kadry, zarządzane przez praktyków. U nas rządzą osoby, które albo nigdy z praktyką nie miały nic wspólnego, albo miały, ale dawno temu.

Ks. Wyżkiewicz dodaje, że obecne programy nie biorą pod uwagę... rozwoju uczniów. – Ci w szóstej, siódmej, ósmej klasie podstawówki, a już tym bardziej w liceum nie są w stanie przełknąć dogmatyzmu – mówi duchowny. – Przyjęliśmy w Polsce konfesyjny model nauczania religii, tylko że on się mniej więcej od piątej klasy wzwyż nie sprawdza! Pojawiają się pytania egzystencjalne, na które trzeba odpowiedzieć. Podstawy programowe tego nie przewidują.

> Laicyzacja pustoszy kościoły, zmienia poglądy i postawy – ale szkole wymierza relatywnie niski wymiar kary.

Dwa lata temu minister edukacji Przemysław Czarnek mówił – na pytanie o „rzeczy najważniejsze”, których ma uczyć szkoła – że dla jego dzieci tą najważniejszą rzeczą jest zbawienie. Wtedy ks. Wyżkiewicz nazwał jego wypowiedź ideologizacją, a „wręcz fanatyzmem”.

– A może minister miał prawo to mówić, skoro nauczanie religii odbywa się w Polsce w modelu konfesyjnym? – pytam duchownego.

– Nie, szkoła nie jest od zbawiania, tylko od uczenia. Ale do rozważenia jest model jednej godziny religii w szkole, gdzie nauczyciel skupiałby się bardziej na wymiarze religioznawczym, i jednej w parafii, gdzie odbywałaby się katecheza. Choć w wielu miejscach byłoby to trudne ze względu na brak salek.

Filozof i teolog Piotr Sikora, publicysta „Tygodnika” i były katecheta, też widzi niespójności w kościelnej koncepcji lekcji religii. – Już sama nazwa najważniejszego dokumentu: „Podstawa programowa katechezy Kościoła katolickiego” sugeruje, że przyjęliśmy konfesyjny model tej lekcji – mówi. – Podobnie zamieszczone w niej tzw. cele katechetyczne, np. „przygotowanie do pełnego uczestnictwa w Eucharystii” w klasach 1-4, czy „pomoc w odkrywaniu obecności Boga” w klasach V-VIII. A równocześnie przy okazji różnych debat na temat tego przedmiotu biskupi używają często argumentu, że religia to bardzo ważny element wiedzy. Ale na razie nijak się to ma do celów katechetycznych w podstawie programowej, gdzie tych religioznawczych elementów w zasadzie nie ma.

– W konfesyjnym modelu nie ma niczego złego – puentuje Sikora. – Jednak jest pytanie o spójność kościelnej narracji. I o to, czy miejsce tak zdefiniowanej lekcji religii jest na pewno w szkole? Moim zdaniem nie.

Na razie jednak przedmiot ten w murach szkolnych pozostanie. Ale jeśli się nie zmieni, a trend spadku frekwencji się utrzyma, będzie się żegnał ze szkołą sam. Po cichu, bez kontrowersji. Bez pytania o zgodę polityków oraz biskupów.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

**TYGODNIK POWSZECHNY** ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

**Redaktor naczelny** Piotr Mucharski
**Redaktor senior** ks. Adam Boniecki
**Zastępcy redaktora naczelnego:** Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
**Dyrektor artystyczny** Marek K. Zalejski
**Wiara:** Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
**Kraj:** Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
**Świat:** Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
**Historia:** Wojciech Pięciak
**Nauka:** Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
**Kultura:** Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
**Reportaż:** Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła
**Fotoedycja:** Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
**Wydanie internetowe:** Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
**TP Typografia:** Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
**Korekta:** Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
**Marketing i sprzedaż:** Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
**Rozwój cyfrowy:** Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
**Redaktor wydań specjalnych:** Michał Okoński
**Felietony:** Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
**Menedżer produktu WWW:** Bartłomiej Swojak
**Stale współpracują:** Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
**WYDAWCA** Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
**Zarząd:** Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes)
**Adres wydawcy i redakcji:** ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
**Reklama, promocja:** tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
**Prenumerata:** tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
**Projekt graficzny:** Marek Knap i Marek Trojanowski

**Druk:** Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

**„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny**

MAŁGORZATA

# Kordowicz:
## *Wyrok na Rachelę*

Jakub, po dwudziestu latach zamieszkiwania u swego wuja, a zarazem teścia Labana, ma już wyraźnie dosyć jego oszustw polegających na częstych niekorzystnych zmianach warunków zatrudnienia. Na pastwisku, gdzie Labanowe ucho nie sięga, Praojciec naradza się ze swoimi żonami na temat planowanego powrotu do Kanaanu. Przed potajemnym wymarszem, kiedy ojciec zajęty jest strzyżeniem owiec, Rachela kradnie jego *terafim* (Cylkow: „bożki", zob. Rdz 31, 19). W przyszłości przyjdzie jej zapłacić za to bardzo wysoką cenę.

Zorientowawszy się, że Jakub wraz z rodziną i dobytkiem uciekł, Laban puszcza się w pościg. Dopędziwszy zbiegów, wygłasza tyradę, którą kończy pytaniem: „Ale czemu skradłeś bogi moje?" (wers 30). Jakub nie ma pojęcia, że Rachela zabrała ojcowe *terafim*, więc śmiało odpowiada wujowi: „Ten zaś, u którego znajdziesz bogi twoje, żyć nie będzie; wobec krewnych naszych rozpoznawaj, co jest u mnie, i zabierz sobie!" (wers 32). Laban przystępuje do rewizji namiotów. Rachela chowa *terafim* pod siodło, siada na nim i gdy ojciec robi u niej kipisz, przeprasza go, że nie wstanie, albowiem ma właśnie „właściwość kobiet" (wers 35). Po bezowocnych poszukiwaniach teść zawiera z Jakubem pakt o nieagresji i wraca do domu.

Midrasz mówi, że Jakub – nieświadomie – wydaje wyrok na ukochaną żonę, która przed osiągnięciem celu podróży umiera przy porodzie (zob. 35, 19). Dlaczego Rachela decyduje się ukraść z rodzinnego domu *terafim*? Zgodnie z zasadą, by oceniać każdą osobę przychylnie, komentatorzy starają się przypisać jej dobre intencje. Zrobiła to, by uratować rodzica od bałwochwalstwa – mówi jeden, a kolejny wzmacnia przekaz: aby ojciec zastanowił się i stwierdził, że bóstwo, które daje się ukraść, na niewiele się komukolwiek zda. Kolejny polemizuje – jeżeli motywacją jest przeciwdziałanie idolatrii, dlaczego kobieta nadal ma *terafim* ze sobą?

Bardzo zasadne pytanie, skoro wiadomo z dalszego etapu podróży, że Praojciec jest w tym względzie dość zasadniczy (zob. 35, 2-4). Tenże egzegeta, wytrącając sobie argument z ręki, szuka innego pozytywnego uzasadnienia czynu Racheli: nie chce, by ojciec się dowiedział, jakim szlakiem podążają zbiegowie. Tym samym nawiązuje do innych funkcji *terafim* – tu: wróżbiarskich – których możemy domyślać się z innych kontekstów, w których występuje to słowo (zob. np. Sdz 17, 5). Nie sposób wyłowić z nich koherentny obraz tego, czym dokładnie były. W każdym razie już król Jozjasz, przeprowadzając reformę religijną, wytępił „wieszczbiarzy i znachorów, i bożki domowe [hebr. *terafim*], i bałwany, i wszystkie one ohydy" (2 Krl 23, 24). Strońmy od nich – lary i penaty nam niepotrzebne. ©

O. WACŁAW

# Oszajca:
## *CV Chrystusa*

Pod koniec adwentu usłyszymy, że „dziś w mieście Dawida narodził się wam Zbawiciel, który jest Chrystusem Panem". Ale zaraz, przecież Jezus narodził się między ósmym a czwartym rokiem przed nową erą. W tym roku będziemy świętować Jego kolejne urodziny. Natomiast Paweł Apostoł w 1 Liście do Koryntian twierdzi: „Wy jesteście Ciałem Chrystusa, a każdy z was jest Jego częścią", oraz w Liście do Galatów: „Żyję już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus. A jeśli żyję teraz na świecie, to żyję dzięki wierze w Syna Bożego". W okresie bożonarodzeniowym nie chodzi więc tylko o wspominanie przeszłości czy wybieganie w najdalszą przyszłość, ale o przypomnienie, pełniejsze uświadomienie sobie, że Kościół jest „sprawą Jezusa", a jego dzieje to Jego CV. To dlatego na początku adwentu słyszymy: „Miejcie oczy szeroko otwarte, czuwajcie, gdyż nie wiecie, kiedy nadejdzie odpowiedni czas. Będzie podobnie jak z człowiekiem, który udał się w podróż. Zostawił swój dom, powierzając sługom staranie o wszystko. Każdemu wyznaczył zajęcie, a stróżowi kazał czuwać. Dlatego czuwajcie, bo nie wiecie, kiedy pan domu przyjdzie (...) aby przychodząc nagle, nie zastał was śpiących! To, co wam mówię, mówię wszystkim: Czuwajcie!".

Apostołowie Piotr, Jakub, Jan i Andrzej pytają Jezusa: „Powiedz nam, kiedy to nastąpi? I jaki będzie znak, że to wszystko zacznie się spełniać?". Jezus daje odpowiedź na pozór wymijającą: „Uważajcie, aby was ktoś nie zwiódł. Wielu przyjdzie w moim imieniu i będzie mówić: Ja jestem. I wielu wprowadzą w błąd". Dlatego „jeśli ktoś wam powie: Oto Chrystus jest tutaj, oto jest tam – nie wierzcie. Pojawią się bowiem fałszywi Chrystusi i fałszywi prorocy. Będą czynić znaki i cuda, aby – jeśli to możliwe – wprowadzić w błąd wybranych. Miejcie więc oczy szeroko otwarte! Wszystko wam zapowiedziałem". Tych ostrzeżeń Jezus nie kieruje na zewnątrz, ale do wnętrza Kościoła, dzisiejszego Kościoła, do każdego chrześcijanina, który je słyszy. Nakłaniają one do zastanowienia, czy przypadkiem również ja, wierząc niezachwianie w niepodważalność moich religijnych przekonań, nie stałem się już owym Chrystusikiem?

„Miłość usprawiedliwia wszystko i czyni wszystko dobrym. Wszystko, co jest wyrazem autodeterminacji z zasady jest dobre i za takie powinno być uznane przez Kościół" – takie opaczne rozumienie miłości zarzuca niemieckiemu Kościołowi biskup polskiego Kościoła. Ale czy żądając od innych przyjęcia mojego, przeciwnego poglądu, w tym przypadku – na Kościół, nie postępuje się podobnie? A przecież Jezus najlepiej się czuł i był rozumiany przez tych, którzy tradycyjnie w oczach sprawiedliwych uchodzili za potępionych i odrzuconych przez Boga. „Gdybym miłości nie miał" i tak dalej... ©

KARD. GRZEGORZ

# Ryś:
## *Kościół ogrodzony*

*Rzeczy duchowe są wyżej nad materialnymi. A im są wyższe, tym szersze się stają – i obejmują także materialne.*

MISTRZ ECKHART

*Choć sieć Nieba jest rzadka – wszystko w nią wpada.*

LAOZI

Jezus płacze nad Jerozolimą (zob. Łk 19, 41-44). Płacze z miłości. Bezsilnej. Jakże podobny do Jeremiasza, który sześć wieków wcześniej całe swoje życie i wszystko, co miał, oddał temu Miastu, które osuwało się w samozniszczenie. Nic nie wskórał, każde jego zdanie było odrzucane, uznano go za zdrajcę; niewiele zabrakło, by został zabity.

Teraz Jezus widzi to samo: śmiertelne niebezpieczeństwo zagrażające jego ukochanemu, świętemu miastu: „Twoi nieprzyjaciele (...) powalą na ziemię ciebie i twoje dzieci z tobą, a nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu". Dlaczego? Czy Miasto ma za niskie mury i za słabe bramy? Nie: dlatego, że „nie rozpoznało czasu swojego nawiedzenia".

To jest prawdziwy dramat Miasta, przetrącający jego tożsamość: Miasto Boga nie rozpoznaje Boga, który doń przychodzi. Dlaczego Jego przyjście „jest zakryte przed [jego] oczyma"? Czy mówi w sposób tajemny? Ależ skąd, już się prościej nie da. Mówi w przypowieściach i w potężnych znakach, wie bowiem, że słuchając – nie słyszą, i patrząc – nie widzą.

Odpowiedź ukryta jest pewnie w zapisanym u Mateusza zdaniu o Ojcu, który „zakrywa te rzeczy przed mądrymi i roztropnymi, a objawia je prostaczkom". Nie słyszą i nie widzą, gdyż są „mądrzy i roztropni", ale na swój własny, ludzki, doczesny sposób. To, w jaki sposób Bóg „nawiedza" ich w Jezusie, idzie pod prąd ich mądrości i roztropności. Więc Jego słowa i czyny pojmują jako atak na swoje instytucje i przekonania.

Czytamy tę Ewangelię nie po to jedynie, by analizować sytuację sprzed dwudziestu wieków. Ona odnosi się do nas. Co decyduje o sile i bezpieczeństwie Kościoła? Wysokość murów? Moc bram? Głębokość fosy? Wszystko, czym możemy się oddzielić od tych, których uznaliśmy za wrogów: zabezpieczenia prawne, kanoniczne, strukturalne?

Nie. O bezpieczeństwie i sile Kościoła decyduje jego wrażliwość i otwartość na każdy „moment (*kairos*) nawiedzenia" przez Pana. Decyduje autentyczność, prawdziwość i świeżość jego relacji z Bogiem przez Jezusa w Duchu Świętym. Kościół wypełniony Bogiem jest jak Miasto zstępujące z góry (zob. Ap 21), które ma bramy otwarte dzień i noc. Niczego i nikogo się nie obawia. Jest bezpieczne i gościnne wobec każdego. Ale też jest tak dalece przeniknięte Bogiem, że nie potrzeba mu osobnej świątyni, specjalnego „miejsca" wyodrębnionego dla Pana; całe jest Bożą rzeczywistością.

Wierzę głęboko, że nasz Kościół przeżywa właśnie kolejny, bardzo szczególny i intensywny „moment nawiedzenia" przez Pana. Tym momentem jest Synod o synodalności. To wielki czas działania Ducha Świętego. Od rozpoznania i przyjęcia tego czasu i tej aktywności zależy życie i bezpieczeństwo Kościoła. A nie od podwyższania murów i pogłębiania fos, w lęku przed trafnie lub nietrafnie identyfikowanymi wrogami. ©

### CZYTANIA LITURGICZNE (3 – 10 XII)

**1. niedziela Adwentu: Iz 63, 16b-17. 19b. 64, 2b-7; Ps 80; 1 Kor 1, 3-9; Mk 13, 33-37;**
**Poniedziałek: Iz 2, 1-5; Ps 122; Mt 8, 5-11;**
**Wtorek: Iz 11, 1-10; Ps 72; Łk 10, 21-24;**
**Środa: Iz 25, 6-10a; Ps 23; Mt 15, 29-37;**
**Czwartek: Iz 26, 1-6; Ps 118; Mt 7, 21. 24-27;**
**Piątek, uroczystość Niepokalanego Poczęcia NMP: Rdz 3, 9-15. 20; Ps 98; Łk 1, 26-38;**
**Sobota: Iz 30, 19-21. 23-26; Ps 147; Mt 9, 35 – 10, 1. 5a. 6-8;**
**2. niedziela Adwentu: Iz 40, 1-5. 9-11; Ps 85; 2 P 3, 8-14; Mk 1, 1-8.**

Wybrał PIOTR SIKORA

# RACHUNKI Z BALCEROWICZEM

On sam uważa się za strażnika kanonu zdrowej ekonomii. Młodszym ekspertom, którzy właśnie przejmują stery polskiej gospodarki, Leszek Balcerowicz jawi się jako ktoś, kto nie uczy się ani na swoich, ani na cudzych błędach.

MAREK RABIJ

Gdyby był fizykiem, miałby, jak mówi, łatwiej, bo o tej dyscyplinie dyskutują tylko fachowcy. Na ekonomii znają się za to wszyscy. Dlatego w wieku 76 lat Leszek Balcerowicz wciąż musi się bić o jej pryncypia. – Największe szkody w ekonomii powodują zresztą ekonomiści – zaznacza. – Wystarczy przypomnieć, do czego w gospodarce i relacjach społecznych doprowadzili marksiści.

Sygnatariuszom listu otwartego do przyszłych rządzących, jaki z inicjatywy stowarzyszenia Polska Sieć Ekonomii wystosowało właśnie ponad stu naukowców i działaczy społecznych, nie oberwało się wprawdzie od marksistów, ale i tak musiało ich zaboleć. Na antenie RMF FM Balcerowicz zarzucił im „intelektualną, jeśli nie moralną kompromitację".

Poszło w zasadzie o jedno zdanie. „Pieniądze są i będą" – napisali sygnatariusze listu, apelując do ugrupowań przyszłej koalicji, aby nie rezygnowały z realizacji obietnic socjalnych złożonych podczas kampanii wyborczej. Ich zdaniem, stan polskiej gospodarki i budżetu nie uzasadnia wielkich cięć. Podpisani domagali się także przemyślenia modelu rozwojowego Polski, który ich zdaniem dotąd opierał się głównie „o napływ zagranicznego kapitału, eksport i mało innowacyjne podwykonawstwo". W efekcie Polska stała się krajem „o relatywnie niskich płacach, niskich podatkach dla największych korporacji i niskich nakładach na dobra publiczne i wspólne". Pod listem podpisało się kilkunastu ekonomistów, w tym prof. Marcin Piątkowski, pracujący obecnie w Banku Światowym w Waszyngtonie, dr Marek Naczyk z Uniwersytetu w Oksfordzie, a także prof. Ryszard Szarfenberg, politolog z Instytutu Polityki Społecznej Uniwersytetu Warszawskiego, oraz prof. Ewa Bińczyk, filozofka z Torunia specjalizująca się w badaniach nad antropocenem. Wśród sygnatariuszy nie zabrakło również przedstawicieli kultury, działaczy społecznych, a nawet językoznawców i ludzi techniki.

– Z ośmiu lat rządów Prawa i Sprawiedliwości Polska wychodzi z deficytem budżetowym sięgającym 6 proc. PKB, czyli dwukrotnie wyższym od maksymalnego pułapu dopuszczonego w Unii – z trudem kryje irytację Leszek Balcerowicz. – Inflację również mamy jedną z najwyższych w Europie, a wzrost gospodarczy właściwie zamarł. Jeśli w takiej sytuacji ktoś uważa, że nie czas na ograniczenie wydatków budżetowych, to mogę tylko wzruszyć ramionami. Na gruncie danych się nie porozumiemy.

Rzecz w tym, że na tak sformułowany zarzut oponenci Balcerowicza odpowiadają w identyczny sposób. Ich zdaniem, z Leszkiem Balcerowiczem o liczbach nie da się dyskutować. Od jakiegoś czasu do wiadomości przyjmuje tylko te, które potwierdzają jego diagnozy.

### Architekt

Prof. Marcin Piątkowski na rozmowę o Leszku Balcerowiczu zgadza się z zastrzeżeniem, że wyrażone przez niego opinie nie zostaną utożsamione z oficjalnym stanowiskiem Banku Światowego. – Mam wielki szacunek dla dorobku profesora w reformowaniu gospodarki na początku transformacji, chociaż nie brakowało w niej mankamentów. Ale jako ekonomista nie mogę też nie dostrzegać paradoksu tej postaci. Leszek Balcerowicz, główny architekt ustroju gospodarczego III RP, to samo państwo, które współtworzył, uważa teraz za największe zagrożenie dla gospodarki wolnorynkowej. Jej fundamentem, zdaniem profesora, są niskie podatki i minimalistyczne państwo, przypominające te z XIX wieku. Problem w tym, że nasz kraj od 1989 roku znacząco się zmienił: dzisiaj Polska jest ponad trzy razy bogatsza niż na początku transformacji i recepty, które miały sens wtedy, kiedy dysponowaliśmy PKB na poziomie rozwoju współczesnego Wietnamu, obecnie nie mają sensu.

Zamiast „zaciskania pasa", Piątkowski proponuje inwestycje w edukację, naukę, innowacje, opiekę zdrowotną i niwelowanie nierówności dochodowych. Ten kierunek podpowiadają najnowsze badania,

TOMASZ GZELL / PAP

które pokazują, że właśnie taka polityka pozwala utrzymać wysokie tempo rozwoju. – Leszek Balcerowicz do finansów publicznych ma jednak stosunek doktrynerski. Chce ciąć wydatki zarówno w czasie kryzysu, jak i w czasie wysokiej koniunktury, co wskazuje, że nie chodzi mu o dobrą politykę makroekonomiczną, ale o zminimalizowanie roli państwa. Niski deficyt budżetowy w jego doktrynie jest celem samym w sobie, nie środkiem do celu, jakim jest rozwój gospodarczy. Chętnie bym z nim o tym podyskutował, ale już jakiś czas temu zablokował mnie w swoich mediach społecznościowych – śmieje się Piątkowski.

Rozmowa z Leszkiem Balcerowiczem o polityce gospodarczej rzeczywiście nie jest łatwa. Profesor przyznaje, że poziom wydatków socjalnych plasuje dziś Polskę zaledwie nieco powyżej unijnej średniej – ale od razu dodaje, że jego zdaniem to i tak za dużo jak na kraj na tym etapie rozwoju gospodarczego. Zwłaszcza że – podkreśla ↦

*Leszek Balcerowicz na gali wręczenia Nagrody Polskiej Rady Biznesu, Warszawa, maj 2023 r.*

– większość tych wydatków pochłonęły po prostu podwyżki emerytur. W narracji Balcerowicza o polskim „socjalu" brak jednak ważnego punktu odniesienia, jakim jest polityka społeczna innych krajów rozwiniętych. Według szacunków Organizacji ds. Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) publiczne wydatki socjalne w tym klubie wciąż utrzymują się na bardzo wysokim poziomie. W 2022 r. wyniosły około 21 proc. PKB grupy. To nieco więcej niż w 2019 r., gdy sięgnęły około 20 proc., ale mniej niż w 2020 r., naznaczonym Covid-19. Wtedy bowiem wydatki te podskoczyły aż do 23 proc. PKB. W okresie pandemii Polska zareagowała więc podobnie jak większość państw. Potem jednak uderzyła wysoka inflacja, z którą upolityczniony Narodowy Bank Polski sobie nie poradził, bo zbyt późno ruszył z podwyżkami stóp procentowych. Rząd dolał zaś oliwy do ognia, pompując do gospodarki kolejne miliardy złotych w formie tarcz. W efekcie, kwituje Leszek Balcerowicz, znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia: z wysokim deficytem budżetowym, nieopanowaną inflacją i gasnącym wzrostem gospodarczym.

W tym miejscu diagnozy młodszych ekonomistów przestają się zgadzać z jego opisem rzeczywistości. Według Balcerowicza mamy ostatni moment, by uciec stagflacji (wysokiej inflacji połączonej z wolnym wzrostem gospodarki) poprzez ograniczenie wydatków budżetowych. Według jego oponentów – gospodarka potrzebuje dalszej publicznej stymulacji. Deficyt budżetowy, owszem, jest ich zdaniem wysoki, ale to tylko jeden z wielu parametrów. Ważniejsze jest utrzymanie tempa wzrostu gospodarki, zwłaszcza wydatków konsumpcyjnych. Dzięki temu deficyt budżetowy zrównoważy się niejako sam, za sprawą wyższych wpływów z podatków, zwłaszcza VAT. Pieniądze na stymulację gospodarki będą oczywiście pochodzić z długu, ale jeśli rośnie też PKB, nie ma problemu. Relacja długu publicznego do PKB pozostanie na bezpiecznym poziomie. – Ja oczywiście znam te pomysły – irytuje się Leszek Balcerowicz. – Uważam jednak, że w sytuacji, w jakiej znajduje się dziś Polska, uwaga rządzących powinna koncentrować się na najpilniejszych problemach. W tej chwili kluczowe jest szybkie ograniczenie szkodliwej roli państwa w gospodarce. PiS ją niebezpiecznie upolitycznił. Potrzebna jest prywatyzacja, ale nie łudźmy się, że wystarczy po prostu zastąpić Daniela Obajtka i innych ludzi z tego nadania, a problem cudownie zniknie. Pozostanie też nadmierna koncentracja w wielu dziedzinach gospodarki, co skutkuje oczywiście osłabieniem konkurencji. W programie nowej koalicji na razie nie odnalazłem odniesień do obu tych zagrożeń, ale mam nadzieję, że to się zmieni. Nikt nie zgłosił też postulatu podwyższenia podatków. Padły za to zapowiedzi podwyższenia kwoty wolnej, co oczywiście oznacza mniejsze wpływy budżetowe. Odczytuję to jako zapowiedź ograniczenia wydatków budżetowych – mówi profesor.

> W świecie Balcerowicza właściwie każda pomoc dla firm jest inwestycją. **Pieniądze dla obywateli stają się natomiast rozdawnictwem.**

Sławomir Dudek, wieloletni pracownik resortu finansów, obecnie zaś główny ekonomista założonego przez siebie Instytutu Finansów Publicznych, również uważa, że rząd PiS nie dał następcom wolnej ręki w kwestii budżetu. Ponad trzysta miliardów złotych rząd wydał poza budżetem, za pomocą specjalnych funduszy. – Będziemy mieć wielkie cięcie wydatków pod koniec roku – zaznacza Dudek.

### Realista

Profesorka ekonomii z Warszawy o Leszku Balcerowicz woli rozmawiać anonimowo. Znają się od kilkunastu lat, ale profesor jej zdaniem źle znosi głosy krytyczne: – Zgadzam się z diagnozą sygnatariuszy listu do przyszłego rządu, ale nie umiem też odmówić słuszności argumentom Balcerowicza, bo jego stanowisko to głos praktyka. Tamci mówią, że możemy się bezpiecznie zadłużać, bo dług publiczny Polski nie przekracza nawet 49 proc. PKB, podczas gdy taka Francja ma go powyżej 110 proc. Tyle że Francja pożycza na rynkach międzynarodowych mniej więcej dwa razy taniej niż my, bo cieszy się opinią bardziej przewidywalnego dłużnika. Gdyby pójść za radami profesora, pewne jest, że w finansach publicznych najpóźniej za kilka lat wróci porządek. Pytanie brzmi, czy w tej chwili bardziej potrzebujemy porządków w publicznej kasie po ośmiu latach rządów PiS, czy zrównoważonego rozwoju gospodarki bez rosnących napięć społecznych i nierówności dochodowych. Bo tego ostatniego doktryna Balcerowicza nie obejmuje.

Balcerowicz nie ukrywa rozczarowania populistyczną, jak mówi, postawą Platformy Obywatelskiej, która w zakończonej niedawno kampanii złożyła chyba najhojniejsze propozycje. Tzw. babciowe, podniesienie kwoty wolnej od podatku do 60 tys. złotych, 800+ wypłacane wstecznie od czerwca tego roku. Jeden z ośrodków analitycznych podliczył tylko te zapowiedzi na około 55 mld zł rocznie. Dlatego ze wszystkich startujących w wyborach ugrupowań profesorowi najbliżej dziś do Trzeciej Drogi.

– W jej programie wyborczym widzę najmniej populizmu. Jest to również ugrupowanie, które do parlamentu wprowadziło najwięcej kandydatów niebędących zawodowymi politykami. Uważam to za atut. Polskiej polityce bardzo brakuje ludzi, którzy osiągnęli coś poza nią, mają inne doświadczenie i perspektywę niż ta, na którą stać osoby, które od lat zajmują się wyłącznie polityką – wyjaśnia.

Na liście gospodarczych postulatów Trzeciej Drogi pojawiło się jednak hasło, z którym politycy ugrupowania mają dziś problem. To tzw. dobrowolny ZUS. Początkowo sugerowali, że są za pełną dobrowolnością ubezpieczeń społecznych, rywalizując w ten sposób z Konfederacją o głosy drobnych przedsiębiorców. Z czasem zniuansowali przekaz i dziś mówią raczej o uldze dla podmiotów przeżywających kłopoty finansowe. Co do zasady, Leszek Balcerowicz samego pomysłu chwilowej ulgi dla firm w tarapatach nie odrzuca. – W tej chwili trudno mi go oceniać, bo nie przybrał konkretnego kształtu, nie da się więc przewidzieć jego ewentualnych konsekwencji.

Profesorka ekonomii z Warszawy: – To charakterystyczne. W świecie Balcerowicza właściwie każda pomoc dla firm jest inwestycją. Pieniądze, które rząd transferuje do obywateli, stają się natomiast rozdawnictwem.

### Autorytet

Doktor ekonomii urodzony w latach 80., obecnie pracujący w jednym z europej-

KRZYSZTOF WÓJCIK / FORUM

*Leszek Balczerowicz podczas posiedzenia rządu Tadeusza Mazowieckiego, Warszawa, 6 listopada 1989 r.*

skich uniwersytetów, już w pierwszym zdaniu rozmowy o Balcerowiczu przyznaje się do fascynacji tą postacią: – Kiedy on wprowadzał pionierskie reformy, ja uczyłem się chodzić. Nasz zawodowy dorobek dzieli przepaść, dlatego nie wypada mi go publicznie oceniać. Co oczywiście nie znaczy, że się z nim zgadzam.

Leszek Balcerowicz, jak zauważa ekonomista, nie niuansuje. – Kiedy sprzeciwia się własności państwowej, mówi to samo, co większość współczesnych badaczy, bo poza wycinkiem rynku, jakim są branże strategiczne, nie ma argumentów za utrzymywaniem własności publicznej w gospodarce, są natomiast liczne argumenty przeciwko niej. Tyle że wyrzucając państwo z gospodarki, Balcerowicz mówi „nie" każdej formie jego obecności na wolnym rynku. Najnowsze badania pokazują na przykład, że redystrybucja dochodów przez państwo może łagodzić kryzysy, a nawet stymulować wzrost gospodarczy. Balcerowicz dostrzega w niej jednak wyłącznie zagrożenie i nazywa etatyzmem. W czasach, kiedy rozwijał swoją agendę, o znaczeniu redystrybucji w gospodarce mówiło i pisało się stosunkowo niewiele, dopiero lata dwutysięczne przyniosły wysyp badań i publikacji na ten temat. Możliwe, że Balcerowicz ich po prostu nie zna, choć moim zdaniem znać powinien.

Prof. Elżbieta Mączyńska ze Szkoły Głównej Handlowej, wieloletnia prezeska Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego: – W ekonomii mówi się o istnieniu tak zwanej choroby noblowskiej. Uczeni, którzy otrzymali tę nagrodę, często kostnieją w poglądach, które ją im przyniosły. Przestają śledzić postęp nauki, nerwowo reagują na merytoryczną krytykę. Odnoszę wrażenie, że to samo stało się z profesorem Balcerowiczem. Za przeprowadzenie transformacji na początku lat 90. należy mu się podziw i miejsce w historii. Niewykluczone, że może być też zmęczony nagonką ze strony środowisk, które uczyniły z niego czarnego luda tamtej epoki. Ale przecież merytoryczna rozmowa o warunkach i następstwach ówczesnych decyzji, podejmowanych w ramach tzw. terapii szokowej, tego miejsca w historii profesorowi nie odbierze. Jednak on konsekwentnie takich rozmów unika. Swego czasu zaprosiliśmy go do głównej debaty na organizowanym przez PTE Kongresie Ekonomistów Polskich. Niestety, zaproszenia nie przyjął.

– Dlatego w ogóle nie postrzegam go jako naukowca – kontynuuje cytowany wyżej ekonomista młodego pokolenia. – Nie widuję go na konferencjach naukowych w roli prelegenta. Pojawia się na nich czasem jako gość honorowy, co zapewnia mu wygodną pozycję kogoś, komu nie zadaje się trudnych pytań. Nie publikuje nowych artykułów, w których dzieliłby się wynikami własnych badań. Ma oczywiście na koncie wiele publikacji, ale to nie artykuły czy książki zbierające stan wiedzy na dany temat lub przesuwające jej horyzont, lecz publicystyka ekonomiczna. Balcerowicz pisze w nich głównie o transformacji, dzieli się swoimi doświadczeniami, stawia diagnozy. Dlatego myślę o nim raczej jako o kimś, kogo w świecie anglosaskim nazywa się mianem *policy maker*, czyli osobie mającej wpływ na rzeczywistość. Wydaje mi się, że on sam w tej właśnie roli odnajduje się najlepiej.

### Strateg

W maju, na progu kampanii, Leszek Balcerowicz podczas rozmowy z Onetem przyznał, że próbuje skontaktować się z Donaldem Tuskiem, żeby przekazać mu uwagi do programu wyborczego Koalicji Obywatelskiej. Bezskutecznie. Możliwe, że Tusk był po prostu zajęty. Z drugiej strony – o rozmowę prosił nie byle kto. Czyżby więc nawet dla politycznego centrum AD 2023 Balcerowicz stał się kłopotliwym sojusznikiem?

Wpływy profesora nadal wykraczają poza grono współpracowników z prowadzonej przez niego fundacji Forum Obywatelskiego Rozwoju, gdzie zgromadził wielu byłych uczniów. Ludzi, którzy przeszli przez szkołę Leszka Balcerowicza w SGH, można znaleźć dziś bowiem w niemal każdej ważnej uczelni ekonomicznej, każdym dużym banku, funduszu inwestycyjnym czy organie nadzoru nad rynkami finansowymi. Jakub Karnowski obecnie zasiada w zarządzie funduszu Luma Investement. Jarosław Bełdowski odnalazł się w cenionej kancelarii doradczej Dentons. Ludzi Balcerowicza nie brak też wciąż w polityce. Andrzej Rzońca do niedawna był głównym ekonomistą Platformy Obywatelskiej. Ryszard Petru, którego sam profesor wymienia w gronie swych najzdolniejszych uczniów, wszedł właśnie do Sejmu z listy Trzeciej Drogi.

Prof. Jarosław Flis, socjolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego, zwraca jednak uwagę na radykalizm recept Balcerowicza, które mogą czynić je politycznie bezużytecznymi. Podatek liniowy? Balcerowicz jest „za" co do zasady. Nie znajduje – jak mówi – argumentów natury moralnej za tym, by najbardziej przedsiębiorczy i pracowici oddawali państwu większą cząstkę dochodów od reszty.

W realiach napiętego polskiego budżetu trudno jednak wyobrazić sobie zejście z podatkiem liniowym poniżej 12 proc. – czyli poniżej obecnego pierwszego progu podatkowego. Powszechny liniowy PIT oznaczałby zatem podwyżkę obciążeń fiskalnych dla około 60-70 proc. polskich podatników – bo tylu nie przekracza dziś drugiego progu. ↦

↦ Zyskałaby garstka najlepiej sytuowanych. Trudno zatem oczekiwać, że politycy, bez względu na ideologiczną proweniencję, uznają tę propozycję Leszka Balcerowicza za atrakcyjną, nawet uwzględniając ewentualne korzyści budżetowe.

Podobnie rzecz ma się z progiem dochodowym w świadczeniu 800+. Leszek Balcerowicz nie raz opowiadał się za likwidacją tego programu, ale nawet jego najwierniejsi akolici zdają sobie sprawę, że dla każdej partii marzącej o sukcesie wyborczym to dziś pozycja nie do ruszenia. Poseł Trzeciej Drogi Ryszard Petru kompromisowo proponuje właśnie próg dochodowy, ale unika szczegółów. W nich bowiem tkwi problem. Próg zapewniłby bowiem budżetowi oszczędności, ale wywołałby też niezadowolenie, nie tylko u tych, którzy spadną poza próg. Reszta będzie bowiem zmuszona składać zeznania o dochodach. – Nie da się tego przeprowadzić najprościej, czyli w oparciu o roczne zeznania podatkowe, bo podatku PIT wciąż nie płacą rolnicy, zwolnione z niego są też osoby poniżej 26. roku życia, z których część jest już rodzicami – wylicza prof. Flis. – W wymiarze praktycznym ten postulat wydaje mi się zatem bezużyteczny.

Prof. Marcin Piątkowski: – W 1989 r. Leszek Balcerowicz nadał kierunek polskiej debacie gospodarczej i nadal ma na nią duży wpływ. Poza USA trudno mi wskazać drugi kraj, w którym bliska profesorowi myśl neoliberalna miałaby się wciąż tak dobrze. Na szczęście Polska się zmienia i powoli odchodzi od neoliberalnego, ekonomicznego darwinizmu.

Ekonomiści ze szkoły Balcerowicza chętnie porównują na przykład finanse publiczne do finansów rodziny. Ostrzegają, że państwo, jak gospodarstwo domowe, nie może na dłuższą metę wydawać więcej, niż zarabia. – Ostatnio polscy studenci na moich zajęciach zaczęli się z tej figury nabijać – mówi cytowany wyżej ekonomista młodego pokolenia. – Podkreślają, że gdy ktoś kupuje dom na kredyt, zadłuża się na pięcio-, dziesięciokrotność rocznych dochodów. Pytają, czy w takim razie znam państwo z długiem publicznym na poziomie 1000 procent PKB.

©℗ MAREK RABIJ

# Narracja pilnie poszukiwana

RAFAŁ MATYJA

**Potrzebujemy takiej doktryny sprawowania władzy, która byłaby własnością całego rządzącego układu, a nie tylko jednego z jego ośrodków czy też jednej z partii koalicyjnych.**

Rządzenie po PiS będzie trudniejsze niż rozliczenie tej formacji. Struktury państwa, partie polityczne, opinia publiczna oraz media przyzwyczaiły się do pewnego stylu sprawowania władzy. Jednoosobowego, wykorzystującego strach przed popadnięciem w niełaskę i obficie karmiącego własnych klientów profitami ze sprawowanej władzy. Jest jasne, że sposób kierowania państwem po epoce Jarosława Kaczyńskiego będzie inny: wieloosobowy i zracjonalizowany, choćby ze względu na konieczność współpracy w obliczu istniejących różnic w koalicji, a także w mniejszym stopniu oparty na dyscyplinie oraz klientelizmie.

### Reguły do lamusa

By sprawnie rządzić mechanizmem opartym na politycznym pluralizmie, trzeba mieć jakąś wspólną, ponadpartyjną opowieść – a nie trzy czy cztery różne historie. By przywrócić normalne funkcjonowanie administracji państwowej, trzeba również dość precyzyjnie sformułować oczekiwania wobec urzędników i funkcjonariuszy. W czasie poprzednich rządów Donalda Tuska można było opierać się na dość podobnych regułach, składających się na sposób funkcjonowania całej III Rzeczypospolitej, obowiązujący za czasów i Jerzego Buzka, i Leszka Millera, za Kazimierza Marcinkiewicza i za Marka Belki. Dziś żadna z tych reguł nie jest pewna, większość z nich wręcz zapomniana, a część – zapewne także dla nowej ekipy – niewarta kontynuacji.

Trzeba mieć coś, co wiek XX nazwałby doktryną rządzenia, a obecne stulecie pewnie narracją. Tyle tylko, że adresowaną nie do wyborców, lecz do ludzi, z którymi nowa władza będzie bezpośrednio współpracować. Współcześnie jest to o tyle trudne, że zaciera się odrębność kanałów komunikacji skierowanych do różnych grup, w szczególności wewnątrz elity administracyjno-politycznej. Właściwie wszystko lub prawie wszystko jest traktowane jak potencjalny komunikat wyborczy.

Bardzo trudno wyobrazić sobie zatem *exposé*, które będzie pełniło funkcję wykładu doktryny rządzenia. Co więcej, nie będzie też wzmacniającego przekaz „drugiego *exposé*", które w roku 2015 zaraz po Beacie Szydło wygłosił Jarosław Kaczyński. Był to wówczas ważny gest ustanawiający polityczne przywództwo szefa partii i jego realną zwierzchność nad organami konstytucyjnymi państwa, także nad rządem. Dziś nikt tego nie zrobi, bo najsilniejszy polityk większości sam zostanie premierem i będzie jednocześnie próbował kontrolować kilka bardzo istotnych procesów parlamentarnych. Nie tylko zwykłe projekty ustawodawcze, bo do tego aparat rządowy będzie przygotowany, ale także działania zmierzające do odzyskania wpływu na publiczne radio i telewizję, do naprawy sytuacji w Krajowej Radzie Sądownictwa i Trybunale Konstytucyjnym oraz do zmiany prezesa Narodowego Banku Polskiego. Równocześnie – jako szef partii – będzie musiał kontrolować przebieg przygotowań do kampanii samorządowej oraz śledzić efekty, także wizerunkowe, prac komisji śledczych.

Właściwie nic, co widzieliśmy w kampanii, nie uprawnia do przypuszczenia, że nastąpi wyraźna zmiana modelu przywództwa, sprawiająca, że wyżej wymienione obszary zostaną przeka-

ZBYSZEK KACZMAREK / FORUM

*Donald Tusk i Borys Budka przed posiedzeniem Sejmu X kadencji. Warszawa, 21 listopada 2023 r.*

zane jakiemuś partyjnemu numerowi 2 czy 3. Donald Tusk nie ogłosi takiej nowatorskiej doktryny rządzenia, bo musiałby się uwikłać w krępujące swobodę manewru deklaracje dotyczące reguł rozgrywki z PiS. Nie ogłosi jej również marszałek Sejmu Szymon Hołownia ani żaden z wicepremierów.

Z konieczności zatem taka doktryna przywracania porządków będzie patchworkowa, składająca się z cząstkowych deklaracji i działań. Będziemy ją wszyscy jakoś rekonstruować, jedni po to, by zachować się sensownie w polu władzy, inni, by po prostu zrozumieć nowy – wytwarzany po ośmioletniej epoce PiS – porządek.

Już w czasie rządów AWS pojawiło się wiele doktryn kieszonkowych, wyznawanych przez wąskie grupy polityczne, które przypisywały im jednak charakter centralny. Dotyczyły one np. idei samorządowej, kwestii ochrony majątku państwowego przed prywatyzacją, ścigania korupcji czy też zaostrzenia prawa karnego. Zasadniczą cechą tych doktryn było to, że ich wyznawcy uważali je za kluczowe dla wszystkiego innego. Przez doktrynę kieszonkową nie rozumiem cząstkowego pomysłu na działanie np. sektora usług zdrowotnych, ale taki pomysł cząstkowy, który ma regulować całą rzeczywistość – choćby przekonanie, że kluczem do wszystkiego jest zasadnicza zmiana w edukacji, demokracja bezpośrednia oraz jednomandatowe okręgi wyborcze.

## Pola konfliktów

Naturalnym polem deklarowania takich poglądów jest parlament. Dlatego kolizja takich doktryn kieszonkowych może pojawić się głównie w Sejmie, nie bez wpływu na kształt rządzenia, możliwość stabilizowania prac izby oraz prawdopodobne konflikty w koalicji. Już dziś wiemy, że część z tych doktryn zostanie skonstruowana wokół kwestii takich jak dostępność aborcji i szerzej – postulatów równościowych, a także rozliczenia PiS czy przywrócenia normalnego funkcjonowania sądownictwa oraz samorządów. Z elementami cofającymi nie tylko działania centralizacyjne, ale także wprowadzone przez PiS w 2018 r. ograniczenie wielokadencyjności wójtów, burmistrzów i prezydentów.

Wiele wskazuje także na to, że szczególnie działania zmierzające do „odzyskiwania państwa" po rządach PiS będą wzmacniane przez spektakularne awantury sejmowe, szeroko omawiane w mediach, a zatem owocujące ofensywą związanych z nimi doktryn kieszonkowych, zbudowanych wokół przywracania praworządności oraz pociągania do odpowiedzialności karnej polityków Zjednoczonej Prawicy odpowiedzialnych za naruszanie prawa i konstytucji. Przeciwwagą dla nich będą działania polegające na poszukiwaniu obszarów zgody ponad podziałami, w tym wciągania PiS w obręb realnego wpływu na proces legislacyjny. I one także będą miały własne doktryny kieszonkowe, rozsadzające parlament. To zaś bardzo utrudni suwerenne formułowanie choćby patchworkowej doktryny rządzenia w obrębie władzy wykonawczej.

Oczywiście można sobie wyobrazić formułowanie czegoś w rodzaju uporządkowanej narracji na poziomie kierownictwa koalicji, czyli tworu, który funkcjonuje praktycznie już od wieczoru 15 października, a którego produktem była umowa koalicyjna, skoncentrowana raczej na zszywaniu obietnic wyborczych w akceptowalną dla wszystkich całość niż na powiedzeniu czegoś nowego i spójnego, co ułatwiałoby sprawowanie skutecznej władzy. Żeby gabinet rządowy miał swój charakter i podmiotowość, musiałoby to być coś pożytecznego dla czterech tworzących koalicję liderów. Tymczasem wiele wskazuje na to, że nowe role – premiera, wicepremiera i marszałka Sejmu – będą ich do tego zniechęcać. Szansą każdego z nich jest odróżnić się i okazać lepszym niż lider konkurencyjnej partii.

Warto jednak zastanowić się, jak mogłaby wyglądać taka wspólna narracja lub taka doktryna rządzenia, która byłaby własnością całego rządzącego układu, a nie tylko jednego z jego ośrodków czy jednej z partii koalicji. Taka doktryna nie musiałaby przy tym działać jak algorytm przesądzający wszystkie inne rozwiązania. Naturalną rzeczą są tu wyjątki i odstępstwa. Ale niezbyt liczne, bo inaczej doktryna straciłaby sens.

## Trzy priorytety

Po pierwsze taka wspólna narracja mogłaby formułować – w kontekście realnego zagrożenia z powodu wojny rozpętanej przez Rosję w Ukrainie – nadrzędność celów obronnych i spraw międzynarodowych nad innymi wątkami polityki państwa. I w tym też kontekście rysować możliwie precyzyjnie linię oddzielającą działania w obrębie Unii Europejskiej, służące wzmocnieniu polityczno-militarnej jedności Zachodu, od tych, które stanowią naturalną, bezpośrednią obronę interesów ekonomicznych i politycznych Polski. Taka deklaracja odróżniałaby też – co jest ważne dla różnych segmentów państwa – rządzenie w czasach spokojnych od rządzenia w warunkach napięcia i zagrożenia.

Następnie – doktryna taka powinna rozróżniać dwa tryby działania instytucji państwowych. Pierwszy, zmierzający ↦

↦ do przywrócenia im apolityczności i bezstronności, od drugiego, jaki powinien nastąpić po ich przywróceniu. A zatem uznawać działania zmierzające do odwrócenia skutków rządów PiS za doraźne i jednorazowe, a nie za długotrwałą metodę rządzenia Polską. To trudny punkt, bo wymaga ustalenia granic własnego postępowania oraz nowych standardów, krępujących sejmową większość w zakresie funkcjonowania mediów publicznych, spółek Skarbu Państwa, służb mundurowych czy stanowisk objętych ustawą o służbie cywilnej.

Trzeci element rządzenia powinien określać generalny sposób postępowania z instytucjami sektora publicznego – oświaty, opieki zdrowotnej, pomocy społecznej, transportu publicznego – już nie w kontekście obietnic wyborczych, ale modelu współpracy i współfinansowania tego sektora przez rząd i samorząd terytorialny. Istotnym elementem tej definicji powinno być podkreślenie nie tylko opcji decentralizacyjnej, ale też zamiaru oraz konkretnego sposobu wsparcia miast oraz gmin leżących poza obszarem największych metropolii.

Te trzy przykłady podałem raczej po to, by pokazać charakter i naturę takiej deklaracji niż jej proponowaną treść. Takiej doktryny nie określają bowiem komentatorzy i eksperci, ale ci, którzy posiadają władzę oraz jakiś – niekoniecznie jawny i transparentny – plan jej sprawowania. Robią to po to, by komunikować się z kluczowymi partnerami w strukturze państwa, a im więcej w takiej doktrynie prawdziwych zamiarów, zrozumiałych wskazówek i użytecznych rozróżnień – tym lepiej. Pustosłowie, maskowanie intencji, wprowadzanie w błąd sprawiają z kolei, że działanie władz staje się niezrozumiałe, a naturalną reakcją wysokich szczebli służb i administracji staje się cynizm, którego przecież tam nie brakuje po rządach PiS. Cynizm, który skutkuje w najlepszym wypadku odchodzeniem fachowców ze służby publicznej do sektora prywatnego, a w gorszym poszukiwaniem różnych – nawet niekoniecznie korupcyjnych – rekompensat za upokorzenia i poczucie braku sensu, których doświadczają na co dzień.

> Nowa narracja powinna podkreślać nadrzędność celów obronnych i polityki międzynarodowej nad innymi sprawami. **Musi też ulec zmianie postępowanie wobec sektora publicznego.**

### Mapa nowych porządków

Dodam na końcu, że elementem takiej doktryny mogłoby stać się zarysowanie strategii osłabienia polaryzacji politycznej. Nie w sferze konfliktu na szczytach władzy – tu postawa PiS po przegranych wyborach nie daje podstaw do takich działań – ale w obszarze schładzania emocji elektoratów poszczególnych partii, które rozbijają wspólnotę Polaków. Wydaje się, że odpowiedzi na pytanie, co nas wszystkich łączy, nie należy szukać w sferze podniosłych symboli, ale wskazania realnych obszarów wspólnego lęku i troski: np. zagrożenia ze strony Rosji (nie tylko w wymiarze solidarności z zaatakowaną Ukrainą), ochrony przed skutkami kryzysu klimatycznego, zbudowania mądrzejszego i bardziej empatycznego stosunku do migrantów, łączącego zrozumienie sytuacji przybyszów oraz lęków ludzi, którzy – nie tylko przecież w Polsce – ich napływu się obawiają.

Za kilka tygodni, po kolejnych posiedzeniach parlamentu, po *exposé* premiera Tuska i wypowiedziach nowo powołanych ministrów, będziemy wiedzieli więcej. Będziemy też mogli ułożyć jakąś – zapewne niespójną – mapę myślową nowych porządków. A potem nanosić na niej korekty, wynikające z konfliktu politycznego wewnątrz i na zewnątrz koalicji, nieprzewidywalnego wydarzenia w kraju i na świecie albo czyjegoś indywidualnego projektu. Jeżeli da się z tej mapy wywnioskować jakieś ogólne reguły porządku – będzie naprawdę nieźle. Jeżeli po pół roku pozostanie ona wciąż nieczytelna albo trzeba będzie ją zastąpić całkiem nową doktryną, bo ta z pierwszych tygodni okaże się dysfunkcjonalna, źle to będzie świadczyć o potencjale nowej władzy. Będziemy mieli problem. Wszyscy.

© RAFAŁ MATYJA

REKLAMA

# Biedni współczują bardziej

SZYMON ŻYŚKO

**Blisko 1,8 mln Polaków żyje w skrajnym ubóstwie. Gdyby zebrać wszystkich w jednym miejscu, stworzyliby miasto wielkości Warszawy. Nowy raport Szlachetnej Paczki budzi wielki niepokój.**

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

*„Małopolski Weekend Cudów" Szlachetnej Paczki – wręczanie prezentów potrzebujacym rodzinom, grudzień 2022 r.*

Bieda towarzyszy nam na ulicach, osiedlach, w miastach i wsiach. Jest rozproszona, ukrywa się przed naszym wzrokiem. Statystycznie to „zaledwie" 4,7 proc. społeczeństwa. Jeśli jednak ta liczba wzrośnie choćby o 0,1 punktu procentowego, przybędzie około 40 tys. osób, których nie stać na życie, a za każdą cyfrą kryje się czyjaś twarz i historia. Wiele z nich opowiada tegoroczny Raport o Biedzie Szlachetnej Paczki.

### Lista pełna rezygnacji

Pani Marzena.

Nie chce zakładać się z losem, ile nieszczęść jeszcze uniesie. W ciągu kilku lat straciła męża, syna, dwójkę braci i siostrę. – Obudziłam się któregoś dnia i zdałam sobie sprawę, że jestem niemal kompletnie sama na tym świecie – wzrusza się. Jej jedyną rodziną jest córka wychowująca dziecko z niepełnosprawnością. Wnuczek wymaga jednak ciągłej opieki i uwagi, więc ona nie chce dokładać córce zmartwień. – Ja już swoje przeżyłam – wyznaje. Z emerytury zostaje jej na życie 700 zł, mimo to stara się wspierać wnuka w rehabilitacji. Sama również jej potrzebuje, ponieważ choruje na reumatyzm, a sypia na połamanym tapczanie. Cierpienie ukrywa za uśmiechem, bo to jej zdaniem skuteczniejszy środek przeciwbólowy niż tabletki, na które i tak jej nie stać.

– Kiedy ostatni raz się rozpłakałam? W sklepie na widok konserwy turystycznej, na którą nie mogłam sobie pozwolić, a tak bardzo ją lubię. Było mi głupio, że płaczę z takiego powodu – wyznaje. Wpisała ją na listę potrzeb jako upominek, jeśli tylko znajdzie się dla niej darczyńca.

Pani Maria i pan Józef.

Żyją ze skromnych emerytur, z których nie są w stanie opłacić mieszkania ani niezbędnych leków. Ich codzienność to zagrzybione ściany, kąpiel w plastikowej misce i samodzielnie wspawany piecyk w centrum mieszkania. Palą w nim pociętymi meblami i resztkami starego dachu. W ich domu nic się nie marnuje: wyschnięte skórki chleba zalewają gorącą wodą z dodatkiem mleka – to ich zupa. A pleśń? Da się zeskrobać.

Pan Józef choruje na nowotwór. Co miesiąc jeździ do szpitala na chemioterapię. Kapcie zrobił sobie sam ze starych skórzanych butów, w których wyciął czubki na palce. Gdy o tym opowiada, jego żona zaczyna płakać. Ze wstydu. – Moim marzeniem jest, żebym mógł się wykąpać przed „chemią". Nie zawsze jadę na nią czysty – mówi mężczyzna. – A moim, żeby zawsze wracał – dodaje pani Maria, ściskając jego rękę. Przed wyjazdem na leczenie żegna go w progu mieszkania, a zanim wróci, wypatruje na horyzoncie. Wolontariuszom Szlachetnej Paczki podpowiada, że mężowi przydadzą się jakieś tanie kapcie i nowa piżama.

Pani Teresa i pan Sławomir.

W skromnym mieszkaniu pokój gościnny pełni szczególną rolę. Jest zawsze schludny, w zależności od pory roku znajdziemy w wazoniku kilka polnych kwiatów, jesiennych liści lub świerkowe gałązki. To miejsce, w którym o biedzie myśli się trochę mniej. Pani Teresa bardzo o to dba, i o męża, który po udarze jest od niej zależny.

Salon to też pokój, w którym razem się odprężają, oglądając teleturnieje i rozwiązując łamigłówki. Na stole obok krzyżówek, sudoku i słownych wykreślanek leżą ręcznie zapisane kartki. Na nich rozwiązują te najtrudniejsze rebusy. Co dzisiaj wykreślić? Jedzenie, leki, opłaty za prąd, nowe buty? Za bycie dobrym w tej grze nagrodą jest kolejny dzień życia. O przegranej wolą nie myśleć.

Na ściennym kalendarzu odliczają tygodnie do osiągnięcia przez pana Sławomira wieku emerytalnego. Zostało jeszcze trochę ponad rok i może będzie im lżej. – Ale czy mąż dożyje? – pani Teresa zawiesza w powietrzu trudne pytanie. Niczego w życiu nie może być pewna. Nie stać ich na spokój – gdyby mogli, właśnie o to by poprosili. O trochę oddechu od codziennych trosk.

### Życie za 20 zł dziennie

Aby leczyć się w Polsce, trzeba mieć czas i pieniądze. Pani Wandzie, rocznik 1938, brakuje obu tych rzeczy. Gaśnie w niej również wola życia. Mimo artretyzmu ↦

↦ i bólu kręgosłupa kobieta sama musi napalić węglem w kaflowym piecu. Nie ma kto jej pomóc. Męża straciła 40 lat temu, dzieci się nie doczekała. Przy emeryturze w wysokości 1500 zł, z której (po opłatach i kupnie leków) na życie zostaje jej 300 zł, pozwolić sobie może tylko na skromne śniadanie, czasami obiad. Kolacji nie je, bo tak jej zdaniem jest zdrowiej, ale po prostu nie stać jej na trzeci posiłek. Gdy zdiagnozowano u niej artretyzm, od lekarza usłyszała, że ma iść na rehabilitację albo zacząć robić na drutach. Kupiła sobie włóczkę, bo było taniej. Teraz nie stać jej nawet na wełnę, więc pruje stare swetry i nawija w kłębki.

Skrajna bieda w Polsce to konieczność przeżycia za 753,92 zł w przypadku gospodarstw jednoosobowych i 670,15 zł miesięcznie na członka rodziny w gospodarstwie wieloosobowym. Dzienny budżet w takich domach wynosi niewiele ponad 20 zł.

– W połowie listopada GUS ogłosił, że zanotowana w październiku inflacja jest na najniższym poziomie od września 2021 r. To dobra informacja, ale nie dla wszystkich. Nadal tracimy z oczu fakt, że nie oznacza to spadku cen, ale jedynie spadek tempa ich wzrostu – mówi Magdalena Łukasik z Działu Badań i Analiz Stowarzyszenia Wiosna. – W 2022 r. niemal 400 tys. dzieci i 290 tys. seniorów żyło poniżej progu egzystencji. 41 proc. gospodarstw domowych w naszym kraju nie jest w stanie zaspokoić podstawowych potrzeb biologicznych i społecznych, a osoby je tworzące żyją w sferze niedostatku. W takiej sytuacji trudno zachować optymizm. Rodziny, do których w ostatniej edycji Szlachetnej Paczki dotarli wolontariusze i wolontariuszki, dysponowały średnio kwotą 14 zł dziennie na osobę. Dla nich najniższa inflacja od dwóch lat to żadne pocieszenie – dodaje.

W minionym roku opłaty za mieszkanie wzrosły o ponad 20 proc., a jedzenie podrożało o niemal 22 proc. To dużo więcej niż średnia inflacyjna, co oznacza, że skutki kryzysu odczuwają najbardziej najubożsi. Ich konsumencki koszyk składa się przecież niemal w całości z tego typu wydatków. Dotyka ich opisany przez Roberta Mertona tzw. efekt św. Mateusza – tym, którzy mają, będzie dodane, a tym, którzy nie mają, będzie zabrane. Jak ta socjologiczna zasada o biblijnej genezie przejawia się w życiu? Ubodzy częściej chorują, ale rzadziej mają dostęp do skutecznego leczenia. Więcej czasu spędzają w pracy, aby i tak zarobić mniej niż bogatsi. Ciężej zdobywają wykształcenie, zarazem muszą rezygnować z lepszych szkół, na które ich nie stać. Wpadają w zamknięty krąg ubóstwa.

**Jednym z najszkodliwszych mitów społecznych jest tzw. amerykański sen**
i bezrefleksyjna wiara w to, że osobisty sukces zależy wyłącznie od talentu i wysiłku.

### Dziecko, czyli cięższy los

Według danych GUS posiadanie dziecka jest czynnikiem, który może zwiększyć ryzyko życia w biedzie. Przy każdym kolejnym zasięg ubóstwa wzrasta. Wśród rodzin posiadających przynajmniej trójkę, dotknięte nim jest już co dziesiąte dziecko. W biednych rodzinach radość z pojawienia się kolejnego potomka ustępuje więc miejsca lękom o jego los. Sytuacja komplikuje się dodatkowo, gdy jeden z rodziców stosuje przemoc. Tu nawet uwolnienie się od oprawcy nie przynosi spokoju.

Tak jest w przypadku pani Klaudii. Wraz z mężem wychowywała dwójkę dzieci. Ze względu na niepełnosprawność syna, dom utrzymywał wyłącznie partner. Gdy pierwszy raz podniósł na żonę rękę i zaczął poniżać dzieci, kobieta wniosła pozew o rozwód. Mąż wyprowadził się, ale tylko do mieszkania obok, przez co rodzina wciąż jest narażona na jego obecność i skutki uzależnienia. Młodsza córka, Martynka, boi się wychodzić sama z mieszkania. Sytuacja starszego syna jest jeszcze bardziej dramatyczna.

– W domu mamy wyjęte klamki, żeby Marcin nie wyskoczył z okna. Odcięłam gaz i korzystamy tylko z urządzeń elektrycznych, by nie odkręcił przypadkiem kurków – zwierza się kobieta, która zmaga się z dużym zadłużeniem mieszkania. Częściowo je spłaca, w bardzo małych ratach, bo żyje głównie ze wsparcia różnych ośrodków pomocy. Mimo że sąd przyznał dzieciom alimenty, musi o nie walczyć właściwie co miesiąc. Po odliczeniu kosztów, zostaje ok. 700 zł na osobę. To tylko z pozoru nieźle, bo Marcin potrzebuje terapii i rehabilitacji, co kosztuje znacznie więcej. Klaudia mówi, że nie umiałaby spojrzeć sobie w twarz, gdyby odmówiła swoim dzieciom równych szans. Stara się, by Martynka nie odczuła żadnego braku kosztem leczenia brata, więc ona woli odmówić sobie.

W podobnej sytuacji znajduje się pani Alicja wychowująca samodzielnie syna w spektrum autyzmu. Gdy odeszła od męża, który ich bił, zamieszkała w starej kawalerce z nieszczelnymi oknami i ogrzewaniem gazowym. Olek niestety wciąż się przeziębia, przez co nie może się uczyć i rozwijać. Odkręcenie kaloryfera jest dla nich luksusem, dlatego aby namówić syna, by cieplej się ubrał, wymyśliła zabawę w pingwinki. Ubierają się wtedy z Olkiem we wszystkie rzeczy, jakie mają w szafie, i bujają się z nogi na nogę, maszerując po pokoju. Arktyczne warunki panujące w domu są idealne do takiej zabawy, ale zbyt surowe, by normalnie żyć.

Ojciec Olka zmarł dwa lata temu, więc przyznane alimenty zniknęły z budżetu rodziny. Matka i syn żyją ze świadczenia pielęgnacyjnego, z którego po opłatach zostaje im 330 zł. By go nie stracić, pani Alicja nie może podjąć pracy ani starać się o rentę po zmarłym partnerze. Urzędnicy uznali, że za tyle pieniędzy da się wyżyć. – Marzę o wizycie u fryzjera, to byłoby dla mnie jak święto. Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz zadbałam o włosy. Odzyskałabym do siebie szacunek – mówi.

Obok przemocy fizycznej i psychicznej, coraz częstsza jest również przemoc ekonomiczna stosowana przez jednego z partnerów lub opiekunów. Nie istnieją dokładne statystyki mówiące o skali, lecz raporty z interwencji policyjnych odnotowują coraz więcej przypadków szantażowania członków rodziny odcięciem dostępu do pieniędzy. – Mąż mnie bił, zastraszał, zostawił z długami za poród, bo nie byłam wpisana do jego ubezpieczenia zdrowotnego. Ale odejść nie mogę, bo nie stać mnie na rozwód. Bez pieniędzy moje prawa nic nie znaczą. Chcę się tylko uwolnić – mówi pani Nadia.

Przemoc ekonomiczna dotyka zwłaszcza kobiet w związkach, ale o podobnym poczuciu krzywdy, tyle że instytucjonalnym – mówią opiekunowie osób niepełnosprawnych. Przyznanie zasiłku

odbiera im sprawczość i zamyka drogę na rynek pracy. Muszą dać się zamknąć w domu, by otrzymać pomoc państwa. – Życie z ciężko chorym dzieckiem to samotność. Nie pamiętam już, kiedy wyszłam z domu tak po prostu, a nie żeby coś szybko załatwić. Nawet jak korzystam z toalety, to zostawiam uchylone drzwi. Odwiedza nas tylko pielęgniarka i opieka społeczna. Nie żalę się, że jestem zmęczona. Nie mam komu – opowiada pani Sandra.

W Polsce opiekę nad osobami z niepełnosprawnościami sprawują głównie kobiety. To aż 69 proc. wszystkich opiekunów; do tej pory większość nie była w stanie pracować, bo uniemożliwiało im to prawo zasiłkowe. W 81 proc. rodzin włączonych do Szlachetnej Paczki przynajmniej jedna osoba jest chora lub doświadcza niepełnosprawności. Blisko 10 tys. z nich nie jest w stanie pokryć kosztów leczenia i rehabilitacji. Jak wynika z danych GUS, to również kobiety częściej niż mężczyźni pozostają na starość same. – Gdy umarli wszyscy, którymi się opiekowałam, mną nie miał się już kto zająć – wyznaje pani Janina.

### Biedni bardziej empatyczni

Zapewnienie podstawowych potrzeb to jak stanięcie na twardym gruncie i początek długiej drogi wychodzenia na prostą. Jednak odzyskanie wiary we własne możliwości i szacunku do siebie może być wielomiesięcznym procesem. Dlatego nauka poprzez interdyscyplinarne badania poświęca biedzie coraz więcej uwagi. Kilka z przedstawionych w Raporcie o Biedzie wniosków zasługuje na szczególną uwagę.

Doświadczenie ubóstwa powoduje trwałe zmiany w modelach myślenia i postrzegania, które trudno naprawić zwykłą siłą woli. „Brak zasobów finansowych może doprowadzić do uszkodzenia funkcji poznawczych mózgu. Ta presja powoduje wyraźny niepokój i stale przyciąga nasz umysł do problemu. Nie jesteśmy w stanie skupić się na innych elementach życia, które wymagają naszej uwagi" – uważa dr Jiaying Zhao, która była członkinią zespołu badaczy zajmujących się tym zagadnieniem na Uniwersytecie Princeton. W serii eksperymentów naukowcy potwierdzili, że problemy ekonomiczne natychmiast oddziałują na zdolności dotkniętych nimi osób. Pogorszenie wielu funkcji intelektualnych jest widoczne niemal od razu w testach poznawczych i logicznych. Taka osoba wykazuje spadek wydajności mózgu podobny do utraty całej nocy snu. Ma to ogromny wpływ na podejmowanie przyszłych decyzji. Osoby ubogie rzadziej oszczędzają i planują.

Badania te pokazują również nierówności społeczne i dowodzą, że system, w którym funkcjonujemy, uczy nas zamykania oczu na niesprawiedliwość, zwłaszcza jeśli jej kosztem sami się bogacimy. Nie dostrzegamy uprzywilejowanej pozycji, z jakiej startujemy, i przypisujemy życiowe sukcesy jedynie sobie.

Równocześnie osoby „przegrane" są przez ten sam system społeczny uczone, że to one ponoszą odpowiedzialność za życiowe niepowodzenia. Dlatego zdaniem badaczki Crystal L. Hoyt jednym z bardziej szkodliwych mitów społecznych jest tzw. amerykański sen. W przeprowadzonych przez jej zespół badaniach okazało się, że większość pracujących Amerykanów bezrefleksyjnie wierzy w opowieść o tym, że sukces i status życiowy zależą od indywidualnych talentów, zdolności ↦

REKLAMA

– SOPOCKIE
MIASTECZKO
NOWOROCZNE

23.12.2023 – 7.01.2024

SKWER KURACYJNY
(MOLO) W SOPOCIE

sopot.pl

ŚWIĄTECZNY KLIMAT * PRZYSMAKI I NAPOJE
LODOWISKO * KARUZELA * KONCERTY * ANIMACJE

↦ i wysiłku. Wątpliwości zaczęły pojawiać się dopiero w grupie, której przedstawiono kontrargumenty dla tej tezy. Wielu badanych dostrzegło wówczas, że osobiście dotykają ich konsekwencje życia tym fałszywym wyobrażeniem, i przyznawało, że sami doświadczyli trudności, które nie były zależne od ich woli czy zdolności, ale i tak przypisano im za nie wyłączną winę. Według Hoyt mit „amerykańskiego snu" ma istotny wpływ na postawę wobec osób ubogich i utrwala przekonanie, że za wolne tempo rozwoju społeczeństwa odpowiedzialni są biedni, bez których reszta obywateli byłaby w lepszym miejscu. Ubodzy stają się w tym systemie zbędnym balastem, którego należy się pozbyć. Biedni doświadczają w życiu poczucia, że na nic nie mają wpływu, ale i tak ponoszą za wszystko odpowiedzialność. To zabija w nich ducha walki o poprawę swojego losu oraz izoluje społecznie.

O tym, że ludzki mózg karmi się relacjami z innymi, dosadnie mówią badania przeprowadzone przez Livię Tomovą na Uniwersytecie Cambridge. Zaprosiła ona ochotników do eksperymentu, w którym na 10 godzin zostali pozbawieni jakichkolwiek relacji (odcięci byli też od social mediów i telefonów). W czasie tego relacyjnego postu aktywowały się u nich te same ośrodki w mózgu, które uruchamiają się w przypadku pozbawienia nas jedzenia. Pokazuje to, jak podstawowymi potrzebami są przyjaźń, utrzymywanie związków i posiadanie znajomości. Bez nich nasz mózg cierpi na głód relacji. Czy z tego głodu można umrzeć? Tak. U osób, które miały żywe relacje rodzinne, przyjacielskie i społeczne, ryzyko śmierci w ciągu następnych 7 lat było niższe niż u seniorów, którzy żyli samotnie i skarżyli się na poczucie nieprzydatności oraz utratę motywacji do życia. Te czynniki łagodzi wspierająca obecność drugiej osoby.

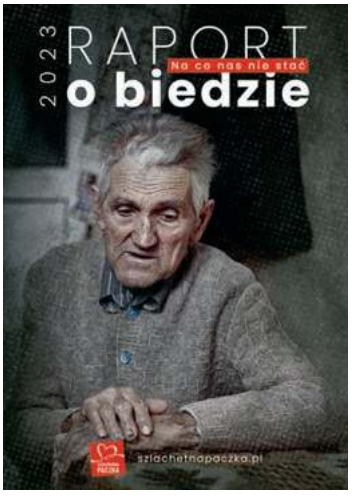


Raport można przeczytać na stronie **RAPORTOBIEDZIE.PL**.

Czy doświadczenie ubóstwa może czegoś nauczyć? Zaradności, wytrzymałości, sprytu? Odpowiedź Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego jest zaskakująca. Bieda uczy przede wszystkim współczucia. Wśród siedmiu pozytywnych emocji, których doświadczają ludzie, to właśnie współczucie znalazło się najwyżej w badaniu. Osoby z niższych klas społecznych częściej niż zamożniejsze kierują swoje pozytywne uczucia w stronę innych ludzi.

– Skoro nie mogę liczyć na wysoko postawioną rodzinę i zabezpieczenie finansowe, muszę liczyć na kogoś innego, np. wspólnotę sąsiedzką. Ten mechanizm spaja ludzkie społeczności żyjące w nieprzyjaznych warunkach, w których przetrwanie zależy od pomocy czy gościnności innych. Czasami doświadczenie wykluczenia sprawia jednak, że w danej osobie rośnie wrogość wobec otoczenia, które potraktowało ją niesprawiedliwie. Chodzi zatem nie tylko o status materialny, ale również o to, jak dana osoba przeżywa własne położenie i jak tłumaczy sobie różnicę między statusem swoim a innych – komentuje psycholożka Angelika Szelągowska-Mironiuk. – Ubóstwo jest trudną lekcją, z której można jednak wyjść z pojemnym sercem.

■■■

Raport o Biedzie jest coroczną publikacją Szlachetnej Paczki, która od lat zajmuje się problemem ubóstwa i tym, jak się zmienia jego obraz w Polsce.

– W 2016 roku wprowadzono 500 plus i rodziny wielodzietne to odczuły. W Paczce trafialiśmy wcześniej do osób, które nawet jeśli radziły sobie na co dzień, to na jakikolwiek nieplanowany wydatek, jak choroba, zepsuty bojler czy piec, musiały brać pożyczkę, często na lichwiarskich warunkach. Od czasu dwucyfrowej inflacji takie rodziny znów znalazły się w tym samym miejscu. Zasiłki nie rosną na równi ze wzrostem cen – mówi Joanna Sadzik, prezeska Stowarzyszenia Wiosna. – Kilka lat temu pomagaliśmy osobom starszym, samotnym, chorym, mierzącym się z niepełnosprawnością swoją lub dziecka. Teraz coraz częściej trafiamy do domów, w których mama i tata pracują, ale to nie wystarcza na wynajęcie mieszkania, zimowe buty i ciepły obiad. W 2023 r. wciąż zbyt wielu Polaków nie stać na życie, poczucie bezpieczeństwa, szacunek do siebie i marzenia – komentuje aktualną sytuację Paczkowych Rodzin. – Codziennie dokonują wyborów tak trudnych, że aż ciężko słuchać ich opowieści. Ale właśnie bycie wysłuchanym i zauważonym to być może dla nich jedyna szansa na lepsze życie.

© SZYMON ŻYŚKO

POŻEGNANIE

18 listopada 2023 roku zmarł

## Konstanty Węgrzyn

Z głębokim żalem przyjęliśmy informację o śmierci Konstantego Węgrzyna: prawnika, marszanda, menadżera kultury, nestora polskiego i krakowskiego rynku antykwarycznego, orędownika twórczości Tadeusza Kantora i pierwszego dyrektora Cricoteki.

To jego zaangażowanie, zapał, pasja i przyjaźń stworzyły podwaliny dla funkcjonowania „żywego archiwum" twórczości Tadeusza Kantora.

Rodzinie i bliskim składamy wyrazy szczerego współczucia

NATALIA ZARZECKA, DYREKTORKA CRICOTEKI WRAZ Z ZESPOŁEM

TOMASZ

# Stawiszyński:
## *Polityka i pozory*

Że w dzisiejszym świecie najbardziej liczą się pozory – to wiadomo przynajmniej od czasów Katarzyny II i gubernatora Potiomkina, który, jak się przyjęło uważać, stosował punktowe „augmentacje" wizytowanych przez carycę okolic. Co zresztą czyni go pionierem nie tylko w dziedzinie politycznej propagandy (twórczo udoskonalanej przez XX-wiecznych ekspertów), ale i tego rozwijającego się coraz szybciej segmentu nowoczesnych technologii zwanego augmented reality.

Historycy spierają się wprawdzie, czy gubernator faktycznie zlecał stawianie jakichś emanujących bogactwem i pięknem makiet, czy po prostu lubił dekorować odwiedzaną przez władze okolicę (w czym, naturalnie, nie ma nic zdrożnego). Tak czy owak – można by w duchu potiomkinowskim powiedzieć – prawdziwość tej opowieści jest drugorzędna względem jej wartości opisowej. Bo przykładów podobnych działań mamy dookoła w bród, także w miejscach, w których byśmy się ich, teoretycznie przynajmniej, nie spodziewali. I nie mówię tu wyłącznie o mediach społecznościowych i kulturze wirtualnej, gdzie – to oczywiste – liczy się przede wszystkim umiejętność wywierania wrażenia, nie zaś realne kompetencje. Nie mówię więc o postaciach w rodzaju „oszusta z Tindera", Anny Sorokin czy Elizabeth Holmes (jeśli ktoś o nich jeszcze nie słyszał, warto poświęcić chwilę na zapoznanie się z tymi emblematycznymi losami). Mówię o współczesnej wielkiej polityce. O sferze, w której – w sensie jak najbardziej dosłownym – wydarzają się sprawy rangi światowej, rozstrzygają albo intensyfikują lokalne i globalne konflikty.

„Ludzie mówią, że oczyszczamy to miejsce tylko dlatego, że przyjeżdżają ci wszyscy niezwykli liderzy. To prawda... Bo to prawda" – powiedział (przyznajmy: z rozbrajającą szczerością) Gavin Newsom, gubernator Kalifornii, na zorganizowanej niedawno konferencji prasowej. Wypowiedź ta wzbudziła nie mniejsze zdziwienie – tu i ówdzie zaś oburzenie – niż akcja systematycznego usuwania bezdomnych z ulic San Francisco, którą przeprowadzono przed spotkaniem prezydenta Chin Xi Jinpinga z prezydentem USA Joe Bidenem. Na filmach przedstawiających efekty tej akcji – istotnie – widzimy jakieś zupełnie inne miasto. Zniknęły brudne i obszarpane namioty, wymięte kartony, szmaty i śmiecie. Zniknęli też oczywiście ludzie, dla których było to prowizoryczne, rozpadające się miejsce zamieszkania czy raczej wegetacji. Bo przecież nie dom – domu nie mają, zdani są wyłącznie na ulice albo choćby skrawek ziemi przy wyjeździe z miasta, w parku, na skwerze. Wszędzie tam, gdzie daje się rozbić jednoosobowy namiot, a przynajmniej rozłożyć karton. A potem jeszcze – najczęściej – zażyć coś, co chociaż na chwilę pomoże zapomnieć o bólu, cierpieniu i upokorzeniu.

Pamiętam te widoki sprzed kilku lat, kiedy odwiedzałem Kalifornię. Przejazd osławioną „jedynką" z Los Angeles do San Francisco, z przystankiem w Big Sur. Skały, rozłożyste drzewa, przestrzeń, ocean. Ale poza monumentalnym pięknem przyrody i architekturą najbardziej zostały mi w pamięci właśnie wszechobecna bieda, rozpacz, nieszczęście, wykluczenie. Wydało mi się wtedy, że radykalne kontrasty – tak charakterystyczne dla Stanów w ogóle – w Kalifornii osiągają jeszcze intensywniejszą postać. Jedna przecznica bywa literalnie granicą światów. Do skrzyżowania mija się tylko młodych, wysportowanych biegaczy, po ulicach mkną piękne samochody, uśmiechnięci, zadowoleni ludzie beztrosko rozmawiają w kawiarniach, wystawy luksusowych sklepów pysznią się bogactwem. A dziesięć, dwadzieścia metrów dalej, za skrzyżowaniem: pijani, nieprzytomni od opioidów bezdomni leżą w kartonach, nikt nie zwraca na nich uwagi, wybite szyby, obdrapane elewacje. Totalne rozszczepienie, sytuacja niby wyjęta z tekstów klasycznej psychoanalizy. Także w tym sensie, że pomiędzy tymi dwiema rzeczywistościami, pomiędzy życiorysami pięknych wysportowanych biegaczy i nieprzytomnych ludzi w kartonach, nie ma żadnej łączności. Nie spaja ich żadna opowieść, nie uwzględnia żadna narracja. No może z wyjątkiem tej standardowej, wciąż jeszcze po stronie pięknych biegaczy obowiązującej: że tamto drugie uniwersum to piekło, do którego trafiasz wyłącznie na własne życzenie, za grzechy osobistych zaniedbań, niewykorzystywania szans, niesięgania po szczęście, które przecież jest w zasięgu ręki. Państwo? To nie jego sprawa. Ono abdykuje, jest wobec tych problemów nieobecne, nie bierze za nie żadnej odpowiedzialności. Udaje po prostu, że nie widzi, odwraca wzrok, wypiera.

Kiedy jednak ulica staje się na chwilę areną rywalizacji pomiędzy „niezwykłymi liderami" – bo przecież wiemy doskonale, że uśmiechy i uściski rąk są tylko rytualną formą sublimowania zamiarów i strategii znacznie mroczniejszego autoramentu – wówczas odwracać wzroku już dłużej nie może. Żeby utrzymać rozszczepienie, usunąć ze świadomości niepokojącą podwójność, trzeba przemieścić jego emblematy poza obszar tego, co widzialne. Dzięki temu ulice na powrót osiągają jednolitość, a krajobraz wygląda niczym wyjęty z *american dream*. Nic nie zakłóca dobrobytu i bogactwa, nic nie budzi dysonansu. Namioty, kartony i ludzie zostają zepchnięci w cień.

A potem, kiedy „ci wszyscy niezwykli liderzy" rozjeżdżają się do domów, wszystko wraca do poprzedniej postaci.

Z pozoru, rzecz jasna. Z pozoru. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Sprawdź na **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

# ŚWIEŻOŚĆ BOGA

Adwent przypomina, że stale przychodzi do nas nowa religijna rzeczywistość. Nowość ta otwiera możliwość zmian form naszej religijności i postaci wspólnoty Kościoła.

PIOTR SIKORA

JOE GIDDENS / PA IMAGES / FORUM

W CIEKAWYCH CZASACH ŻYJEMY, GDY PAPIEŻ – przez wieki symbol trwałości kościelnej instytucji, strażnik ortodoksji opartej na „odwiecznej" prawdzie – pisze w swoim oficjalnym dokumencie, że żyjemy nie tylko w epoce zmian, lecz w momencie zmiany epok – i domaga się, by teologia, „święta wiedza", radykalnie przekształciła swoją postać, uwzględniając i integrując najnowsze wyniki badań prowadzonych w naukach szczegółowych.

## Niepokój

Co jeszcze ważniejsze – Franciszek nie tylko wysunął postulat reformy paradygmatu teologicznego. Projektując ze swoimi współpracownikami kilkuletni proces Synodu o synodalności, rozpoczął proces zmian w Kościele, które mogą doprowadzić do znaczącej transformacji kształtu katolickiej wspólnoty. Wydaje się wielce prawdopodobne, że naprawdę jesteśmy świadkami (a wielu z nas także sprawcami) końca katolicyzmu, jaki dotąd znaliśmy.

W wielu środowiskach katolickich perspektywa nadchodzących zmian wzbudza ogromny niepokój. Ma on zapewne wiele przyczyn. Są wśród nich zarówno praktyczno-egzystencjalne (nie jest łatwo zaakceptować zmianę ważnych dla kogoś praktyk, które zapewniały poczucie egzystencjalnego bezpieczeństwa pośrodku płynnej rzeczywistości). Wśród przyczyn jest też teologiczne przekonanie, że katolickie chrześcijaństwo opiera się na raz na zawsze danym Bożym objawieniu, a zatem, że może się zmieniać tylko w bardzo ograniczonym zakresie – każda radykalna transformacja byłaby bowiem zdradą jego boskich fundamentów.

Adwent – liturgiczny czas, którego zasadniczą treścią jest oczekiwanie na Nowe, które nadchodzi – może być dobrą okazją, by zastanowić się głębiej nad tym, jak nowość i zmiana jest możliwa dla Kościoła – tak by katolicka wspólnota pozostała wierna swojej najgłębszej tożsamości.

## Nowe dawniej

Czytając księgi biblijne – czyli teksty kluczowe dla określenia, co przynależy, a co nie do katolickiej tożsamości – można znaleźć w nich wątki otwierające przed nami możliwość nawet radykalnej nowości. Napięcie pomiędzy religijnością opartą na pamięci przeszłości a wiarą otwartą na nowość można zaobserwować już w biblijnej historii Izraela – np. w Księdze Izajasza, w jednym z najbardziej „adwentowych" tekstów Starego Testamentu. Prorok komponuje swój tekst pod koniec wygnania babilońskiego, gdy pojawia się szansa powrotu do ziemi obiecanej:

„»Pocieszcie, pocieszcie mój lud!« – mówi wasz Bóg. »Przemawiajcie do serca Jeruzalem i wołajcie ↦

*Instalacja świetlna w katedrze w Peterborough, przygotowana na uroczyste rozpoczęcie adwentu. Wielka Brytania, 22 listopada 2023 r.*

↦ do niego, że czas jego służby się skończył, że nieprawość jego odpokutowana, bo odebrało z ręki Pana karę w dwójnasób za wszystkie swe grzechy«. Głos się rozlega: »Drogę dla Pana przygotujcie na pustyni, wyrównajcie na pustkowiu gościniec naszemu Bogu! Niech się podniosą wszystkie doliny, a wszystkie góry i wzgórza obniżą; równiną niechaj się staną urwiska, a strome zbocza niziną gładką. Wtedy się chwała Pańska objawi, razem ją wszelkie ciało zobaczy, bo usta Pańskie to powiedziały«. Głos się odzywa: »Wołaj!« – I rzekłem: Co mam wołać? – »Wszelkie ciało to jakby trawa, a cały wdzięk jego jest niby kwiat polny. Trawa usycha, więdnie kwiat, gdy na nie wiatr Pana powieje. 'Prawdziwie, trawą jest naród'. Trawa usycha, więdnie kwiat, lecz słowo Boga naszego trwa na wieki«" (Iz 40, 1-8).

Znaczenie powyższego tekstu dla chrześcijańskiej wspólnoty bierze się nie tylko z faktu, że pochodzą z kanonicznej księgi prorockiej. Przytoczony fragment słów Izajasza niemal dosłownie powtarza w Nowym Testamencie Jan Chrzciciel, zapowiadając nadejście Jezusa. W tym kontekście warto zwrócić uwagę na ostatnie zdanie: mówi ono z jednej strony o wiecznej trwałości rzeczywistości (słowa) Boga, ale z drugiej – o przemijającym charakterze „narodu" – czyli ludzkiej postaci zwołanej przez Boga wspólnoty (*ekklesia*).

Nie powinno zaskakiwać, że w następnych rozdziałach Księgi Izajasza bardzo wyraźny jest wątek sprawianej przez Boga nowości, nastania czegoś dotąd dla wierzących nieznanego. Posłuchajmy proroka, który zapowiada w imieniu Boga: „Sprawię, że niewidomi pójdą po nieznanej drodze, powiodę ich ścieżkami, których nie znają, (...). Oto są rzeczy, których dokonam i nie zaniecham" (Iz 42, 16).

Zapowiedź nowości, czyli radykalnej zmiany postaci, w jakiej wiara będzie się wyrażać w życiu jednostek i wspólnoty, musiała wśród odbiorców działalności proroka wzbudzać opór. Ich wiara opierała się w dużej mierze na świętowaniu – czyli religijnym wspominaniu – wielkich dzieł Boga z przeszłości, przede wszystkim „fundacyjnego" wydarzenia, jakim było wyjście z Egiptu, przejście przez pustynię i wejście do ziemi obiecanej. To wydarzenie tworzyło fundamenty religijnej tożsamości Izraela. Tym bardziej szokujące musiały być więc kolejne słowa proroka: „Tak mówi Pan, który otworzył drogę przez morze i ścieżkę przez potężne wody; który wiódł na wyprawę wozy i konie, także i potężne wojsko; upadli, już nie powstaną, zgaśli, jak knotek zostali zdmuchnięci. Nie wspominajcie wydarzeń minionych, nie roztrząsajcie w myśli dawnych rzeczy. Oto Ja dokonuję rzeczy nowej: pojawia się właśnie. Czyż jej nie poznajecie? Otworzę też drogę na pustyni, ścieżyny na pustkowiu" (Iz 43, 16-19).

By zrozumieć radykalizm Izajasza (a raczej jego ucznia występującego pod tym imieniem), warto uzmysłowić sobie, że owe „wydarzenia minione", o których mowa w tekście, to wyjście z Egiptu. Wspominanie zaś wyjścia z Egiptu było zasadniczą treścią świętowania Paschy. Ta celebracja stanowiła podstawę religijnej tożsamości Ludu Wybranego. Prorok namawia więc tutaj do zasadniczej zmiany religijnej perspektywy, do przekierowania uwagi na zupełnie nowe działanie Boga, które „pojawia się właśnie". Właśnie rozpoznanie owego zupełnie nowego działania ma stanowić podstawę religijnej tożsamości Izraela.

### Początki chrześcijaństwa

Z chrześcijańskiego punktu widzenia nie byłoby właściwe zlekceważenie proroctwa z Księgi Izajasza tylko na tej podstawie, iż należy ona do Starego Testamentu. Nie byłoby też właściwe zneutralizowanie jej wywrotowego charakteru przez interpretację głoszącą, że owa nowość ogłaszana przez Izajasza, z naszej – chrześcijańskiej – perspektywy należy już do przeszłości (np. że jest nią życie i nauczanie Jezusa z Nazaretu – wprowadzającego religię Izraela na nowe tory, ale dla nas będącego już przeszłością – raz na zawsze daną).

Taka neutralizacja przesłania Księgi Izajasza byłaby niewłaściwa nie tylko dlatego, że żadna księga biblijna nie jest w chrześcijaństwie traktowana po prostu jako zapis przeszłości, ale każda ma nam do powiedzenia coś w tym momencie dla nas aktualnego. Religijne otwarcie na radykalną nowość jest też obecne w pismach Nowego Testamentu – które, owszem, odnoszą wspólnotę wierzących do czegoś, co już się wydarzyło (tj. do życia i śmierci Jezusa), ale które są zainteresowane przeszłością o tyle, o ile jej znajomość otwiera na to, co teraz się dzieje, i na to, co dopiero nadchodzi.

Znaczący w tym kontekście jest wspólny motyw narracji o pustym grobie: kobiety, które przybywają namaścić ciało Ukrzyżowanego (jest to czynność będąca elementem pielęgnowania pamięci o przeszłości), słyszą głos ze sfery boskiej: „nie ma Go tu". Innymi słowy: uwaga zwrócona w przeszłość spotyka jedynie pusty (!) grób – i mija się z Żyjącym, podstawą religijnej tożsamości człowieka.

Jeszcze wyraźniej ów wątek radykalnej nowości, którą tworzy Bóg, widoczny jest w Apokalipsie św. Jana. Teksty tzw. „apokaliptyczne" były często odczytywane jako zapowiedź odległej przyszłości, czy też „końca świata". Ale wielu biblistów przekonuje, że to błąd. „Apokalipsa" znaczy „objawienie" – w tzw. literaturze apokaliptycznej chodzi zatem o ujawnienie najgłębszego sensu aktualnej rzeczywistości za pomocą metafor i symboli, które tylko pozornie odnoszą się do jakiegoś przyszłego punktu na osi czasu. Jeśli tak, to i ostatnia księga biblijnego kanonu mówi nam o tym, co teraz dla nas najważniejsze. W takiej perspektywie warto odczytać choćby poniższy fragment:

„I usłyszałem donośny głos mówiący od tronu: »Oto przybytek Boga z ludźmi: i zamieszka wraz z nimi, i będą oni Jego ludem, a On będzie 'Bogiem z nimi'. I otrze z ich oczu wszelką łzę, a śmierci już odtąd nie będzie. Ani żałoby, ni krzyku, ni trudu już [odtąd] nie będzie, bo pierwsze rzeczy przeminęły«. I rzekł Zasiadający na tronie: »Oto czynię wszystko nowe«" (Ap 21, 3-5). Jeśli Bóg teraz czyni wszystko nowe, nie musimy bać się nawet radykalnej zmiany postaci Kościoła.

### Duch Boga i duch czasów

Jak jednak, mogą spytać obawiający się zmian, rozpoznać: jaka nowość jest owocem „z Ducha Bożego", a jaka jest dostosowaniem do „ducha czasów"? Jeśli nie da się podać pewnego kryterium, lepiej trzymać się tej postaci, którą znamy – ona opiera się na objawieniu, ona jest właściwą formą naszej katolickiej tożsamości.

Problematyczność tej postawy polega na tym, że nasza obecna postać Kościoła jest w dużej mierze wynikiem dostosowywania się przez wieki do ówczesnego ducha czasów. Choćby przejście od odkrycia: „nie ma już mężczyzny ani kobiety, wszyscy bowiem jesteście jednym w Chrystusie Jezusie" (Ga 3, 28), głoszonego przez św. Pawła, do zakazu: „nauczać zaś kobiecie nie pozwalam ani też przewodzić nad mężem, lecz [chcę, by]

trwała w cichości" (1 Tm 2, 12), autorstwa jego ucznia, zakazu sformułowanego pod wpływem pozachrześcijańskich wzorców społecznych. Albo wprowadzenie w IV wieku podziału na duchownych (kapłanów) i świeckich – na wzór pogańskich kultów, gdy chrześcijaństwo przejmowało rolę oficjalnej religii cesarstwa.

Dostosowana do wzorców kulturowych swoich czasów była nie tylko teologia Anzelma z Canterbury, która czyniła z Boga feudalnego władcę. Podobnie dostosowane było samo nauczanie Jezusa (choćby przez mówienie o Bogu w kategoriach męskich). A jeśli tak, to z żadnej postaci chrześcijaństwa nie da się wydestylować elementu pochodzącego wyłącznie „z Ducha Bożego", który miałby stanowić o jego prawdziwej tożsamości. Boskie objawienie zawsze będziemy poznawać w dostępnych nam aktualnie kategoriach, a zatem to, co boskie, zawsze będzie jawić się nam w pewnym „półcieniu", fragmentarycznie i zmiennie. Pięknie pisał o tym jeden z największych Ojców Kościoła, św. Grzegorz z Nyssy, wykorzystując Pieśń nad Pieśniami do alegorycznego wyjaśnienia sposobu, w jaki człowiek poznaje Boga:

„Mówi: głos umiłowanego mego, nie postać, nie twarz, nie rysy twarzy, które ukazują naturę poszukiwanego, ale głos, który raczej pozwala domyślać się niż daje poznać coś pewnego na temat mówiącego. Słowa przypominają raczej przypuszczenie niż pozbawioną wątpliwości, całkowitą pewność zrozumienia, co widać jasno z tego, że tekst nie poprzestaje na jednym sposobie rozważania i nie skupia się na jednym tylko kształcie, ale w swoich opisach wymienia wiele rzeczy, uważając, że widzi raz to, raz co innego i nigdy nie zatrzymuje się na jednej cesze obejrzanego obiektu. Mówi bowiem: Oto przybywa, nie stoi ani nie zatrzymuje się, by dzięki przystanięciu mógł zostać rozpoznany przez tego, kto się w niego uporczywie wpatruje, ale znika z pola widzenia, zanim dojdzie do doskonałego poznania; mówi: skacząc po górach, przeskakując pagórki. Teraz uważany jest za gazelę, a następnie porównany do jelonka (...) w ten sposób to, co jest przedmiotem poznania, za każdym razem przybiera inną postać".

Grzegorz z Nyssy, świadomy owej zawsze nieuchwytnej nowości tego, co Boskie w naszym życiu, był przekonany, że nie tylko właściwe poznanie religijne to

JOE GIDDENS / PA IMAGES / FORUM

**Bóg w Piśmie Świętym** obiecuje, że już teraz czyni wszystko nowe. Nie musimy więc bać się nawet radykalnej zmiany postaci Kościoła.

„nieskupianie się na tym, co już zostało zrozumiane, ale nieustanne szukanie czegoś więcej od tego, co się rozumie, i niezatrzymywanie się nigdy", lecz że w ogóle „ludzka doskonałość polega na wzroście w doskonałości". Innymi słowy – Grzegorz miał świadomość, że jeśli gdzieś można znaleźć trwałą tożsamość chrześcijańską, to w nieustannym rozwoju i zmianie.

### Głęboka przyszłość

Jeśli jednak tak jest i jeśli weźmiemy na poważnie wezwanie papieża Franciszka, by nasze religijne, teologiczne myślenie uwzględniało i integrowało rezultaty badań naukowych, to w naszych próbach rozumienia tożsamości i zmiany w chrześcijaństwie warto zainspirować się na przykład pomysłem filozofa Johna L. Schellenberga. W swojej wizji rozwoju religii wziął on pod uwagę bardzo dobrze uzasadniony, naukowy obraz rozwoju ludzkości. Zauważył, że nasz gatunek ma za sobą co najwyżej kilkadziesiąt tysięcy lat historii, współczesne, rozwinięte religie zaś – zaledwie parę tysięcy. A przecież – jak wynika z naukowej wizji świata – przed nami otwiera się znacznie dłuższa perspektywa rozwoju. Jeśli się nie pozabijamy w jakiejś światowej wojnie albo nie ugotujemy na skutek efektu cieplarnianego – mamy szansę rozwijać się, jako ludzkość, wiele milionów lat. W takiej perspektywie nasze obecne rozumienie świata – i nasze obecne rozumienie rzeczywistości Boskiej – jest niczym zrozumienie życia, które ma wczesny przedszkolak, wobec mądrości człowieka, który przeżył i nastoletni okres „burzy i naporu", i kryzys wieku średniego, i potrafi dokonać spokojnego bilansu całości swojej egzystencji.

Ludzkość się rozwija nie tylko w wymiarze cywilizacyjnym, ale także moralnym i mądrościowym. Nie jest to rozwój całkiem linearny, ale patrząc z dalszej perspektywy można zaobserwować postęp. W naszej moralnej świadomości odrzuciliśmy niewolnictwo, tortury, rozpoznaliśmy, że bezzasadne i szkodliwe jest dzielenie ludzkiego gatunku na lepsze i gorsze rasy albo lepsze i gorsze warstwy społeczne; potrafimy dzisiaj dostrzec dobro partnerskiego, wiernego i pełnego wzajemnej troski związku dwojga ludzi niezależnie od ich płci biologicznej.

Owszem, czasami gubimy mądrość poprzednich pokoleń. Dlatego rozwój i zmiana nie powinna wiązać się z zapomnieniem o naszej przeszłości. Ale jednak warto, byśmy – pamiętając o swojej historii – otwarci byli na to, co nowe. I nie dotyczy to tylko sfery doczesnej – ale także, a może przede wszystkim przestrzeni duchowości i wiary. Dotyczy to także nas – chrześcijan. Czyż nasz Mistrz nie mówił, że aby wejść do Królestwa, musimy stać się jak dzieci – czyli uznać, że życie dopiero przed nami? Przychodzi: z każdym Adwentem, z każdym dniem, z każdą chwilą niespodziewane i nowe.

©℗ PIOTR SIKORA

# Ojciec święty i jego wykręty

EDWARD AUGUSTYN

**Franciszkowe podejście do faktów najlepiej oddaje znane włoskie powiedzenie: może to i nieprawda, ale za to ładnie opowiedziana.**

„Ludzie tylko zawracają księżom głowę, ciągle czegoś chcą, ciągle o coś pytają" – ironizował papież podczas ubiegłotygodniowego spotkania z grupą rzymskich księży. A potem wyjaśniał, gdzie leży problem: „Klerykalizm to bycie daleko od ludzi. Jak Anglosasi. Bo my, Latynosi, jesteśmy blisko".

### Rasowy dyplomata

Można powiedzieć, że były to słowa niefortunne. Franciszek przyzwyczaił nas, że nie należy traktować serio wszystkiego, co mówi. Zwłaszcza na spotkaniach półoficjalnych, zamkniętych (jak to wspomniane) czy improwizowanych (jak samolotowe konferencje prasowe) albo po prostu – gdy odkłada przygotowany tekst i mówi „od siebie".

Znany jest z nieprecyzyjnych i dwuznacznych wypowiedzi. Nieraz musiał je prostować – sam lub z pomocą współpracowników. Zapewniać, że potępia rosyjską agresję na Ukrainę. Że mówiąc o potrzebie legalizacji związków homoseksualnych miał na myśli argentyńskie prawo państwowe. Że słowa „być katolikiem nie znaczy rozmnażać się jak króliki" odnosiły się do odpowiedzialnego rodzicielstwa.

Często podkreśla, że jest kiepskim dyplomatą. Ale i tak odwoływanie się do narodowościowych stereotypów trudno uznać za lapsus czy niezgrabne sformułowanie. Zwłaszcza jeśli się zdarza częściej niż raz.

Równo rok temu (listopad 2022 r.), w wywiadzie dla portalu America Magazine, mówił o zbrodniach popełnianych w Ukrainie: „Najbardziej okrutni są być może ci, którzy nie są z rosyjskiej tradycji, jak np. Czeczeni, Buriaci".

Po oskarżeniach o rasizm Sekretariat Stanu przesłał władzom na Kremlu przeprosiny i wyjaśnienie, że intencją papieża nie było obrażanie narodów wchodzących w skład Federacji Rosyjskiej.

### W którym kościele dzwoni

Chodzi zresztą nie tylko o nieprzemyślane słowa albo brak precyzji. Franciszkowe podejście do faktów dobrze opisuje włoski aforyzm (przypisywany Giordanowi Bruno): „*Se non è vero, è molto ben trovato*" (może to i nieprawda, ale za to ładnie opowiedziana).

Podczas konferencji samolotowej w drodze powrotnej z Abu Zabi (luty 2019 r.) papież przywołał historię „teczki Ratzingera", z materiałami na temat „pewnej organizacji zakonnej, w której panowało zepsucie seksualne i ekonomiczne" – Jan Paweł II kazał je zamknąć w archiwum, blokując wyjaśnienie sprawy.

Wiele wskazuje, że Franciszkowi skleiły się jednak dwie historie – Maciela Degollada, założyciela Legionistów Chrystusa, seksualnego przestępcy, oraz kard. Hansa Groëra, arcybiskupa Wiednia, wykorzystującego seksualnie młodych księży. Bo właśnie dokumenty oskarżające tego drugiego Ratzinger oddał do archiwum ze słowami „wygrała druga partia", co opisał kard. Christoph Schönborn, naoczny świadek sytuacji.

Na tej samej konferencji Franciszek mówił też, że papież Benedykt „miał odwagę rozwiązać pewne zgromadzenie zakonne, ponieważ było formą niewolnictwa seksualnego dla kleru i założyciela". W oficjalnym zapisie, udostępnionym przez watykańskie służby prasowe, słowo „niewolnictwo" zastąpiono „manipulacją", bo – jak tłumaczył rzecznik Watykanu – ten termin „bardziej precyzyjnie oddawał problem nadużyć, do jakich dochodziło w przywołanym przykładzie".

Franciszek lubi cytować pouczające historie zaczynające się od słów: „Nie wiem, czy to prawda, ale..." lub: „Jak mi powiedziała pewna osoba...". Korzysta z niezweryfikowanych źródeł, powołuje się na nieprawdziwe informacje. Bo nie o prawdziwość faktów mu chodzi, ale o ich przydatność.

„Ktoś mi powiedział – nie wiem, czy to prawda, czy nie – że w języku chińskim słowo »konflikt« składa się z dwóch znaków: »ryzyko« i »okazja«. Konflikt jest nie tylko ryzykiem, ale czasem też okazją" – opowiadał członkom ruchu Focolari w kwietniu 2016 r. To przykład całkowicie zmyślony, co wiadomo przynajmniej od czasów prezydenta Kennedy'ego, który również go cytował.

Franciszek, który tyle razy potępiał fake newsy, sam przykłada rękę do ich szerzenia.

### Tolerancja zero

„Uderzają mnie słowa, jakie św. Franciszek skierował do braci: »Głoście Ewangelię, jeśli trzeba, nawet słowami«" – mówił papież do uczestników kapituły generalnej franciszkanów konwentualnych w czerwcu 2019 r. Wiele razy – w przemówieniach, książkach, wywiadach – tę „radę" przywoływał. Choć historycy nie mniej razy udowadniali, że takich słów nie ma ani w pismach Biedaczyny z Asyża, ani w opisach jego życia (nawet jeśli rzeczywiście napominał braci, by dawali świadectwo ewangelicznego życia).

W podobny sposób Franciszek powołuje się i na inne wielkie postaci. Lubi cytować zdanie św. Bazylego, że Duch Święty jest „czystą harmonią" (*Ipse harmonia est*), które można co najwyżej uznać za parafrazę długiego wywodu kapadockiego Ojca Kościoła.

Gustavowi Mahlerowi, swojemu ulubionemu kompozytorowi, włożył w usta słowa, że „wierność tradycji to podtrzymywanie ognia przy życiu, a nie oddawanie czci popiołom", którego – jak zauważa Sandro Magister, starannie weryfikujący cytaty papieża – w bibliografii na temat muzyka znaleźć nie sposób.

– Przejrzałem też wielokrotnie wszystkie wypowiedzi Benedykta XVI – mówi mi Magister – i nie znalazłem nigdzie słów o „tolerancji zero" wobec pedofilii,

VATICAN POOL / GETTY IMAGES

*Konferencja prasowa Franciszka na pokładzie samolotu papieskiego. Francja, 23 września 2023 r.*

które Franciszek tak często przywołuje, że wszyscy już w nie uwierzyli [po raz pierwszy zacytował je w wywiadzie dla „La Croix" w maju 2016 r. – EA]). Może się mylę – dodaje – ale jak dotąd nikt nie potrafił wskazać, gdzie papież Ratzinger je wypowiedział lub napisał.

### Jezuicka strategia

„Może to nie były szczęśliwe słowa, ale mówiąc o wielkiej Rosji przypomniało mi się to, czego uczono nas w szkole o Piotrze I, Katarzynie II. Może nie do końca słusznie, nie wiem, niech wypowiedzą się historycy. Ale przyszło mi to do głowy, bo tak uczyłem się w szkole" – usprawiedliwiał się papież podczas powrotnego lotu z Mongolii (4 września 2023 r.), nawiązując do swej głośnej wypowiedzi o „wielkiej Rosji", adresowanej do młodzieży w Petersburgu.

Joaquín Morales Solá, argentyński dziennikarz starszego pokolenia, zapewnia mnie, że w czasach, gdy Jorge Berglio chodził do szkoły, historia carskiej Rosji była niemal nieobecna w programach nauczania. – W szkołach podstawowych w ogóle się nie mówiło o Piotrze i Katarzynie, w liceach tylko pobieżnie – mówi Morales. – Myślę, że papież pomylił to, co czytał sam, z tym, czego go uczono w szkole. Wiemy przecież, że był zapalonym czytelnikiem książek o literaturze i historii.

Czasem trudno nie odnieść wrażenia, że Franciszek mija się z prawdą rozmyślnie: sądząc, że tak łatwiej wybrnąć z rozmowy na kłopotliwy temat. Tym razem zgodnie z zasadą: może to i nieprawda, ale za to sprytnie opowiedziana.

W styczniu 2023 r., w wywiadzie dla agencji Associated Press, wyznał, że był zaskoczony informacjami na temat Marka Rupnika, słynnego jezuity-artysty, oskarżonego o przemoc seksualną wobec sióstr zakonnych (media odkryły skandal niespełna dwa miesiące wcześniej). Dodał, że „nie miał ze sprawą nic wspólnego", poza jedną „interwencją proceduralną", którą podjął, „by sprawa toczyła się w normalnym trybie" – czyli została przekazana do Kongregacji Nauki Wiary, która uznała przestępstwa jezuity za przedawnione. (Decyzję kongregacji Franciszek cofnął dopiero miesiąc temu, po ponad rocznej i pełnej niespodziewanych zwrotów walce – ofiar, mediów i samych jezuitów, którzy wyrzucili Rupnika ze swych szeregów – o sprawiedliwy proces).

Ale nie to jest w tej historii najważniejsze. W styczniowym wywiadzie papież przemilczał inny, wcześniejszy i nie mniej poważny zarzut wobec Rupnika – „udzielenia rozgrzeszenia wspólnikowi grzechu" (czyli wyspowiadania swojej ofiary). To jedno z najcięższych przestępstw kościelnych, karane ekskomuniką. Ta sprawa trafiła do kongregacji jeszcze w 2019 r. Nie bacząc na prowadzone postępowanie i powagę zarzutów, Rupnikowi powierzono głoszenie wielkopostnych rekolekcji dla papieża i kurii rzymskiej w marcu 2020 r. Dwa miesiące później Kongregacja Nauki Wiary potwierdziła jego ekskomunikę i niemal natychmiast ją zdjęła. Trudno uwierzyć, by w tak ważnej sprawie, dotyczącej słynnego artysty-jezuity, decyzje kongregacji, kierowanej przez kardynała-jezuitę, zapadły bez udziału i wiedzy papieża-jezuity.

Franciszkowe zmagania z faktami to dla jednych przebiegła gra „na dwie strony" (jak zawsze katastrofalna dla autorytetu duchowego i moralnego), dla drugich populistyczne skrzywienie (pamiątka po czasach młodzieńczego zauroczenia peronizmem), dla jeszcze innych zwykła ludzka przypadłość. Być może to przejaw parezji – swobody wypowiedzi – której papież nikomu, także sobie, nie odmawia, desakralizując urząd i zdejmując z niego nimb nieomylności. Możliwe też, że żadna z tych odpowiedzi nie jest trafna, albo prawdziwe są wszystkie.

Przez dziesięć lat zdążyliśmy się do Franciszka przyzwyczaić, tylko wciąż trudno go zrozumieć. ©℗

# Nowe życie katedry

ANNA GARYCKA Z PARYŻA

**Otwarcie już za rok. Francuzi z napięciem czekają na to wydarzenie, bo pożar Notre-Dame uprzytomnił im, że katedra symbolicznie pełni rolę duszy francuskiego społeczeństwa.**

Ktoś skomentował, że w raju zaczynają pewnie poważne prace renowacyjne, bo Bóg tak nagle wezwał do siebie generała. Generał Jean-Louis Georgelin piastował kluczowe stanowisko głównego koordynatora odbudowy Notre-Dame i gdy 18 sierpnia 2023 r. zginął w niefortunnym upadku podczas wędrówki górskiej w Pirenejach, można było powiedzieć, że odchodzi dopełniwszy swojej misji – paryska katedra zostanie ponownie otwarta za rok, 8 grudnia, czyli zgodnie z ambitnym planem prezydenta Macrona, by odbudować ją w ciągu pięciu lat. Bernard Gorce, dziennikarz polityczny w dzienniku „La Croix", który znał osobiście Georgelina, mówi: – Osobowość generała była zaskakująca. Pod typową dla wojskowego autorytarną powierzchownością kryła się duża wrażliwość i całkowite oddanie misji ukończenia prac renowacyjnych na czas.

Tuż przed wyjazdem na ostatni w swoim życiu urlop generał, zgodnie ze swoim zwyczajem, przyszedł na obiad do bistra „A l'ombre de Notre-Dame" (W cieniu Notre-Dame), usytuowanego kilka metrów od katedry. Właścicielka lokalu Marie Madelaine Miquel – niska, starsza pani, którą znajomi nazywają zdrobniale Mado – przypomina sobie ten moment ze wzruszeniem: – Wychodząc powiedział mi: „Jadę na wakacje, ale niedługo wracam. Do zobaczenia!". Był to wielki człowiek, pełen prostoty. I przystojny! – dodaje z uśmiechem Mado.

Przy okazji uroczystości pogrzebowych Georgelina prezydent Macron stwierdził, że nie zobaczy on odrestaurowanej katedry własnymi oczami, ale 8 grudnia „będzie z nami obecny".

### Bezsenna noc

Marie Madelaine Miquel mieszka i pracuje w cieniu Notre-Dame od kilkudziesięciu lat. Z dumą pokazuje znajdujące się w sali bistra rzeźby, które wykonane zostały na jej zlecenie przez katedralnych czeladników: w głębi sali gargulec, a przy wejściu Quasimodo, postać z powieści Victora Hugo. – Quasimodo objechał już cały świat, bo turyści ciągle go fotografują! – śmieje się Mado. – W drugiej sali mam też rzeźbę Esmeraldy.

Z wieloma osobami związanymi z katedrą i jej odbudową Mado jest po imieniu, bo tak samo jak generał Georgelin przychodzą stołować się w jej bistrze. Z Notre-Dame wiążą ją niezliczone wspomnienia i oczywiście doskonale pamięta wiosenny wieczór 15 kwietnia 2019 r.: – Była piękna pogoda. W czasie aperitifu siedziałam w ogródku restauracyjnym z prałatem katedry ks. Patrickiem Chauvetem. W pewnym momencie patrzę na katedrę i widzę jakby unoszący się stamtąd lekki dym. Patrick mówi mi: „Nie, to niemożliwe!". Patrzymy jeszcze chwilę i nie mamy już wątpliwości, bo dym widać jak na dłoni.

Wszystko potoczyło się następnie bardzo szybko. – Przy ewakuacji nie zdążyłam nawet zamknąć lokalu – opowiada Mado. – Policjanci uspokoili mnie, że nic nie ryzykuję, bo będą tu przez całą noc. Wszystko zostawiłam i dołączyłam do tłumu zgromadzonego na moście Arcol. Jak wiele innych osób, zaczęłam się modlić. To była noc, podczas której nie dało się spać.

Ówczesny dyrektor Luwru Jean-Luc Martinez też nie wyspał się tamtej nocy. Okna jego biura wychodzą na Sekwanę. Nie widać z nich katedry, ale w pewnym momencie widać było dym. – Jak tylko zawaliła się iglica, zadzwonił do mnie minister kultury Franck Riester z poleceniem, by przygotować w Luwrze miejsce na przyjęcie przedmiotów i relikwii ze skarbca katedralnego. Nie było wtedy jeszcze pewności, że w ogóle cokolwiek da się uratować. Dopiero koło godziny drugiej w nocy zadzwonił do mnie strażak z informacją, że uratowane zabytkowe przedmioty i relikwie, w tym bezcenna korona cierniowa, szczęśliwie do-

THOMAS SAMSON / AFP / EAST NEWS

*Generał Jean-Louis Georgelin kierował pracami restauratorskimi katedry Notre-Dame. Paryż, 16 czerwca 2021 r.*

tarły do Luwru. Przechowywane tam będą do ponownego otwarcia katedry.

Obrazy znajdujące się w katedrze są własnością państwa i stanowią część inwentarza Luwru. Zaraz nazajutrz po katastrofie delegacja z muzeum, której przewodniczył Martinez, poszła do zrujnowanej katedry, by oszacować stan obrazów. – To był pierwszy dzień po pożarze, nie wprowadzono jeszcze protokołu bezpieczeństwa w związku z obecnością stopionego ołowiu, nikt nie myślał wtedy o specjalnych kombinezonach, więc wszedłem do katedry tak, jak byłem ubrany, w garniturze. Pyłu ołowiowego było kilka centymetrów, więc nawdychaliśmy się go sporo. Dano nam jedynie kaski, bo wiszące belki groziły upadkiem.

Po niedawnej akcji strażackiej wszystko było nasiąknięte wodą. Ale największe wrażenie na byłym dyrektorze Luwru wywarła siła podmuchu od upadku iglicy, która sprawiła, że wszystkie ławki były zepchnięte na bok. – Co do obrazów, okazało się, że żaden nie ucierpiał. Tak samo nienaruszony pozostał wielki złocony krzyż i figura Notre-Dame, przed którą zobaczyłem, że świeci się świeczka. Aż nie chciało się w to wierzyć, wyglądało to na cud – opowiada Jean-Luc Martinez.

### Polityka w cieniu rusztowań

Po pożarze Notre-Dame redakcja dziennika „La Croix" wyznaczyła specjalną ekipę mającą śledzić na bieżąco odbudowę. Stojący na jej czele Bernard Gorce pracę tę uważa za fascynującą, bo teren odbudowy Notre-Dame to dla niego nie tylko miejsce spektakularnych wyczynów inżynieryjnych i technicznych, ale również temat o wymiarze politycznym. Wskutek rozdziału Kościoła i państwa z 1905 r. budynek paryskiej katedry, jak wszystkich katedr we Francji, należy do państwa i stanowi część dziedzictwa narodowego. Teren, na którym stoi katedra, to własność miasta Paryża, a tradycyjnym użytkownikiem Notre-Dame jest diecezja paryska. Wszystkie te trzy podmioty są reprezentowane w specjalnej komisji podlegającej Ministerstwu Kultury, którą powołano do zarządzania odbudową, a której przewodniczył generał Georgelin, zastąpiony obecnie przez Philippe'a Josta.

– Kiedy prezydent Macron ogłosił tuż po pożarze, że odbuduje Notre-Dame w pięć lat, chodziło o kwestię polityczną, bo chciał w ten sposób ukazać wielkość Francji i swoją osobistą skuteczność – tłumaczy Bernard Gorce. – Szybko podniosły się jednak głosy krytyki, że po co taki pośpiech. Kiedy na odnowę katedry zaczęły wpływać darowizny z całego świata i ogłoszono milionowe koszty renowacji, niektórzy antyklerykałowie byli oburzeni, jak można tyle wydawać na katedrę. Wybór Georgelina na koordynatora był strategiczny, bo jako wojskowy podkreślał on całkowite posłuszeństwo wobec państwa, a jako praktykujący katolik cieszył się poparciem diecezji paryskiej.

Według Gorce'a, katedra krystalizuje właściwe Francji napięcie wokół kwestii religii i dziedzictwa narodowego. Nominacja generała Georgelina nie wszystkim się spodobała, bo na tym stanowisku spodziewano się raczej kogoś związanego ze światem kultury, a nie wojskowego. Architekci przyjęli tę nominację jako przejaw braku zaufania ze strony prezydenta i dość szybko ujawniło się napięcie między generałem Georgelinem a głównym architektem odbudowy Philippe'em de Villeneuve'em. Przepychanka toczyła się wokół tematyki, czy należy odbudować katedrę wiernie do stanu sprzed pożaru, jak postulował architekt, czy może uaktualnić na sposób nowoczesny, jak proponował prezydent reprezentowany przez generała. Architektka dziedzictwa narodowego Marie-Amélie Tek w napisanej po pożarze książce „Notre-Dame à cœur ouvert" (2020) dzieliła się swoimi najgorszymi koszmarami – że na przykład na gotyckiej nawie głównej powstanie basen lub szklarnia roślinna, bo i takie propozycje architektoniczne pojawiły się w fazie projektowej. Marie-Amélie Tek postulowała, by nie zapomnieć, że katedra to nie dworzec ani muzeum. Ostatecznie zadecydowano o renowacji budowli na sposób identyczny ze stanem sprzed pożaru. Katedra ma pozostać taka, jaką znamy.

– Stosunek do dziedzictwa narodowego to nasza typowo francuska pasja – objaśnia Bernard Gorce. – Katedra jest symbolem wielkich wydarzeń historycznych w kraju, a wciąż istnieje pewien katolicyzm tożsamościowy, który przywiązuje się bardziej do zewnętrznych symboli chrześcijaństwa niż do życia zgodnego z Ewangelią.

Kwestia katolicyzmu tożsamościowego czy religijności ostentacyjnej i roszczeniowej jest we Francji punktem newralgicznym. – Nie da się ukryć, że siła katedry Notre-Dame jest duchowo-religijna i nawiązuje do chrześcijańskich korzeni Francji – tłumaczy kolega Bernarda, Christophe Henning, odpowiedzialny w dzienniku „La Croix" za dział Religie. – Ale jak pani wie, we Francji nie mieszamy sfery życia publicznego z życiem prywatnym ani tym bardziej z życiem duchowym.

Obydwaj dziennikarze nie wyobrażają sobie Paryża bez Notre-Dame: – I oczywiście nie chodzi tylko o katedrę z widokówek – podkreśla Gorce – ale też o tę, która stanowi duchowe płuca stolicy, w której odbywają się nabożeństwa. Sedno w tym, że nie można katedry Notre-Dame zredukować do tylko jednego wymiaru. Jej znaczenie jest wiekorakie.

Generał Georgelin katedrę określił kiedyś jako „duszę Francji". Powiedział, że po pożarze płakała cała laicka Francja, zaznaczył jednak, że jego pierwszą misją jako koordynatora jest przywrócenie miejsca dla kultu katolickiego. ↦

CHRISTOPHE PETIT TESSON / EPA / PAP

*Król Karol III i prezydent Emmanuel Macron wizytują katedrę Notre-Dame w trakcie renowacji. Paryż, 21 września 2023 r.*

**Symbol nadziei**

Wobec czternastu milionów osób odwiedzających katedrę co roku, diecezja paryska nigdy nie lubiła rozdzielać „turystów" od „wiernych", podkreślając, że w katedrze jest miejsce dla wszystkich. Diecezja, m.in. przez wybór stosownego wyposażenia liturgicznego, chce podkreślić, że katedra została zbudowana przede wszystkim dla chwały Bożej i jest miejscem kultu katolickiego, który trwa niezmiennie od 850 lat. By do milionów odwiedzających ją osób mogło dotrzeć coś ze świadectwa wiary, po ponownym otwarciu położony zostanie akcent na charakter pielgrzymkowy Notre-Dame. Ks. Olivier Ribadeau Dumas, powołany na rektora w miejsce ks. Chauveta we wrześniu 2022 r., o pielgrzymkach wie sporo. Przez ostatnie trzy lata sprawował opiekę nad bodaj największym francuskim sanktuarium pielgrzymkowym w Lourdes. Gdy przyjmuje mnie w biurach diecezjalnych przy ulicy Chanoinesse, niedaleko katedry, nie omieszka zaznaczyć, że dwanaście razy odbył pieszą pielgrzymkę z Warszawy do Częstochowy.

Wybór daty 8 grudnia, czyli święta Niepokalanego Poczęcia, na inaugurację katedry ma dla niego szczególne znaczenie: – To właśnie w Lourdes Najświętsza Maria Panna objawiła się Bernadetce Soubirous mówiąc: „Jestem Niepokalanym Poczęciem". To święto przypomina nie-strudzenie o miłosierdziu Bożym – mówi ks. Ribadeau Dumas.

Przy wyborze nowego wyposażenia katedralnego duże znaczenie przywiązano do obecności stosownych krzeseł. Krzesła sygnalizują, że katedra to miejsce zgromadzenia, które ma łączyć wszystkich do niej przybyłych. Nowy metropolita Paryża abp Laurent Ulrich pragnął, by krzesła były stale obecne i dyskretne. Odrzucony został na przykład projekt ruchomych ławek na kółkach. – Chcieliśmy, by krzesła wtapiały się w wielowiekową historię tego miejsca, a nie zrywały z nią, nawet jeśli w przeciągu wieków katedra i jej wyposażenie ewoluowały – wyjaśnia ks. Ribadeau Dumas. – Chcieliśmy, żeby krzesła były „milczące", to znaczy by współgrały z architekturą, ale potrafiły ustąpić miejsca temu, co w katedrze ważne, zwłaszcza swobodnemu przepływowi światła.

Ostatecznie zatwierdzona propozycja architektki Ionny Vautrin ujęła właśnie przejrzystością. Niskie, ażurowe oparcie krzeseł, które zaprojektowała Vautrin, pozwala dostrzec posadzkę i nie blokuje przepływu światła.

– To, co najbardziej zaskoczy odwiedzających po ponownym otwarciu, to nie tyle nowe wyposażenie liturgiczne, ile cała katedra, taka jaka będzie. Nikt żyjący jeszcze jej takiej nie widział! Ogólne zabrudzenie powodowało, że nie można było sobie zdać sprawy z jej szerokości. Kiedy stało się w kaplicach północnych, nie można było dostrzec kaplic południowych. Nie można było podziwiać piękna witraży, bo takie były brudne. Po renowacji nowa katedra będzie miała czym zachwycić odwiedzających – stwierdza ks. Ribadeau Dumas. – Moim zadaniem jako rektora jest dopilnowanie, by była tu przestrzeń, w której działa Duch Święty.

Z jednej strony katedra to miejsce odkrywania pięknego zabytku, podziwiania sztuki, z drugiej zaś to przestrzeń liturgiczna. Nie chodzi o to, by te dwie rzeczywistości sobie przeciwstawiać, ale by każdy, kto odwiedza Notre-Dame, został właściwie przyjęty. – Każdy z nas potrzebuje, by go przyjąć i powitać, nie tylko osoby w potrzebie czy imigranci – mówi rektor.

Diecezja chce uwypuklić, że nie chodzi tylko o estetykę wyposażenia katedry. Wnętrze będzie podkreślać, że katedra jest celem pielgrzymkowym. Obrazy, rzeźby, nazewnictwo kaplic: wszystko zostało pomyślane jako świadectwo chrześcijaństwa.

Kiedy Notre-Dame płonęła, nie tylko poruszony był cały Paryż czy cała Francja, ale cały świat. – Jest w paryskiej Notre-Dame coś uniwersalnego, rozpoznawalnego przez całą ludzkość – podkreśla ks. Ribadeau Dumas. – Kiedy iglica katedry upadła w płomieniach, byliśmy w stanie osłupienia. Dziś jesteśmy na zupełnie nowym etapie odbudowy, gdy na paryskim niebie widać wznoszącą się ponownie iglicę. Podczas niedawnej wizyty papieża Franciszka w Marsylii żarliwa msza na stadionie okazała się przyczyną wielkiej radości dla Marsylii i dla całej Francji. Tak samo ponowne otwarcie Notre-Dame będzie momentem radości i symbolem nadziei. W społeczeństwie, które nie widzi sensu życia, w Kościele naznaczonym trudnymi kryzysami odbudowa katedry to nadzwyczajny symbol nadziei, symbol zmartwychwstania.

Pod koniec 2024 r. Notre-Dame otworzy ponownie swe podwoje, nawet jeśli odbudowa nie będzie jeszcze wtedy całkowicie zakończona. To będzie ważne wydarzenie, bo pożar uprzytomnił, że katedra symbolicznie spełniała rolę duszy współczesnego francuskiego społeczeństwa. Nie bez powodu Wisława Szymborska pisała w wierszu: „nie zbudowano jej, o nie, zagrano ją na lutni". © ANNA GARYCKA

WOJCIECH

# Bonowicz: *Cukierki*

Kiedy byłem mały, to byłem jaki? Bardzo chciałbym wiedzieć. Chciałbym pamiętać siebie od wewnątrz i z zewnątrz. Jak wyglądałem? Przecież nawet zdjęcia kłamią. Wystarczy inaczej się ustawić, nienaturalnie skrzywić lub uśmiechnąć. To ja? Tak, to ja – ale i nie ja. To jakieś przybliżenie, ja mniej więcej. To ja w drodze do siebie.

A przecież pamięta się tak wiele... Zapachy, smaki, dotyki, czasem nawet słowa, choć z tym najtrudniej. Pamięta się, jak coś się zgubiło, pamięta się surowe, oceniające spojrzenie nauczycielki, ale pamięta się też uśmiech pani, która na plaży leżała na kocu obok. Pamięta się krew kapiącą z rozciętej ręki, psa, który polizał nam twarz, i kulejącego starszego pana, który przyjechał do nas z Czechosłowacji, żeby zobaczyć papieża. Nie pamiętam wprawdzie dokładnie, jak wyglądał, bo ze względów bezpieczeństwa nie zrobiliśmy sobie wspólnego zdjęcia, ale wiem, że miał na imię Josef. Kiedy odjeżdżał, mój brat wychylił się z okna i sfotografował jego małą, oddalającą się sylwetkę, żeby została po nim choć taka pamiątka.

Pamiętam, że kiedy odwiedziła nas moja chrzestna mama, spałem z nią w łóżku, a ponieważ strasznie się wierciłem, na drugi dzień była niewyspana. W ogóle sypiałem dość niespokojnie, częściej w poprzek łóżka niż wzdłuż, a kiedy musiałem spać z kimś, wykładałem na niego nogi, żeby mi było wygodniej. Pamiętam też, jak znalazłem w trawie rozsypane cukierki, które musiały wypaść komuś z pękniętej torebki. To były kruche irysy o sezamowym smaku... A może z makiem? Tak, w trawie znalazłem te z makiem, a te sezamowe kupiłem kiedyś w sklepie za kilkadziesiąt groszy. Pamiętam, że kiedy znalazłem te irysy, było mi głupio, bo wyobraziłem sobie tego, kto je zgubił, i zrobiło mi się go żal. I oczywiście pamiętam, że szybko je zjadłem, i wszystkie sam, bo mama na pewno kazałaby mi je odnieść na miejsce, w którym je znalazłem.... Tylko kiedy to było? Byłem mały, bardzo mały czy wcale nie taki mały?

To właśnie myli mi się najczęściej... Mam wrażenie, że mały byłem bardzo długo, i nawet wspomnienia z okresu, gdy miałem dwanaście, czternaście lat, przekładam o kilka lat wstecz. Dziś myślę, że przez wiele lat żyłem rozdwojony – zbyt dziecinny jak na swój wiek, a jednocześnie w niektórych sprawach nadmiernie dojrzały. Czytałem książki, których moi rówieśnicy nie czytali, i wierzyłem w istnienie Świętego Mikołaja, w którego oni już nie wierzyli. Kiedy przestałem wierzyć? Nawet kiedy jako siedmiolatek dostałem od niego list napisany na maszynie, chyba wciąż wierzyłem jeszcze...

Dziś są filmy. Od małego rejestruje się, jak dziecko się zmienia, uczy się mówić, rośnie. Ja mam nagrania audio z czasu, kiedy jeszcze nie chodziłem do szkoły. Słychać na nich, że mówię przez nos, że trochę się spieszę i połykam niektóre sylaby. Ale czy to mój prawdziwy głos, czy zniekształcony? Dziecku wydaje się, że mówi wyraźnie, a tymczasem inni proszą: powtórz, tylko powoli. Zresztą później też tak jest, tylko mniej się tym przejmujemy.

Kiedy w domu pojawił się magnetofon, robiliśmy audycje muzyczne: nagrywaliśmy piosenki z radia, a pomiędzy nimi wygłupialiśmy się albo czytaliśmy fragmenty książek. Jako dziecko człowiek ma co chwilę inny zawód: byłem redaktorem gazety, prezenterem, przewodnikiem w muzeum, bibliotekarzem. Jeszcze wcześniej chciałem być strażakiem i to marzenie bardzo długo mnie nie opuszczało. Kiedy na wuefie okazywało się, że radzę sobie gorzej niż inni, byłem zrozpaczony, bo wiedziałem, że do straży mnie nie przyjmą.

Myślę o tym wszystkim, patrząc, jak po betonowej podłodze biega uśmiechnięty Lew w ciepłych skarpetkach i kopie przed sobą miękką piłkę. ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

**SŁUPSK,** piątek 1 grudnia, spotkanie autorskie z redaktorem Michałem Rychertem o albumie „Kościół Mariacki w Słupsku. Historia, sztuka, wiara”, Biały Spichlerz (ul. Szarych Szeregów 12), godz. 18.00

**KATOWICE,** środa 6 grudnia, spotkanie z Jarosławem Makowskim, Andrzejem Muszyńskim i Marcinem Żyłą, „O granicach i ich przekraczaniu”, Sala Parnassos Biblioteki Śląskiej (pl. Rady Europy 1), godz. 18.00 / hybrydowe (transmisja na kanale Youtube Biblioteki Śląskiej)

**RZESZÓW,** czwartek 7 grudnia, spotkanie z prof. Rafałem Matyją, „Uwaga awaria, wyjście ewakuacyjne polskiej polityki”, Antykwariat Klasztoru Dominikanów (ul. Dominikańska 15), godz. 19.00

REZERWUJ CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

# CHMURY NAD KIJOWEM

Sprawy wokół Ukrainy nie idą w dobrą stronę. Na Kremlu zacierają ręce z przekonaniem, że Rosja powoli, ale konsekwentnie zmierza po zwycięstwo.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Ciągnącą się na długości ponad tysiąca kilometrów linię frontu pokrył pierwszy śnieg. W minionym tygodniu w Kramatorsku w obwodzie donieckim temperatura odczuwalna spadała do minus 12 stopni. Warunki pogodowe ostatecznie pozbawiają Ukraińców złudzeń, że w tym roku uda się przełamać rosyjskie linie obrony i odzyskać przynajmniej część utraconych ziem.

Zmianie uległy również nastroje w Kijowie – i to nie tylko ze względu na trudną sytuację na froncie. Komplikuje się sytuacja wewnątrzpolityczna, rośnie społeczne zmęczenie, coraz większe są trudności na Zachodzie z dalszym wsparciem wojskowym i finansowym. A obecne problemy mogą być dopiero początkiem kolejnych, znacznie większych.

## Impas na froncie

Ostatecznym sygnałem, że rozpoczęta w czerwcu kontrofensywa zakończyła się niepowodzeniem, był opublikowany na początku listopada w tygodniku „Economist" wywiad z gen. Wałerijem Załużnym. Naczelny dowódca armii ukraińskiej przyznał to, co dla obserwatorów jasne było od dłuższego czasu: na froncie nastał impas, wojna przybrała charakter pozycyjny.

Załużny szczerze stwierdził, że po niemal pięciu miesiącach kontrofensywy siły ukraińskie przesunęły się zaledwie o kilkanaście kilometrów i nie są w stanie przełamać wrogich umocnień. Dodał też – bijąc się we własne piersi – że nie docenił potencjału rosyjskich sił i błędnie liczył na ich szybkie wyczerpanie. Co gorsza, bez nowych i znaczących dostaw uzbrojenia (w tym „nowych technologii") Załużny nie widzi szans na przełamanie obecnego impasu.

Dla części społeczeństwa ukraińskiego ten wywiad był jak grom z jasnego nieba. Słowa Załużnego padły bowiem po wielu miesiącach nadziei i oczekiwań, rozbudzanych przez władze w Kijowie, że sukces na froncie jest bliski. Włącznie z sugestiami, że siły ukraińskie wkroczą na okupowany Krym. Wysocy przedstawiciele Ukrainy budowali przekonanie, że zwycięstwo jest kwestią nieodległego czasu.

Wielokrotnie przekonywał o tym również gen. Kyryło Budanow, szef wywiadu wojskowego. Co dziwne w przypadku osoby zajmującej takie stanowisko, regularnie udzielał on wywiadów, zapowia-

OZGE ELIF KIZIL / ANADOLU / EAST NEWS

*Ukraińscy żołnierze na linii frontu w okolicach Kupiańska. Obwód charkowski, 21 listopada 2023 r.*

dając, że „na Krymie wszystko się zaczęło i na Krymie wszystko się zakończy", i to jeszcze latem tego roku.

### Zełenski ma z kim przegrać

Okazało się, że łatwiej jest deklarować, niż zrobić. Linia propagandowa władz w Kijowie, budowana także „ku pokrzepieniu serc", okazała się daleka od rzeczywistości. Narracja Kijowa, w tym prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, musiała ostatnio ulec wymuszonej zmianie. Chcąc nie chcąc, władze zaczęły przyznawać, że Ukrainę czeka długa i trudna wojna.

Problemy na froncie to nie jedyne zmartwienie Zełenskiego. Kolejnym jest bowiem... Załużny. W ciągu niemal dwóch lat pełnoskalowej wojny stał się on niekwestionowanym bohaterem narodowym i Zełenski obawia się dziś, że generał może mieć ambicje prezydenckie.

Zgodnie z kalendarzem wiosną 2024 r. na Ukrainie powinna odbyć się elekcja głowy państwa. Zapisy prawne dotyczące wyborów w warunkach stanu wojennego nie są jednoznaczne – władze mogą, ale nie muszą ich zorganizować. Wygląda na to, że Zełenski nie zdecyduje się na ich przeprowadzenie, lecz odłoży je na nieokreśloną przyszłość. Z jednej strony przeszkodą są obiektywne okoliczności: wojna, wewnętrzne przesiedlenie kilku milionów ludzi i uchodźstwo zagraniczne kilku kolejnych milionów. Z drugiej, gdyby okazało się, że głównodowodzący armii zgłosiłby swój start, Zełenski mógłby się pożegnać z drugą kadencją.

Wszystko to potwierdza, że mimo trwającej wojny rywalizacja na wewnętrznej scenie politycznej nie została zamrożona.

### Problemy z zachodnią pomocą

Od wybuchu pełnoskalowej wojny Ukraina pozostaje uzależniona od zagranicznej pomocy finansowej i militarnej. Bez niej państwo nie mogłoby działać, a armia walczyć. W 2023 r. kraj otrzymał już ponad 35 mld dolarów wsparcia z zagranicy, w tym 80 proc. z UE i USA. Przyszłoroczne potrzeby szacowane są na 41 mld dolarów, a wciąż nie jest pewne, czy uda się pozyskać całość tych środków. Unia Europejska jest bliska przyjęcia czteroletniego programu Ukraine Facility o wartości 50 mld euro, ale sceptyczne stanowisko Węgier (o czym za chwilę) sprawia, że należy oczekiwać w tej kwestii co najmniej opóźnienia.

Znacznie większym problemem dla Kijowa jest sytuacja w Kongresie USA z nowym pakietem wsparcia głównie wojskowego o wartości 61 mld dolarów. Zbliżające się wybory prezydenckie i rozkręcająca się już w Stanach kampania, a także rosnący sceptycyzm amerykańskich wyborców i Partii Republikańskiej wobec dalszej pomocy dla Ukrainy sprawiają, iż sprawa jest daleka od załatwienia. Tymczasem bez środków na zakup sprzętu wojskowego i amunicji ukraińska armia nie byłaby w stanie utrzymać linii frontu, nie mówiąc już o jej przesunięciu na niekorzyść wroga.

Cała sytuacja pokazuje, jak newralgiczne znaczenie ma wsparcie USA. Europa zrobiła wprawdzie postępy w ostatnich miesiącach, ale nie jest w stanie dotrzymać kroku Stanom, co szczególnie ważne jest w przypadku produkcji i dostaw amunicji. Większość europejskich członków NATO zachowuje się, jakby na wschodzie kontynentu nie trwała wielka wojna z potencjałem dalszej eskalacji. Dla przykładu, niemiecki budżet obronny zwiększył się w tym roku o zaledwie 3,7 proc., czyli poniżej poziomu inflacji. Ogłoszonej niemal dwa lata temu przez kanclerza Scholza „epokowej zmiany" przynajmniej w sferze militarnej nie widać.

↦

### Węgierska blokada

Mimo problemów w tych różnych sferach Kijów oczekiwał, że dużym sukcesem będzie otwarcie w połowie grudnia rozmów akcesyjnych z Unią, co pozwoli podnieść spadające nastroje społeczne. Wygląda jednak na to, że ta perspektywa może się oddalić, gdyż plany mogą pokrzyżować Węgry.

Premier Viktor Orbán coraz śmielej wiąże węgierską zgodę na rozpoczęcie negocjacji z Ukrainą, a także na jej dalsze wsparcie finansowe (niezbędna jest tu jednomyślność wszystkich krajów UE), ze spełnieniem przez Brukselę węgierskich postulatów. Kluczowe to odblokowanie środków z funduszu spójności i planu odbudowy oraz rozpoczęcie strategicznej debaty na temat unijnego podejścia do Ukrainy. Budapeszt od dawna przekonuje, że sankcje wobec Rosji nie działają, a wspieranie Ukrainy uznaje za marnotrawienie pieniędzy.

Gdyby się okazało, że postawa węgierska skomplikuje, opóźni lub – w najgorszym razie – zablokuje rozpoczęcie negocjacji akcesyjnych, wtedy władze w Kijowie będą mieć potężny problem. Administracja Zełenskiego oczekiwała bowiem, że w sytuacji braku sukcesów na froncie to sukces w integracji europejskiej będzie stanowić swoistą rekompensatę dla społeczeństwa, dającą nadzieję na przyszłość. Rząd deklarował wręcz, że za dwa lata Ukraina dołączy do Unii. Tymczasem nawet sam start negocjacji może się odsunąć w czasie.

### Ciężka zima

Jakby tego było mało, już widać, że w niektórych państwach Unii – nie tylko w przypadku Węgier czy Słowacji po wygranej tam partii Roberta Ficy – pomaganie Ukrainie będzie coraz trudniejsze. Pierwsze miejsce Partii Wolności w niedawnych wyborach w Holandii i prawdopodobnie długi okres formowania tam nowego rządu, a także wzrost poparcia dla sił eurosceptycznych (nierzadko także prorosyjskich) w innych państwach – to zapowiedź nowych kłopotów. By wspomnieć choćby niemiecką AfD i powstający w tym kraju nowy lewicowo-radykalny projekt polityczny Sahry Wagenknecht.

Na razie Ukraina przygotowuje się do ciężkiej zimy. Prezydent ostrzega, że zbliżają się zmasowane rosyjskie ataki na infrastrukturę krytyczną, głównie energetyczną, które prawdopodobnie będą miały większą skalę niż te z ubiegłej zimy. Celem Rosji znów ma być sparaliżowanie państwa i pozbawienie Ukraińców złudzeń, że mogą wygrać tę wojnę.

> Do elit Zachodu powinno wreszcie dotrzeć, że stawką tej wojny jest **przyszłość nie tylko Ukrainy, ale porządku europejskiego.**

Wprawdzie Ukraina szybko nauczyła się działać w warunkach wojennych i na przełomie 2022/23 r. udało się uniknąć paraliżu energetycznego, ale czy uda się to także podczas tej zimy – pozostaje kwestią otwartą. Zaplanowane na marzec 2024 r. „wybory" prezydenckie w Rosji będą popychać Kreml do ofensywy rakietowej, aby Putin mógł pochwalić się jakimś sukcesem.

### Niezmienne cele Rosji

Zarysowany powyżej obraz sytuacji jest alarmujący i dla Ukrainy, i dla Zachodu. Dla Rosji natomiast – wręcz przeciwnie. Takiego właśnie rozwoju wydarzeń oczekiwano na Kremlu: spadku pomocy zachodniej, pogłębienia problemów wewnętrznych w USA i UE, zmęczenia Ukraińców. W dodatku wyjątkowo korzystną niespodzianką dla Moskwy jest wybuch konfliktu Izrael–Gaza, który odwraca zachodnią uwagę od frontu wschodnioeuropejskiego. Teraz Rosja oczekuje jeszcze powrotu Donalda Trumpa do Białego Domu, co jest zresztą scenariuszem dość prawdopodobnym.

Warto przy tym pamiętać, że cele rosyjskie się nie zmieniły. Rosja jest przekonana, że toczy wojnę z Zachodem na terytorium ukraińskim, której stawką bynajmniej nie jest zdobycie kolejnego kawałka ziem ukraińskich, ale kontrola nad całą Ukrainą. A docelowo odbudowa strefy wpływów w Europie Wschodniej i Środkowej oraz rewizja obecnego porządku międzynarodowego.

Rosja uważa, że dzięki swojej determinacji, konsekwencji, a może przede wszystkim dzięki słabości, naiwności i rosnącym problemom Zachodu (nad których pogłębieniem na Kremlu pracują w pocie czoła) będzie w stanie tę wojnę wygrać. Owszem, nie przebiegła ona zgodnie z pierwotnym planem szybkiego zwycięstwa. Ale gra toczy się przecież o wielką stawkę. Zatem – myślą na Kremlu – trzeba uzbroić się w cierpliwość i z uporem robić swoje, a nagroda może być na wyciągnięcie ręki.

### Zachodnia strategia nie działa

Wydawałoby się powyższa diagnoza celów Rosji jest niekontrowersyjna. O dziwo jednak, wciąż nie dotarła do części elit zachodnich. Podejście amerykańskie i niemieckie od wielu miesięcy zakładało, że Moskwa w końcu... zmęczy się wojną i sankcjami i że zacznie szukać porozumienia, które pozwoli przynajmniej zamrozić konflikt, rozpocząć negocjacje i wypracować jakiś konsensus. Zarazem Zachód, niezmiennie obawiając się eskalacji wojny, *de facto* postanowił się samoograniczyć, nie dostarczając Ukrainie wystarczającej ilości broni i systemów artyleryjskich dalekiego zasięgu.

Na Kremlu wzmaga to jedynie przekonanie, że „zgniły Zachód" w końcu ustąpi, a bez zachodniego wsparcia Ukraina nie będzie przecież w stanie kontynuować obrony. Dlatego też Rosja może negocjować wyłącznie w celu spełnienia jej warunków i doprowadzenia do kapitulacji Kijowa.

Jeśli Ukraina ma mieć dziś szansę, konieczna jest gruntowna rewizja obecnej strategii Zachodu. Niezbędne jest porzucenie strachów, że zachodnie wsparcie na większą skalę oznaczać będzie eskalację. Jest dokładnie odwrotnie: to ograniczanie pomocy wojskowej zachęca Rosję do eskalacji.

Do elit Zachodu powinno też wreszcie dotrzeć, że stawką tej wojny jest przyszłość nie tylko Ukrainy, ale porządku europejskiego. To zaś wymaga wzmocnienia własnych zdolności obronnych dla skutecznego odstraszania Rosji.

Ukraina wciąż może tę długą wojnę wygrać. Ale może też ją przegrać, jeśli Zachód zawiedzie. Wynik pozostaje otwarty. Obecnie pewni możemy być jedynie tego, że Ukraińców czeka wyjątkowo ciężki rok.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

*Autor jest dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich imienia Marka Karpia, stale współpracuje z „TP".*

# Cena władzy

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

**Sędziowie protestują, emerytowani wojskowi wzywają do puczu, a na ulice wyszedł milion oburzonych ludzi. Co się dzieje w Hiszpanii?**

JAVIER SORIANO / AFP

*Protest przeciw amnestii dla katalońskich separatystów. Madryt, 18 listopada 2023 r.*

Prawie cztery miesiące: tyle Hiszpanie musieli czekać na nowy rząd. Po nieudanej próbie formowania większości, podjętej przez lidera konserwatywnej Partii Ludowej (to ona dostała najwięcej głosów, ale za mało, by objąć władzę), rząd udało się w końcu utworzyć obecnemu premierowi, który od 2018 r. stoi na czele lewicowej koalicji.

Powszechne niezadowolenie budzi jednak cena, jaką Pedro Sánchez musi płacić za utrzymanie się u władzy: za to, że jego nowa koalicja może liczyć na niewielką, ale większość 179 głosów w 350-osobowym Kongresie. W zamian za poparcie partie katalońskie chcą bowiem amnestii dla tamtejszych separatystów i przeprowadzenia nowego referendum, w którym Katalonia mogłaby zdecydować o swojej niepodległości.

**MILION NA ULICACH** | Od ponad trzech tygodni w Madrycie dochodzi do gwałtownych protestów przeciw ułaskawieniu skazanych separatystów. Schemat zwykle jest podobny: demonstranci zbierają się przy ulicy Ferraz, w okolicy siedziby Partii Socjalistycznej (PSOE). Początkowo spokojne, zgromadzenie szybko zamienia się w przepychanki z policją. W ruch idą petardy, kamienie i butelki, policja odpowiada siłą.

Przed siedzibą PSOE z policją ściera się zwykle od kilkuset do kilku tysięcy osób, jak można sądzić: o radykalnie prawicowych poglądach. Ale sprzeciw jest znacznie szerszy, a pokojowe manifestacje gromadzą tłumy znacznie liczniejsze. Jak ten z udziałem miliona ludzi, zorganizowany wspólnie przez liderów opozycji – prawicowej Partii Ludowej i ultraprawicowej partii Vox – w przedostatnią sobotę listopada. Na banerach demonstranci wznosili hasła: „Rząd się sprzedaje", „Zamach stanu" czy „Chcemy państwa prawa". Jak donosi portal Vozpópuli, premier Sánchez porusza się teraz po kraju w kolumnie aż dziewiętnastu pojazdów – ze względu na protesty dostał dodatkową ochronę.

**WOJSKOWI GROŻĄ** | Sprzeciw wobec projektu amnestii słychać nie tylko z ulic, wyrażają go także kolejne grupy zawodowe. Obawy wyrazili już sędziowie, adwokaci, Naczelna Rada Sądownictwa i Sąd Najwyższy. Ich zdaniem z amnestii może skorzystać nawet 400 skazanych. Według stowarzyszeń sędziowskich taka rewizja wydanych już wyroków przez władzę wykonawczą naruszałaby zasadę trójpodziału władzy. Pojawił się już neologizm – „*lawfare*", czyli użycie systemu sprawiedliwości do celów politycznych – z którego wymową prezenterzy muszą się teraz mierzyć na antenie.

Przeciw amnestii protestują też emerytowani wojskowi. Zdaniem dziennika „El País" nie tylko protestują, ale wzywają do zamachu stanu. W swoim manifeście ponad 50 wysokich rangą byłych oficerów zażądało, by ich koledzy, którzy są w czynnej służbie, „odwołali" premiera, a potem rozpisania wyborów. Na czym ma polegać „odwołanie", nie sprecyzowali.

Sprzeciw wobec projektu amnestii trafił już także do Unii Europejskiej. Jorge Buxadé z grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów stwierdził podczas debaty w Parlamencie Europejskim, że za sprawą decyzji Sáncheza w Hiszpanii dochodzi do „zamachu stanu", a kraj „przy milczeniu Brukseli zmierza w stronę tyranii".

**NOWY RZĄD** | Sánchez został już zaprzysiężony. Tak jak w poprzednich dwóch kadencjach, premier ślubował wierność konstytucji w Pałacu Zarzuela i w obecności króla Filipa VI. Jego stary-nowy rząd poparło w sumie osiem partii, ale wchodzą do niego tylko dwie: PSOE i ultralewicowa Sumar. Zabraknie niedawnych koalicjantów z partii Podemos (ci krytykują Sáncheza m.in. za to, że nie chce potępić działań Izraela w Gazie).

Nowy gabinet będzie mieć „silny akcent feministyczny" – ogłosił Sánchez. Mają w nim zasiąść cztery wicepremierki i w sumie 12 kobiet na 22 resorty. Powstaną nowe: dzieci i młodzieży, transformacji cyfrowej i mieszkalnictwa. Premier zapowiada podniesienie emerytur, pensji minimalnych, poprawę opieki zdrowotnej i łatwiejszy dostęp do mieszkań.

**REGIONY ZECHCĄ WIĘCEJ?** | Najwięcej krytyki, jak powiedziano, budzi umowa z katalońską partią Junts, która poparła rząd Sáncheza w zamian za amnestię dla organizatorów nielegalnego referendum o niepodległości Katalonii w 2017 r. oraz za obietnicę nowego głosowania w tej sprawie. Rzeczniczka Junts zapowiedziała, że jeśli Sánchez nie spełni tych obietnic, to „będzie musiał szukać poparcia gdzieś indziej".

Tymczasem obietnice Sáncheza wobec separatystów – wśród których jest też umorzenie 20 proc. długu Katalonii – mogą ośmielić kolejne hiszpańskie wspólnoty autonomiczne (to odpowiednik województw, ale o dużo większych kompetencjach) do walki o swoje interesy. Zwłaszcza że wotum zaufania dla Sáncheza poparły – prócz dwóch partii katalońskich – także partie nacjonalistyczne z Kraju Basków i Galicji. ©

# Czesi murem za Izraelem

MARTYNA WASIUTA Z PRAGI

**Na budynkach publicznych w Pradze obok flag ukraińskich powiewają flagi izraelskie. Dlaczego Czechy tak jednoznacznie popierają państwo żydowskie?**

Czechy chcą być głosem Izraela w Europie – mówił premier Petr Fiala na Rynku Staromiejskim. Demonstracja solidarności z Izraelem, zorganizowana w stolicy Czech przez Federację Gmin Żydowskich, zgromadziła 1 listopada kilkuset uczestników. Podobne oświadczenie Fiala złożył premierowi Netanjahu podczas wizyty w Izraelu. Jego słowa – jedna z najmocniejszych takich deklaracji z ust europejskiego polityka w tych dniach – odbiły się sporym echem za granicą.

Taka postawa cechuje nie tylko obecny prawicowo-centrowy rząd. To wyraz tradycyjnej czeskiej polityki wobec państwa żydowskiego. Jej korzenie sięgają czasów pierwszego prezydenta sprzed stu lat, Tomáša Garrigue Masaryka, gdy Izrael był dopiero marzeniem syjonistów.

Dziś, mimo mocno podkreślanego poparcia dla Izraela i przez rządzących, i przez opozycję, nie brakuje jednak w czeskim dyskursie publicznym głosów tonujących. Pojawia się pogląd, że po 7 października media głównego nurtu nieobiektywnie informują o konflikcie izraelsko-palestyńskim, że zbytnio przejmują narrację izraelską i za mało uwzględniają racje palestyńskie w tym trwającym od dekad konflikcie.

### Wystąpmy z ONZ!

Jana Černochová, minister obrony, znana jest z tego, że otwarcie daje wyraz temu, co myśli. W 2022 r. dała się sfotografować w koszulce z napisem „Władimirze Putinie, pierdol się". Gdy niedawno Czechy znalazły się w gronie tylko 14 państw, obok Izraela, USA i Węgier, które w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ głosowały przeciw rezolucji wzywającej do zawieszenia broni (większość Europy, w tym Polska, wstrzymała się od głosu), tak zirytowało to Černochovą, że na platformie X zaproponowała, by jej kraj wystąpił z ONZ.

Premier Fiala zdystansował się od tej opinii, uznając ją za wyraz „rozgoryczenia". Ale to kolejny przykład, jak bardzo Czesi starają się podkreślać swoją solidarność z Izraelem (inna sprawa, że zdaniem szefa dyplomacji gest pani minister może zaszkodzić Czechom w ich staraniach o niestałe członkostwo w Radzie Bezpieczeństwa ONZ).

Przy tej okazji wróciła dyskusja wokół przeniesienia ambasady czeskiej z Tel Awiwu do Jerozolimy. Do tej pory uczyniło to niewiele krajów; reszta wstrzymuje się, uznając, że najpierw powinien zostać ustalony status całej Jerozolimy (jej wschodnia część formalnie jest pod izraelską okupacją). Gdy Fiala oświadczył teraz, że popiera przeniesienie ambasady i uważa, iż „w tej chwili byłby to pożądany krok", poparli go nawet politycy z opozycyjnej partii ANO byłego premiera Andreja Babiša.

Na razie idea przeniesienia ambasady pozostaje na poziomie deklaracji. Nie znajduje poparcia w czeskim MSZ. Zdaniem ministra Jana Lipavskiego krok taki byłby sprzeczny z prawem międzynarodowym i uchwałami Rady Bezpieczeństwa ONZ. Zaburzyłby też jedność Unii Europejskiej, zwłaszcza w czasie rosyjskiej agresji na Ukrainę. Przeciwny jest również na razie prezydent Petr Pavel, który uważa, że stan wojny, w jakim znajduje się Izrael, nie jest odpowiednim momentem na rozmowę o przenoszeniu ambasady.

### „Drugi dom" Zemana

Wielkim adwokatem Izraela był również poprzedni prezydent Miloš Zeman. W 2018 r. podczas wizyty w tym kraju powiedział, że Izrael jest jego drugim domem. A pod koniec 2022 r., na krótko przed końcem swojej kadencji na praskim Hradzie, zakomunikował, iż oczekuje od nowego rządu Fiali, że ten doprowadzi do końca kwestię przeniesienia ambasady do Jerozolimy. Słowa słowami, ale faktem jest, że nie uczynił tego również poprzedni rząd z Andrejem Babišem na czele, którego pozycja była ściśle związana z protekcją Zemana.

Warto przypomnieć, że w 2021 r. Zeman sprzeciwiał się kandydaturze Lipavskiego na szefa MSZ, zarzucając mu m.in. niewystarczające jego zdaniem poparcie dla Izraela. 38-letni Lipavský, jeden z młodszych ministrów w rządzie Fiali, wywodzi się z lewicowo-progresywnej Partii Piratów, której stosunek do konfliktu izraelsko-palestyńskiego już wtedy był mniej jednoznaczny niż pozostałych centroprawicowych koalicjantów.

W jednej ze swych deklaracji Piraci opowiedzieli się za zaprzestaniem budowy osiedli żydowskich na Zachodnim Brzegu Jordanu (nielegalnych w myśl prawa międzynarodowego) oraz za umożliwieniem Palestyńczykom swobodnego przemieszczania się na całym terytorium Zachodniego Brzegu. Potępiali i terroryzm (palestyński), i działania przemocowe (Izraela) jako narzędzia rozwiązania konfliktu.

### Arabowie obok Romów

Gdyby szukać przyczyn proizraelskiej postawy polityków takich jak Zeman czy Babiš, w świetle ostatnich lat ich rządów, sojusz z Izraelem okaże się jednak nie tylko wyrazem długofalowej polityki zagranicznej. Jest on także pewną emanacją populizmu o antyislamskim zabarwieniu. Zarówno partia ANO, jak

MICHAL CIZEK / AFP / EAST NEWS

*Wiec solidarności z Izraelem po ataku Hamasu. Praga, 1 listopada 2023 r.*

i Zeman w trakcie kampanii parlamentarnych i prezydenckich stawiali (skutecznie) na polaryzację również wokół kwestii imigrantów z krajów arabskich przybywających do Czech.

Skąd taki polityczny pomysł? Zapewne stąd, że Arabowie od lat plasują się – obok Romów – na końcu w czeskich rankingach sympatii wobec mniejszości zamieszkujących kraj (np. według Centrum Badania Opinii Społecznej, CVVM). Nie mówiąc już o kolosalnym sprzeciwie opinii publicznej wobec przyjmowania migrantów, w tym tych z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej (79 proc. w badaniu CVVM z 2018 r.).

### Radary dla armii

W Pradze można usłyszeć, że duży wpływ na stosunek obecnego rządu do konfliktu na Bliskim Wschodzie ma doradca premiera ds. polityki zagranicznej i bezpieczeństwa Tomáš Pojar. Uznawany za „jastrzębia", w przeszłości Pojar był ambasadorem w Izraelu (w latach 2010-14). Jest też synem Miloša Pojara, pierwszego po 1989 r. ambasadora Czech w Izraelu i autora książki „T.G. Masaryk i kwestia żydowska".

Młodszy Pojar miał doprowadzić do tego, że w okresie jego misji zapoczątkowano wspólne posiedzenia rządów Czech i Izraela. W 2012 r. doszło też do swego rodzaju historycznego wydarzenia w stosunkach obu państw, a to za sprawą głosowania, w którym Czechy jako jedyny kraj UE zagłosowały przeciw przyznaniu Palestynie statusu niečłonkowskiego państwa obserwatora w ONZ.

Za zacieśnianiem relacji z Izraelem stoją też interesy gospodarcze Czech. Wymiana handlowa w ostatnich latach rośnie, Izrael jest dziś jednym z pięciu najważniejszych partnerów handlowych Czech poza Europą. Krajowe firmy – jak Škoda Auto, Rudolf Jelínek, Tatra Trucks – wyeksportowały tam w 2022 r. towary o wartości 27 mld koron, a import z Izraela wyniósł 8,2 mld koron. Jak podaje Związek Przemysłu i Transportu, to ok. 0,5 proc. czeskiego eksportu i 0,2 proc. importu.

Pradze zależy też na korzystnych zakupach dla czeskiej armii. Od 2019 r. zamówiono radary od Israel Aerospace Industries i systemy rakietowej obrony powietrznej Spyder. W ich produkcji i dostawie mają partycypować rodzime firmy.

### Historyczne sploty

Czesi chętnie uzasadniają swoje podejście do Izraela tradycją wywodzącą się jeszcze z okresu pierwszej republiki, powstałej w 1918 r., i jej prezydenta Masaryka. Przywoływany jest tu też Václav Havel. Obaj prezydenci dostrzegali wspólnotę losów czeskich i żydowskich w ich emancypacji do niepodległości i budowy państwa.

Jako prezydent Czechosłowacji Masaryk odwiedzał osady żydowskie na terenie brytyjskiej wówczas Palestyny, a jego syn Jan Masaryk, szef MSZ w latach 1940-48 (z okresu, zanim władzę objęli komuniści), miał udział w dostawach broni dla podziemnych organizacji żydowskich i potem powstającej armii Izraela. Podczas izraelsko-arabskiej wojny, która wybuchła zaraz po proklamacji państwa Izrael, Czechosłowacja dostarczyła sprzęt, bez którego kraj ten zapewne by nie przetrwał (tak uważał ówczesny premier Dawid Ben Gurion).

Zanim został prezydentem, Masaryk senior zaangażował się w proces Leopolda Hilsnera, porównywany czasem do francuskiej sprawy Dreyfusa. Jako filozof hołdujący rozumowi i wykładowca, narażając się dość antysemickim wtedy mediom, opinii publicznej i środowisku uczelnianemu w Pradze, na przełomie wieków XIX i XX stanął w obronie tego młodego Żyda, oskarżonego o rytualne zabójstwo 19-latki.

Masaryk apelował wtedy do społeczeństwa i wymiaru sprawiedliwości, by przesądy i uprzedzenia nie przesłaniały istoty sprawy. Hilsnera skazano nie na śmierć, lecz na dożywocie po tym, jak zarzut pozbawiono „wymiaru rytualnego". Sprawa kosztowała Masaryka dużo zdrowia i sporo trosk materialnych, gdy przez dwa lata nie mógł prowadzić zajęć na uczelni.

Zdaniem współczesnych ekspertów kryminalistyki Hilsner był niewinny. Według nich zbrodnia miała podtekst seksualny, a prawdziwego mordercy nigdy nie wykryto. W 2016 r. Telewizja Czeska wyprodukowała dwuczęściowy film fabularny opowiadający o „hilsneriadzie" – jak określa się wydarzenia wokół tej sprawy.

### Rysy na monolicie

Wracając do współczesności: w obecnej dyskusji wokół konfliktu bliskowschodniego zdecydowanie po stronie Palestyny opowiadają się tylko komuniści z pozaparlamentarnej już dziś Komunistycznej Partii Czech i Moraw. Poparcie dla Palestyńczyków ma więc złą prasę w Czechach. Mało kto otwarcie przyłączy się do głosu, który podziela formacja będąca niechlubnym reliktem totalitarnego reżimu.

Większość Czechów chce wierzyć, że stając po stronie Izraela, kultywują dziedzictwo wybitnych polityków i najlepszych przywódców w historii swojego państwa.

Nie oznacza to jednak, że takich propalestyńskich głosów, które byłyby odległe od głosu partii komunistycznej, nie ma. Od połowy października dochodzi do regularnych marszów w obronie praw Palestyńczyków. Organizatorzy krytykują rząd za to, że ich zdaniem zbyt bezkrytycznie podziela stanowisko Izraela, a rodzime media głównego nurtu za to, że mają papugować izraelski punkt widzenia.

Wprawdzie skala takich protestów znacznie odbiega np. od tych londyńskich, ale ich przesłanie jest podobne. Polemiki z izraelskim puntem widzenia w czeskich mediach zdarzają się już coraz częściej. Koniec końców, tworzy się przestrzeń do nowych dyskusji. ©

AMIR LEVY / GETTY IMAGES

*Plakaty ze zdjęciami dzieci przetrzymywanych w Strefie Gazy. Tel Awiw, 20 listopada 2023 r.*

# Mamy już dość bólu

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

**Skutki ataku Hamasu i codzienny ostrzał rakietowy dotykają w Izraelu wszystkich jego mieszkańców – i Żydów, i Arabów. Jak kolejna wojna zmienia to społeczeństwo?**

Plan dnia Esther, mieszkanki Jerozolimy, żydowskiej mamy czteromiesięcznej dziewczynki i żony powołanego na front w Gazie, wygląda dziś tak: wstać, nakarmić i przewinąć dziecko, potwierdzić planowaną operację nerek, zastanowić się, kto w tym czasie zaopiekuje się małą. W razie alarmu rakietowego: zabrać dziecko, w półtorej minuty dobiec do schronu. Stały punkt dnia to także krótki kontakt z mężem: upewnić się, że żyje.

Plan dla Narjis, palestyńskiej mieszkanki Hajfy, pielęgniarki i mamy trójki dzieci, to: przygotować się na rakiety Hezbollahu, zmobilizować sąsiadów, znaleźć pomieszczenia w okolicy, które mogą służyć za schrony, wyczyścić je. Na koniec przyjemnie się zdziwić, że do tej pracy zmobilizowali się i arabscy, i żydowscy sąsiedzi.

Instrukcja dla żołnierzy mających towarzyszyć uwalnianym izraelskim dzieciom-zakładnikom: przedstaw się, podkreśl, że dziecko jest bezpieczne. Zapytaj, czy nie jest mu zimno, czy nie chce pić. Nie dotykaj go ani nie przytulaj bez jego zgody. Na pytania „gdzie jest mama/tata?" nie odpowiadaj, nawet jeśli znasz odpowiedź.

### Poczucie osamotnienia

Kwestia uwolnienia ok. 240 zakładników porwanych przez Hamas to główny przedmiot dyskusji od pierwszego dnia tej wojny. Ich twarze patrzą z plakatów oblepiających ulice, a hasztag #BringThemHome jest wszędzie, nawet na opakowaniu popularnego serka. To już nie czyjeś dzieci lub rodzice, oni są jak członkowie rodziny. Lęk o nich dokłada cegiełkę do syndromu ocalałego i innych posttraumatycznych zaburzeń, których w Izraelu diagnozuje się teraz mnóstwo, a antydepresanty i tabletki antylękowe łyka spora część społeczności. Porwani są też motywacją dla tych, którzy wysłali bliskich na front, a sami angażują się w liczne wolontariaty na rzecz żołnierzy i rodzin przesiedlonych z zagrożonego południa oraz z północy.

Gdy piszę ten tekst, trwa oczekiwanie: Izrael i Hamas – przy pośrednictwie USA i Kataru – ogłosiły uwolnienie 50 zakładników, kobiet i dzieci, w zamian za wypuszczenie 150 palestyńskich więźniów i czterodniowy rozejm.

Choć wielu zakładników ma podwójne obywatelstwo – izraelskie i krajów z całego świata, także Polski, i zdawałoby się, że ich uwolnienie leży w interesie wielu państw – to sympatia światowej opinii jest dziś niewątpliwie z Palestyńczykami. Tragiczna sytuacja humanitarna i wielka liczba zabitych w Gazie (według Palestyńczyków ponad 14 tys. osób), w połączeniu z obrazami z Gazy, budzą na świecie krytykę co do skali izraelskiego odwetu.

Izraelczycy tych reakcji nie rozumieją. Są przekonani o słuszności walki, którą toczą w obronie własnej. Izrael ma w niej dwa cele: odbicie zakładników i zniszczenie Hamasu. Izraelczycy mówią: przecież gazańscy cywile nie są celem, oni giną, bo to Hamas używa ich jak żywych tarcz. Dlatego debaty ulic Zachodu nie rozumieją. Pytają, czemu światowa opinia odmawia im prawa do obrony i żałoby po swoich zmarłych, dlaczego domaga się większej wrażliwości na potrzeby cywilów wroga, choć sam Hamas się z nimi nie liczy.

### Zwrot na prawo

Muli Segev jest scenarzystą najpopularniejszego izraelskiego programu satyrycznego „Erec Nehederet". Wrócił na antenę telewizji krótko po wybuchu wojny z przesłaniem postawienia ludzi na nogi. Segev nie ukrywa swoich liberalnych poglądów, jednak w skeczach bezlitośnie krytykuje komentarze z Zachodu. „Ta wojna to nie jest zabawa. Walczymy tu o nasze życie, i bylibyśmy wdzięczni, gdybyście to uszanowali" – apeluje do kolegów z zagranicznych mediów.

Badania opinii prowadzone w Izraelu po wybuchu wojny, a także analiza tekstów na łamach prasy i w mediach społecznościowych, nie pozostawiają złudzeń: Izraelczycy, którzy dotąd reprezentowali lewicowy światopogląd, zaczynają kierować się ku centrum i na prawo.

Isabel Kershner jest izraelską pisarką i dziennikarką „New York Timesa", autorką świeżo wydanej książki „Ziemia nadziei i strachu: izraelska walka o własną duszę", w której pisze o podziałach społecznych w kraju. W rozmowie z „Tygodnikiem" mówi: – Od 7 października obserwujemy zjednoczenie kraju, a już

na pewno żydowskiej większości, co do walki w tej wojnie. Cywile zgłosili się na ochotników, zobaczyliśmy też ogromny odzew rezerwistów powołanych do służby. I to po tym, jak latem, podczas protestów przeciw reformie sądownictwa, rezerwiści ostrzegali, że zrezygnują z walki, jeśli rząd będzie ją kontynuował.

### Rozliczyć rząd

Jednak konsensus dotyczy tego, co wydarzyło się 7 października i jego skutków, w tym zwłaszcza prowadzenia wojny. Wszystkie podziały, które istniały w społeczeństwie wcześniej, po wojnie prawdopodobnie wrócą.

Równocześnie zaufanie do rządu premiera Netanjahu gwałtownie spadło i w tej chwili jest znikome. We wszystkich sondażach widać za to, że zaufanie społeczne do armii jest ogromne. Nie ma wątpliwości, że ten rząd po zakończeniu wojny zapłaci polityczną cenę. Netanjahu, który przed 7 października wygenerował wielkie społeczne podziały, jest teraz obarczany odpowiedzialnością za brak przygotowania i niepowodzenie wywiadu i rządu, które w kluczowym momencie nie patrzyły we właściwym kierunku.

Zobaczymy też pewnie grę w obwinianie. – Już słyszymy aluzje rządu i jego zwolenników, którzy obwiniają liberałów i protestujących przeciw reformie sądownictwa, że mieli uczynić kraj słabym w oczach wroga i sprowadzić katastrofę na Izrael – mówi Kershner.

### Współobywatele

Wśród ofiar z 7 października było ponad 20 Beduinów; kilka osób z tej społeczności zostało porwanych do Gazy.

Ciekawym wątkiem w przemianach po wybuchu wojny jest reakcja społeczności palestyńskiej w Izraelu. Wbrew obawom i ku zaskoczeniu żydowskiej większości ci Arabowie nie dołączyli do wojny przeciw Izraelowi. Choć w 2021 r., podczas tamtej eskalacji w Gazie, brali udział w zamieszkach na ulicach izraelskich miast. Zaskakujące dane publikuje Israel Democracy Institute: kilka miesięcy temu identyfikacja izraelskich Arabów z państwem Izrael wynosiła 48 proc., a w listopadzie 70 proc.

Nasreen Hadad Haj-Yahya, izraelska Arabka, badaczka społeczności arabskiej i aktywistka, mieszkanka Taybeh: – 7 października sprawił nam, Izraelczykom, ogromny ból. Wszystkim: i Żydom, i Palestyńczykom. Obrazy masakry, liczby zamordowanych, historie uprowadzonych: nie ma chyba osoby, której by to nie zszokowało i nie zraniło. Bo społeczeństwo arabskie jest integralną częścią tego, co dzieje się w Izraelu. To m.in. lekarze i zespoły medyczne, które leczą rannych, a od 7 października dają z siebie wszystko. Trzeba podkreślić tę skalę włączenia się w zbiorową troskę, skalę odpowiedzialności naszej społeczności. Tego, jak bardzo zrozumiała skalę październikowych wydarzeń.

### Pod wojskowym reżimem

– Większość z nas ma rodziny w Gazie – dodaje Nasreen. – Obserwujemy z bólem, co się tam dzieje. Jesteśmy między młotem a kowadłem: z jednej strony jesteśmy obywatelami narodu palestyńskiego, a z drugiej osobiście ucierpieliśmy 7 października.

Jak wyglądają dziś relacje między Żydami a Arabami w Izraelu? Nasreen: – Tamten dzień, 7 października, napełnił nas wielkim strachem: tu, w Izraelu, Żydzi i Arabowie bali się siebie nawzajem. Nie brakuje ostrych wypowiedzi polityków. Pojawia się wiele oświadczeń, policja wszczyna postępowania wobec młodych Arabów, którzy w sieci wyrażają swoje zdanie i sympatyzują z tym, co się dzieje w Gazie. Palestyńczycy boją się chodzić do pracy do miejsc, w których spotykają się ze społecznością żydowską.

– Żydowska opinia publiczna w Izraelu ma mniejsze zapotrzebowanie na relacje mediów międzynarodowych czy arabskich. Rozumiem więc, że trudne obrazy z Gazy mogą do niej docierać w mniejszym stopniu – uważa Nasreen. – W związku z przyjętymi obostrzeniami nie wolno nawet wyrazić w mediach społecznościowych współczucia z powodu bólu nawet tym niewinnym ludziom, którzy sprzeciwiają się Hamasowi. Czujemy się, jakbyśmy byli pod wojskowym reżimem. Nie ma tu wolności słowa w tej sprawie.

### Co potem?

Rozmowy pokazują rozbieżności w ocenie przyszłości.

Isabel Kershner: – Perspektywa procesu pokojowego bardzo się odsunęła. Kraj jest w stanie wojny, Gaza jest niszczona, Autonomia Palestyńska w defensywie. Po obu stronach jest mnóstwo gniewu i śmierci. Jedziemy na tym samym wózku: w wojnie z Hamasem walczą ludzie ze wszystkich środowisk politycznych. Ludność kibuców wzdłuż granicy z Gazą, najbardziej dotknięta atakiem 7 października, to byli w dużej mierze lewicowcy, zwolennicy pokoju, współistnienia, niektórzy mieli dobre relacje z ludnością w Gazie. Teraz czują się zdradzeni, podejrzewają, że niektórzy palestyńscy robotnicy wykorzystali dostęp do kibuców i pomogli przy planowaniu ataku. Nie sądzę, by teraz ktokolwiek tu uważał, że nadszedł czas na poważny proces pokojowy.

Nasreen Hadad Haj-Yahya: – W Izraelu, nie tylko w społeczeństwie arabskim, istnieje zrozumienie, że to, co było, nie jest już tym, co będzie. Światopoglądowo coraz więcej ludzi przesuwa się na prawo z powodu wojny i świadomości, do czego ona prowadzi. Ale też opadły maski: pojawia się zrozumienie, że nie da się dalej zarządzać konfliktem. Trzeba dojść do porozumienia. Dlatego uważam, że pojawia się tu szansa.

– Tak było z Egiptem – dodaje Nasreen. – Koniec wojny Jom Kippur w 1973 r. doprowadził do pokoju z Egiptem. To samo mogłoby się stać teraz. Po całym tym bólu, krwi i łzach może zjawić się szansa na porozumienie, które odda sprawiedliwość palestyńskiemu narodowi.

Czy Izraelczycy będą na to gotowi? Nasreen: – Jeśli po stronie izraelskiej znajdzie się inny przywódca, któremu będzie zależeć na długoterminowym rozwiązaniu, jest to realne.

### Już dość

Pytam, jak się czują.

Isabele: – Staram się być profesjonalna, ale nie mogę powstrzymać smutku. Ciąży mi świadomość, że wyleczenie ludzi po obu stronach z traumy zajmie mnóstwo czasu.

Nasreen: – Mimo strachu, bólu i niepewności czuję nadzieję na zmianę porządku naszego świata. Nie wiemy, kiedy skończy się wojna, jakie będą jej skutki, boimy się „dnia po". Ale jest też szansa, że po tym bólu obu narodom mogą się przydarzyć rzeczy historyczne. Dla naszych dzieci. Bo mamy dość wojen i cmentarzy. Mamy już dość bólu. ©

# Argentyna na nowo

DOMA MATEJKO

**Prawicowo-ultraliberalny prezydent elekt Javier Milei obiecuje, że uratuje podupadłą argentyńską gospodarkę i zrewolucjonizuje politykę.**

Mężczyzna wymachuje piłą mechaniczną wśród skandującego tłumu. Jego skórzana kurtka, rozwichrzone włosy i zaniedbane bokobrody mogłyby sugerować, że jest gwiazdą rocka. Tymczasem to 53-letni Javier Milei, teraz już przyszły prezydent Argentyny.

Milei, założyciel skrajnie konserwatywnej koalicji La Libertad Avanza, opowiada się za liberalnymi rozwiązaniami w gospodarce. O sobie mówi, że jest ultraliberałem i anarchokapitalistą. Zagłosowało na niego 55,7 proc. spośród tych Argentyńczyków, którzy wzięli udział w drugiej turze wyborów prezydenckich w niedzielę 19 listopada (frekwencja wyniosła 73 proc.).

Jego rywalem był Sergio Massa, obecnie jeszcze minister ekonomii z koalicji Unión por la Patria, reprezentującej lewicujący ruch polityczny zwany peronizmem (w argentyńskiej polityce obecny od lat 40. XX w.).

**DWIE SKRAJNE WIZJE** | Na różnicę prawie dziesięciu punktów procentowych między oboma kandydatami nie wskazywały ani sondaże przedwyborcze, które w Argentynie sprawdzają się zresztą rzadko, ani – co pewnie ważniejsze – wyniki pierwszej tury. Wtedy, miesiąc wcześniej, to Sergio Massa był na pierwszym miejscu (dostał prawie 37 proc. głosów), a Milei na drugim z poparciem 30 proc. Jednak Patricia Bullrich z centroprawicowej partii Juntos por el Cambio, która zdobyła prawie 24 proc., zaraz po swojej przegranej wyraziła poparcie dla Mileia, co zapewne wpłynęło na ostateczny wynik wyborów.

Dlaczego Milei? Sytuacja ekonomiczna i społeczna Argentyny jest dziś fatalna, ale ciężko wskazać jedną przyczynę jego sukcesu. Wygrana ultraliberała i konserwatysty to wypadkowa wielu czynników, w tym ogromnych napięć społecznych i ciągnącego się przez lata kryzysu ekonomicznego.

Wizje przyszłości kraju proponowane przez Sergia Massę i Javiera Mileia były na tyle odmienne, że można było mówić o dwóch Argentynach. Minister ekonomii, przez niektórych nazywany superministrem, proponował stopniowe wprowadzanie zmian i reform. Natomiast Milei mówi obrazowo, że ma zamiar odciąć piłą mechaniczną cały „system" – i wymyślić Argentynę od nowa.

**LIKWIDOWAĆ I PRYWATYZOWAĆ** | Milei twierdzi, że ma wszystko, co potrzebne, aby uratować Argentynę, której zmieniająca się kondycja ekonomiczna ma od stu lat kształt sinusoidy. Konsekwentnie niemal co dekadę kraj ten znajduje się na granicy bankructwa, następnie ratuje się, stabilizuje, aby zaraz potem wpaść w kolejny impas. Aktualnie jest w dołku: w tym roku inflacja osiągnęła już 140 proc. i nadal rośnie; aż 40 proc. społeczeństwa żyje w biedzie.

Milei twierdzi, że te oraz inne problemy Argentyny rozwiąże niewidzialna ręka wolnego rynku. „Zlikwiduję Bank Centralny, bo to on jest przyczyną inflacji" – mówił w czasie kampanii wyborczej. Nie wyjaśnił jednak, kto miałby przejąć rolę regulatora finansów i jak ma zamiar chronić wewnętrzny rynek w przypadku globalnej recesji gospodarczej. Co więcej, liczne dobrze prosperujące gospodarki posiadają Bank Centralny, a grono państw, które obywają się bez tej najwyższej instytucji finansowej, jest małe i obejmuje głównie kraje o znikomym znaczeniu na globalnym rynku, jak Kiribati, Palau czy Tuvalu.

Jednak nie tylko Bank Centralny jest na celowniku przyszłego prezydenta. Chce on zlikwidować także dziesięć z osiemnastu ministerstw, uzasadniając to m.in. potrzebą cięć wydatków publicznych.

Kolejnym pomysłem Mileia, który wzbudził szczególnie duże oburzenie wśród dwóch dużych grup zawodowych – nauczycieli i lekarzy – jest prywatyzacja służby zdrowia i edukacji.

**DOLAR ZA WSZELKĄ CENĘ** | Javier Milei nie przebiera w słowach. „Argentyńskie peso jest mniej warte niż ekskrement" – twierdzi i proponuje jak najszybsze zastąpienie zdewaluowanej rodzimej waluty dolarem amerykańskim.

Trudno się nie zgodzić, że pozytywnym i niemal natychmiastowym skutkiem dolaryzacji byłaby likwidacja inflacji. Problem jednak w tym, że Argentyna nie dysponuje wystarczającą ilością rezerw finansowych w dolarach, które pozwoliłyby na zastąpienie peso dolarem. Szacuje się, że gospodarka potrzebowałaby prawie 35 mld dolarów, by poważnie myśleć o takiej zmianie waluty.

Trudno oczekiwać, że państwa zamożne będą skłonne pożyczyć lub sprzedać dolary Argentynie, której dług publiczny wynosi równowartość 419 mld dolarów amerykańskich. Jednak Milei deklaruje, choć bez podania szczegółów ani dowodów, że zdobył potrzebną ilość zagranicznej waluty.

Jako jeden z argumentów za dolaryzacją podaje się przykład trzech państw Ameryki Łacińskiej – Panamy, Ekwadoru i Salwadoru – które przyjęły zagraniczną walutę. Tło społeczno-ekonomiczne, które towarzyszyło tam przejściu na dolara, było jednak zupełnie inne.

W odpowiedzi na coraz bardziej kontrowersyjne pomysły przyszłego prezydenta grupa 113 ekonomistów z całego świata napisała list, alarmując, że zmiany, jakie chce on wprowadzić, będą mieć katastrofalne skutki: „Uważamy, że propozycje zakorzenione w ekonomii leseferyzmu i obejmujące kontrowersyjne idee, takie jak dolaryzacja oraz znaczące ograniczenia wydatków rządowych, są obarczone ryzykiem, które czyni je potencjalnie bardzo szkodliwymi dla argentyńskiej gospodarki i narodu argentyńskiego".

Krytycy twierdzą, że rozwiązania proponowane przez Mileia będą mieć działanie krótkoterminowe i szybko dadzą się odczuć zwłaszcza najbiedniejszej części społeczeństwa.

TOMAS CUESTA / GETTY IMAGES

*Javier Milei podczas wiecu w San Martin. Argentyna, 25 września 2023 r.*

**ABORCJA, KOBIETY, BROŃ...** | List otwarty wystosowała też grupa tysiąca Argentynek – profesorek, aktywistek i pisarek, w tym Mariana Enríquez i Claudia Piñeiro. Krytykując plany Mileia i wzywając, by na niego nie głosować, pisały: „Jesteśmy przekonane, że odpowiedzi [na problemy Argentyny – DM] znajdziemy w ramach debaty i przy poszanowaniu demokratycznego współistnienia, bez wracania do mrocznych czasów, które pokonaliśmy".

Plany przyszłego prezydenta stoją w kontrze do tego, o co zabiegało przez ostatnie dekady wiele Argentynek. Milei zapowiada delegalizację aborcji (obecnie jest legalna bez ograniczeń do 14. tygodnia ciąży; tak stanowi ustawa uchwalona w 2020 r.) oraz likwidację Ministerstwa Kobiet, Płci i Różnorodności, które zajmuje się m.in. ochroną kobiet i walką z przemocą domową.

Według Krajowego Rejestru Zabójstw Kobiet (w języku hiszpańskim istnieje słowo *feminicidio*, oznaczające zabójstwa popełniane na kobietach) w 2022 r. w Argentynie zostały zamordowane 252 kobiety w konsekwencji m.in. przemocy domowej, która z kolei jest wynikiem nadal silnie obecnej kultury *macho*.

Do równie radykalnych pomysłów Mileia można zaliczyć powszechne pozwolenie na broń palną i legalną sprzedaż ludzkich organów.

**O DYKTATURZE I FRANCISZKU** | Oliwy do ognia w debacie nad propozycjami prezydenta elekta dolewa Victoria Villarruel, przyszła wiceprezydentka u jego boku. Jako adwokatka w przeszłości broniła byłych oficerów w trakcie procesów rozliczających zbrodnie popełniane przez dyktaturę wojskową, która rządziła Argentyną w latach 1976-83.

Villarruel wprowadziła do kampanii wyborczej nowy wątek, podważając dominującą w ostatnich dekadach krytyczną ocenę tej ultraprawicowej dyktatury. Tymczasem wojskowy reżim pochłonął życie ponad trzydziestu tysięcy ludzi, jego przeciwników. Tych Villarruel nazywa „terrorystami".

Ostre słowa padały również pod adresem papieża Franciszka, którego Milei wprost nazwał „głupkiem" i „wysłannikiem złego", jako że, jego zdaniem, papież ma popierać komunizm. Choć na ostatniej prostej, w czasie debaty poprzedzającej drugą turę, Milei złagodził tę wypowiedź, a także stwierdził, że jeżeli zostanie prezydentem, to zaprosi Franciszka do wizyty w ojczyźnie, słowa przeprosin nie padły.

**CHOĆBY W PRZEPAŚĆ** | – Większość z nas boi się, bo takie radykalne zmiany zawsze niosą ze sobą niespodziankę – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" 25-letnia Sol Quimey Medina, która w drugiej turze opowiedziała się za Javierem Mileiem. – Jednak zmiana zawsze oznacza nadzieję, a wybór Mileia pokazał, że młodzi są gotowi skoczyć choćby w przepaść, aby móc godnie żyć – tłumaczy swój wybór.

Trudno jednoznacznie wskazać grupę społeczną, która przesądziła o sukcesie Mileia. Głosowali na niego ludzie w każdym wieku, z każdej klasy społecznej – wszyscy ci, którzy są zmęczeni zarówno ciężką sytuacją ekonomiczną, jak też politykami, którzy od lat składają obietnice bez pokrycia.

Milei jest politykiem, ale nowym i bez doświadczenia – co okazało się atutem. Argentyńczycy znali go dotąd głównie z programów telewizyjnych, w których wypowiadał się jako ekspert od ekonomii, a także z mediów społecznościowych.

Fakt, że na scenie politycznej pojawił się niedawno, zagrał zatem na jego korzyść. Część Argentyńczyków uważa bowiem, że jedynym ratunkiem dla kraju jest odcięcie się od dawnej klasy politycznej.

– Dla wygranej Mileia decydujące było poparcie, którego przed drugą turą udzielili mu Patricia Bullrich i prezydent z lat 2015-19 Mauricio Macri – komentuje w rozmowie z „Tygodnikiem" Ariel Goldstein, socjolog z Universidad de Buenos Aires. – Dzięki temu część społeczeństwa zdecydowała się oddać głos przeciw starej klasie politycznej. Co nie oznacza automatycznie, że zgadzają się z poglądami Mileia.

**KOLEJNA FAZA** | Podczas tych wyborów, a zwłaszcza podczas ich drugiej tury, społeczeństwo argentyńskie podzieliło się na kilka frakcji. Są tacy, którzy wierzą, iż nowy prezydent to jedyny ratunek dla kraju. – Jestem szczęśliwa i mam nadzieję na pozytywną zmianę – mówi mi María del Huerto, która popiera nowego prezydenta.

Ale są też tacy, którzy, choć liczą na zmiany w kraju, to równocześnie mają nadzieję, iż Milei nie zrealizuje swoich najbardziej radykalnych propozycji. Utwierdza ich w tym fakt, że prezydent elekt nie ma większości w parlamencie.

Ariel Goldstein uważa, że najbliższy czas może być gorący, a wiele grup zawodowych, jak nauczyciele i lekarze, jest gotowych, by wyjść na ulice i protestować.

Bez względu na to, jakie będą pierwsze decyzje Javiera Mileia, pewne jest, że Argentyna właśnie wchodzi w kolejną fazę swojej niekończącej się sinusoidy. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

# Wykup prenumeratę i czytaj najlepszą literaturę w niskich cenach!

**Czytasz książki i uważasz, że najlepiej mieć własny egzemplarz na półce? Zgadzasz się, że 40% rabatu* u najlepszych wydawców to dobra oferta?**

Kupując prenumeratę papierową „Tygodnika", co miesiąc otrzymasz nowe kody rabatowe. Przez cały listopad wszystkie dostępne tytuły **Doroty Masłowskiej** i **Hanny Krall**, które ukazały się nakładem **Wydawnictwa Literackiego**, kupisz **40% taniej***.

## Co zyskujesz?

- Co miesiąc inne tytuły i nowi wydawcy
- Zawsze duże zniżki
- Tylko najlepsze książki
- Oferta dla nowych i obecnych prenumeratorów

**Zamów prenumeratę, podaj przy zamówieniu swój adres mailowy, a my co miesiąc wyślemy Ci unikalne kody promocyjne do wykorzystania przy zakupach w księgarni wydawcy.**

## Jesteś prenumeratorem?

**Napisz na prenumerata@TygodnikPowszechny.pl, aby otrzymać rabat.**

Oferta ważna dla każdego rodzaju prenumeraty papierowej, dostępna także w ofercie łączonej dla „Tygodnika" papierowego i cyfrowego.

### JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: **Tygodnik Powszechny**
  **ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków**
  Nr konta Bank Pekao SA
  **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

## Potrzebujesz pomocy? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela **Agnieszka Dyrcz** w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty cyfrowej pomocy udziela **Mateusz Chmielowski** w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. **660 692 099** lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty na powszech.net/regulamin

* rabat udzielany jest od ceny okładkowej

### WYBIERZ SWOJĄ PRENUMERATĘ

| RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ | OKRES | CENA | |
|---|---|---|---|
| | | Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ | Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ |
| 12 wydań | 3 miesiące | 160 zł | 200 zł |
| 52 wydania | rok | 550 zł | 680 zł |
| 52 wydania w ofercie POKOLENIA* | rok | 480 zł | |
| 4 Wydania Specjalne (kwartalniki) | rok | 100 zł | |
| 52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne | rok | 640 zł | 770 zł |
| 52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA* | rok | 570 zł | |

POKOLENIA* – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

**Pełna oferta, w tym krótsze okresy oferty łączonej, na TygodnikPowszechny.pl/sklep**

PARTNEREM PRENUMERATY JEST WYDAWNICTWO LITERACKIE

70 WL Jubileusz Wydawnictwa Literackiego

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

JACEK

# Podsiadło:
## *Po wyborach*

W ogóle nie mam kłopotów ze zrozumieniem wyrażenia „dobrowolny ZUS". Przed wyborami zwróciło ono moją uwagę jako jedno z niewielu sensownie brzmiących w ogólnym krzykactwie. Dobrowolny ZUS jest właściwie zapisany w konstytucji, kiedy „gwarantuje" ona wolność prowadzenia działalności gospodarczej. Wolność ta, gdybyście nie rozumieli, oznacza, że pasjonatowi kartofli wolno sadzić kartofle, doglądać ich, a potem wykopać i sprzedać. Poecie zaś wolno wydrukować i sprzedawać swoje wierszydła, jeśli go najdzie ochota. O tym właśnie mówi konstytucja.

O czym konstytucja milczy? O tym, że kiedy poeta „założy jednoosobową działalność gospodarczą" tylko dlatego, żeby nie wydawać wierszy nielegalnie, i cieszył się będzie, że co miesiąc dorabia sobie tysiąc złotych sprzedawaniem wierszyków, co miesiąc ten właśnie tysiąc musiał oddawać na ZUS, z którego to ubezpieczenia i tak nie skorzysta, jak zachoruje, bo przecież lekarz się nie rozerwie i niech pan sobie idzie do prywatnego, jak się panu w kolejce nie podoba. Czy to nie dlatego niczego o mnie nie ma w konstytucji?

Choć nieuczestniczenie w wyborach jest moim nałogiem, transmisję tzw. debaty przedwyborczej oglądałem, bo wyścigami kulawych pasjonuję się od czasów wojny na górce. Wy tego nie pamiętacie, ale na ostatniej prostej, kiedy już wszyscy mieli z górki, Mazowieckiego i zdrowego na obie nogi, ale mającego je krótkie Cimoszewicza wyprzedził najkulawszy ze wszystkich Stan Tymiński. Jak zaczął doganiać Wałęsę, to go zdyskwalifikowano, bo kulawy. Trzeba było w tym celu pokazać w telewizji reportaż o tym, że Tymiński bije żonę i głodzi dzieci, minister Krzysztof Kozłowski musiał odkryć jego związki z libijskim terroryzmem i kolumbijskim narkotyzmem, a psycholog-pedofil Samson musiał na łamach „Wyborczej" odkryć chorobę psychiczną krótkodystansowca. „Po wyborach informacje te okazały się nieprawdziwe" – wspomina z wdziękiem „Wyborcza" przy okazji obecnych wyborów, w których Tymiński znów wystartował, w Zabrzu.

No i teraz w trakcie tej debaty wstrząsnął mną już drugi w ostatnich miesiącach sensowny postulat. Szymon Hołownia zapowiadał „szkołę bez prac domowych", a ja znów w ogóle nie miałem kłopotów ze zrozumieniem jego wypowiedzi. Szkoła bez prac domowych to jest taka szkoła, w której nie zadaje się prac domowych, każdy wam to powie, począwszy od prof. Bralczyka, skończywszy na niemowie. Likwidację prac domowych zapowiadał też program KO i Donald Tusk osobiście.

Ale wybory, kiedy się okażą wyborami przez nas wygranymi, zmieniają wszystko, cały świat. Zmieniają również język, który po wyborach zaczyna znaczyć coś zupełnie innego niż przed.

W kwestii ZUS-u kto żyw, wziął się do wyjaśniania, że dobrowolny ZUS w żadnym razie nie może oznaczać dobrowolnego ZUS-u. W każdej chwili mogę sobie sprawdzić, że przecież w programach wyborczych Siedemnastej Drogi i Polski 2500+ wyraźnie jest mowa tylko o „wakacjach", tylko dla przedsiębiorczych mikrusów w kłopotach finansowych, a o dobrowolnym ZUS-ie ani mru-mru. Tzn. w programie PSL-u była rzeczywiście mowa o tym dobrowolnym ZUS-ie, ale przecież tuż przed wyborami program skorygowano, wyjaśniając specjalnie takim jak ja: „wprowadzimy Dobrowolny ZUS dla Przedsiębiorców. Samozatrudniony będzie mógł zdecydować, czy w trakcie problemów finansowych w prowadzonej działalności chce opłacać ZUS, czy z tego rezygnuje na pewien czas". Powinienem się zatem cieszyć, że „rozwiązania przyjęte przez obecną opozycję to kompromis", jak pisze Leszek Kostrzewski, który cytuje też polityka PSL nazwiskiem Jedenzczłonków: „Gdyby wprowadzić dobrowolny ZUS, ludzie zostaliby bez emerytur".

Co ciekawe, „szkoła bez prac domowych" zmieniła swoje znaczenie nie od razu po wyborach, ale zajęło jej trochę czasu. Być może był to czas wymyślania wystarczająco powalających metafor. 12 dni po wyborach Katarzyna Stefańska w „Wyborczej" wizję takiej szkoły nazywała elektryzującą. Cytowała badania i petycje rodzicielskie, z których wynikało, że prac domowych nikt nie chce. Z pytanych przez nią trzech nauczycielek, jednej uczennicy, jednego założyciela fundacji i jednego rodzica wszyscy również byli przeciw pracom domowym. Kiedy się okazało, że w umowie koalicyjnej nic z tego pomysłu nie zostało, w głos uczniów i nauczycieli wsłuchała się ponownie na łamach tej samej „Wyborczej" Karolina Słowik. Tym razem „wyraźnie słychać było, że praktycy odetchnęli z ulgą", i że „o likwidacji prac domowych nauczyciele i nauczycielki raczej słyszeć nie chcieli"! Gdzie się tymczasem podziali teoretycy, tego autorka nie podaje. Ale to u niej właśnie znajdujemy takie metafory, że nie masz małpy, której nie wytrąciłyby one brzytwy z ręki. „Nie gasi się pożarów, wycinając wszystkie lasy" – błyska nauczyciel Jacek Staniszewski, ślepy na to, że nikt nie chciał wycinać lasów rosnących w lesie, tylko posadzone w naszych domach. Marcin Zaród, nosiciel tytułu „Nauczyciela roku 2013" z grupy „Superbelfrzy RP", mówi: „Dorzucano na ten edukacyjny okręt coraz cięższe pojedyncze elementy. (...) Woda zaczęła przelewać się przez burty. Pierwszą reakcją naturalnie jest pomysł, żeby coś za tę burtę wyrzucić. Niekoniecznie jednak powinniśmy wyrzucać żagiel".

Jeśli z żaglem, to nie okręt, ale statek. Wiem nawet jaki: statek niewolników. Niekoniecznie powinniśmy coś wyrzucać. Pierwszą reakcją jest ratować niewolników. Superbelfrzy do pomp! Cała wstecz!

Kompromis i kompromitacja to językowe bliźniaki. Pochodzą w prostej linii od łacińskiego „promissum" – zdradzoną przez nie matką jest obietnica. ©

HISTORIA

# ANTYPOLSKA AKCJA WE WSI BARYSZ

To ostatni moment, by efekt pracy badawczej historyka mogli wziąć do ręki ludzie, którzy w latach 1944-45 byli dziećmi – i ocaleli z rzezi dokonanej w Galicji Wschodniej.

ANNA WYLEGAŁA

Będzie to tekst o książce jednocześnie ważnej, odważnej, uczciwej, trudnej i nieco rozczarowującej. Ważnej i potrzebnej, gdyż mordy na Polakach dokonane w Galicji Wschodniej właściwie nie funkcjonują w polskiej wyobraźni społecznej. Mówimy „rzeź wołyńska" i w domyśle zawiera ona również to, co działo się w Galicji. Tymczasem działo się równie krwawo, choć z inną chronologią i jednak trochę inaczej.

## Dynamika ludobójstwa

W książce „W cieniu Wołynia. »Antypolska akcja« OUN i UPA w Galicji Wschodniej 1943-1945" Damian K. Markowski odtwarza mechanizmy i chronologię galicyjskiego ludobójstwa. Odnotowuje też jego zmieniającą się dynamikę.

Zanim antypolska akcja (najpierw rękami milicji OUN, potem Ukraińskiej Samoobrony Ludowej, dopiero potem UPA) nabierze w Galicji charakteru masowego, giną elity: księża, nauczyciele. Ma to charakter pokazowy i zastraszający, by osłabić morale Polaków i skłonić ich do ucieczki. Wydarzenia przybierają na sile latem 1943 r.: dochodzi do pierwszych masowych mordów. Pod koniec tego roku OUN podejmuje decyzję o planowej akcji wymierzonej w całą ludność polską. Likwidacji ma ulec „polski aktyw", następnie wystosowane mają być wezwania do opuszczenia terenu, a przy

ANNA WYLEGAŁA

*Cmentarz w miejscowości Barysz, Ukraina. Czerwiec 2019 r.*

braku reakcji zabici mają zostać wszyscy mężczyźni.

Jednak od początku powszechne są odstępstwa od tej zasady. Markowski cytuje rozkaz dowódcy UPA z powiatu Czortków, który w lutym 1944 r. pisze: „nie wolno zabijać kobiet i dzieci. Nie wolno też kaleczyć – ucinać rąk, nóg, nosów itp.”. Jak stwierdza, „sam fakt wymieniania podobnych wydarzeń świadczy przecież, że do nich dochodziło”.

### Trzydzieści jeden tysięcy

W 1944 r. mordy w Galicji przybierają charakter wołyński: całe wsie są otaczane i mordowane brutalnie (ludzie giną okaleczani) przez ukraińskie oddziały. Jeśli są ocaleni, to tylko dlatego, że się twardo bronią (jak we wsi Hanaczów). Apogeum mordów przypada w 1944 r. na katolicki Wielki Tydzień, gdy dochodzi do co najmniej 175 napadów i ginie co najmniej 2 tys. osób. W końcowym okresie niemieckiej okupacji napady słabną.

W miarę rozprzestrzeniania się informacji o mordach przybierają też na sile ucieczki ludności polskiej: w ciągu pierwszych sześciu miesięcy 1944 r. tereny Dystryktu Galicja opusza ok. 300 tys. Polaków.

Ostatnia fala antypolskiej akcji następuje w Galicji po wejściu Sowietów w połowie 1944 r. Zdziesiątkowana ludność polska, wskutek poboru do Armii Czerwonej pozbawiona większości mężczyzn, znów jest celem ataków UPA. Jednym z takich miejsc jest Barysz w powiecie Buczacz: 6 lutego 1945 r. sotnia Petra Chamczuka „Bystrego” napada na wieś, w której są głównie kobiety, dzieci i starcy, i przystępuje do metodycznej rzezi. Ginie ok. 130 osób. Atak na Barysz, do 1945 r. jedno z polskich skupisk na Podolu, to część kampanii Chamczuka, który sieje strach i śmierć w kolejnych polskich wsiach.

Brutalny charakter takich napadów sprawia, że Polacy masowo rejestrują się na wyjazd na Zachód. To, czego z braku czasu i środków nie udaje się osiągnąć ukraińskim nacjonalistom przemocą, dzieje się teraz rękami Sowietów. Galicja zostaje „oczyszczona” z milionowej społeczności polskiej, będącej częścią tego terenu od stuleci.

Według wyliczeń Markowskiego śmiertelnymi ofiarami tej czystki pada ponad 31 tys. Polaków, w tym 8 tys. kobiet i dzieci. Z tej liczby z nazwiska znane są 15 263 ofiary.

### Polski odwet...

Podkreślając proporcje i fakt, że to Polacy byli w Galicji głównymi ofiarami, Markowski opisuje również polskie akcje odwetowe, przyznając, że bywały równie brutalne. Wskazuje też, że ofiary polskiego odwetu były często przypadkowe, a całość tych akcji nie zahamowała ukraińskiej czystki i zasadniczo była działaniem chybionym (w odróżnieniu od formowania lokalnych oddziałów samoobrony). Duże znaczenie miał też odwet oddolny, dokonywany spontanicznie, poza strukturami, głównie przez osoby, które straciły bliskich.

Osobny aspekt polskiego odwetu to działalność tzw. istrebitelnych batalionów (IB, batalionów niszczycielskich), czyli formacji policyjno-porządkowych tworzonych przez władze sowieckie na ponownie okupowanych terenach od połowy 1944 r. Polacy stanowili ponad połowę członków tych formacji i zdarzało się, że w ich szeregach dokonywali zemsty.

Markowski liczy ukraińskie ofiary tak skrupulatnie jak polskie. Ma to wagę moralną – i jest też głosem w dyskusji z tymi ukraińskimi historykami, którzy chcą interpretować te wydarzenia jako wojnę ↦

polsko-ukraińską, twierdząc, że miała tu miejsce symetria krzywd. Tymczasem np. w pierwszej połowie 1944 r. w Galicji Wschodniej śmierć z polskich rąk poniosło ok. 500 Ukraińców, podczas gdy z rąk ukraińskich zginęło 14 tys. Polaków.

Bilans ukraińskich ofiar polskich akcji odwetowych w Galicji Wschodniej to ok. 3 tys. osób, wliczając zabitych po 1945 r. przez polskie podziemie i polskie władze komunistyczne na obszarze, który wszedł w skład powojennej Polski. To ważne ustalenie w kontekście padających dotąd szacunków, mówiących nawet o 8 tys. ukraińskich ofiar na tym terenie.

### ...i polska bezczynność

„W cieniu Wołynia" przynosi bardzo krytyczny osąd Polskiego Państwa Podziemnego, zarówno w zakresie decyzji centrali, jak i działań lokalnych. Markowski pisze o alarmujących doniesieniach, które docierają z terenu do Warszawy i pozostają bez echa, bo centrala uważa, że angażowanie sił na galicyjskich peryferiach jest niedopuszczalne: mogłoby przedwcześnie wywołać ogólnonarodowe powstanie przeciw Niemcom.

Polacy w Galicji muszą więc radzić sobie sami. Lokalne działania AK bywają z kolei tyleż absurdalne i desperackie, co nieskuteczne. Np. w 1944 r. komendant Okręgu Tarnopol AK zalecał swoim żołnierzom kolportaż ulotek zachęcających Polaków do samoobrony i zdobywanie broni na Niemcach.

W efekcie polskie podziemie nie tylko nie było w stanie zapewnić bezpieczeństwa polskiej ludności, lecz samo padało ofiarą ukraińskich nacjonalistów, skutecznie rozpracowywane i niszczone, aby potem, ostatecznie już, ulec wkraczającym Sowietom.

### Ostatni moment

Pisanie książki o ludobójstwie wymaga stanięcia twarzą w twarz ze złem, ciągłego kontaktu z cierpieniem i śmiercią. W tym przypadku nie czyni sprawy łatwiejszą współczesny kontekst – fakt, że dziś Ukraińcy, choć na inną skalę, padają ofiarami działań o charakterze ludobójczym, których sprawcami są Rosjanie. Część badaczy i publicystów zabierających od lat głos w polsko-ukraińskiej debacie o XX-wiecznej historii (głównie z Ukrainy, ale też z Polski) uważa, że w takiej sytuacji badania dotyczące ukraińskiego sprawstwa, nawet tego sprzed wielu lat, powinny poczekać, gdyż mogą zostać wykorzystane przez propagandę Rosji.

Markowski uznaje, że nie jest to dobra droga, a ja się z nim zgadzam. Wojna na Ukrainie trwa od 2014 r. i może trwać jeszcze długo. Ukraińskie społeczeństwo samo musi zdecydować, na ile wzięcie odpowiedzialności za zbrodnie z przeszłości jest w stanie osłabić morale i tożsamość, a na ile je wzmocnić (wszak uznanie, że nasi przodkowie czynili zło, świadczy w gruncie rzeczy o naszej sile). Natomiast polscy badacze nie powinni czekać na zakończenie wojny z badaniem tej części historii, w której Ukraińcy występują jako sprawcy, gdyż – prócz lojalności wobec napadniętego dziś sąsiada – związani są też zawodową etyką i odpowiedzialnością wobec ofiar, które zasługują na udokumentowanie ich losu.

Szczególnie istotne jest to wówczas, gdy to ostatni moment, by efekt pracy badawczej w postaci np. książki mogli wziąć do ręki ludzie, którzy byli wówczas dziećmi i ocaleli.

### Redefinicja dyskusji

Markowski zdaje sobie sprawę, jakie reakcje może wywołać jego książka, bo zaczyna ją i kończy jakby klamrą. W pierwszym zdaniu wstępu pisze o powrocie historii do Europy i zbrodniczej agresji Rosji na Ukrainę, o bohaterstwie ukraińskiego żołnierza. W ostatnim zaś zdaniu wstępu zastrzega, że książka ma służyć lepszemu zrozumieniu, co się wtedy stało, i pokazaniu, „jak potężnym i niszczącym narzędziem wojny może okazać się nacjonalizm" (w wydaniu ukraińskim, polskim, rosyjskim). W zakończeniu z kolei powtarza słowa o Ukrainie „w godny podziwu sposób zmagającej się ze zbrodniczą rosyjską napaścią". Te zdania, choć mogą brzmieć nieco sztucznie, były w tej książce bardzo potrzebne.

Nazywając masową przemoc wobec Polaków w Galicji Wschodniej ludobójstwem, Markowski uzasadnia to zapisami prawa międzynarodowego. Polacy mieli w Galicji zostać albo fizycznie zniszczeni, albo zmuszeni do ucieczki. Ich elity miały zginąć w całości. Ich majątek miał zostać przejęty, a dziedzictwo materialne starte z powierzchni ziemi tak, by nigdy nikomu nie przyszło do głowy wrócić. Ukraińscy nacjonaliści zaplanowali ludobójstwo ponad miliona osób. To, że im się ono w pełni nie udało, wynikało tylko z braku możliwości.

Takie definiowanie galicyjskiej rzezi zarezerwowane było dotąd głównie dla środowisk kresowych, z lekką pogardą określanych przez liberalną inteligencję jako nacjonalistyczne, prawicowe i nieodnajdujące się we współczesnym liberalnym dyskursie. Z kolei społeczna i polityczna polaryzacja rzeczywiście umożliwiała zawłaszczenie takiego sposobu mówienia o wydarzeniach w Galicji przez prawicowych polityków.

Warto, by książka Markowskiego stała się pretekstem do redefinicji tego pola. Pochylanie się nad polskimi ofiarami nie musi oznaczać wpisywania się w narrację narodowej martyrologii i wypierania się polskiego udziału w zbrodniach na innych narodach. Markowski nie pisze o polskich ofiarach po to, by zajęły one miejsce należne ofiarom żydowskim czy ukraińskim. Pisze o nich, bo na to zasługują.

### Czytasz i nie chcesz zapamiętać

Trudna to książka – do czytania, do przełknięcia, do przyswojenia dla czytelnika. Markowski nie epatuje makabrą, ale nawet te oszczędne opisy, które przytacza, na długo zostają u odbiorcy. Może dlatego, że są tak lakoniczne. „W nocy z 15 na 16 stycznia w Połowcach na Podolu uprowadzono 27 Polaków, w tym siostry zakonne. Napastnicy zabrali ze sobą do lasu wszystkich mieszkańców wioski, którzy nocowali w swoich domach. Wszyscy uprowadzeni zostali uduszeni. Ich nagie zwłoki odnaleziono przypadkowo podczas polowania, w którym uczestniczyli niemieccy urzędnicy i wojskowi. Najmłodsza z ofiar mordu miała trzy lata". Potem kolejna wzmianka, i kolejna, i jeszcze kolejna.

Najbardziej zapadają mi w pamięć opisy miejsc, gdzie w ostatnich latach byłam; tych masowych grobów, nad którymi wypadło mi stać. Autor nad żadną historią – poza może Hanaczowem – nie zatrzymuje się dłużej, ale ja mam przed oczami 130 ciał, które rankiem po masakrze w Baryszu leżą przed kościołem. Za chwilę wyrostki z tutejszego kołchozu za-

wiozą je na cmentarz tymi samymi wozami, którymi latem będą zwozić siano z pola.

### Głosy sprawców

Być może jeszcze trudniej niż opisy zbrodni czyta się licznie przytaczane głosy sprawców. Markowski dotarł do imponującej liczby dokumentów OUN i UPA, raportów i meldunków, a także wspomnień. O ile niektóre stosują eufemizmy (np. mord staje się „oczyszczeniem terenu z wrogich narodowi ukraińskiemu elementów"), o tyle inne są straszliwie bezpośrednie. Jak rozkaz dowództwa OUN z obwodu Kamionka Strumiłowa z wiosny 1944 r.: „Czystka terenu musi zostać przeprowadzona jeszcze przed naszymi Świętami Wielkanocnymi, abyśmy mogli je świętować już bez Polaków. (...) Nikogo nie szczędzić, nawet z mieszanych domów wyciągać lasznię i zabijać" („lasznia" to Polacy).

Inne dokumenty, zwłaszcza te powstające na przełomie 1944/45 r., świadomie manipulują informacją, np. przedstawiając masakry bezbronnej polskiej ludności jako równorzędną walkę oddziałów partyzanckich. Jeszcze inne, szczególnie spisywane po wojnie i na emigracji, porażają obojętnością. Wasyl Petryszyn „Łew" wspominał: „Mój pobyt w sotni »Orłów« był monotonny. (...) Stacjonowanie po wsiach, życie bez zmartwień, życie strzelców po wsiach, kilka małych akcji na Polaków i wesoło spędzone święta Wielkanocne [1944 r.]".

Eufemizmy używane przez ukraińskich nacjonalistów do złudzenia przypominają niemieckie meldunki o „przesiedlaniu" Żydów. Głosy sprawców niosą okrucieństwo, cynizm i obłudę. Co bolesne zwłaszcza w kontekście konstatacji Markowskiego, że ani po wojnie, ani po 1989 r. państwo polskie i społeczność międzynarodowa nie podjęły skutecznych prób ukarania żyjących sprawców ludobójstwa na Polakach.

### Tematy na kolejne książki

Praca Markowskiego z pewnością stanie się klasyczną pozycją. Wypada jednak dodać, że w pewnych polach zostawia niedosyt. Czego mi zabrakło, to bliższego spojrzenia na konkretnego człowieka. Oczywiście, podane są nazwiska setek ofiar, ale żadna nie zostaje dłużej w pamięci. Może to kwestia wielości przytoczonych historii (co samo w sobie trudno zarzucać). Ale w takiej masie ofiary giną, jeśli niektórych z nich się nie wyróżni, nie wejdzie głębiej w ich życie, nie tylko w śmierć. Historycy robią to coraz częściej, z dobrym skutkiem.

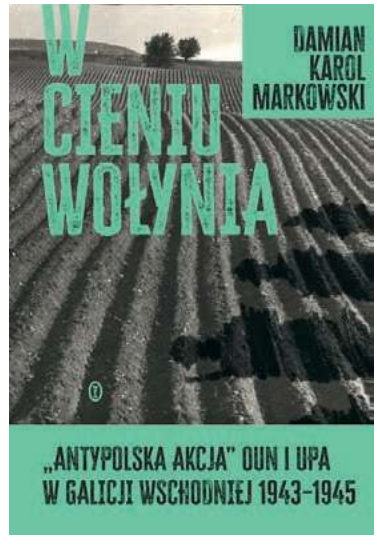


▪ *Damian K. Markowski*
**W CIENIU WOŁYNIA. „ANTYPOLSKA AKCJA" OUN I UPA W GALICJI WSCHODNIEJ 1943-1945**
*Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023 r.*

Inna kwestia to zbyt skromny rozdział, który podejmuje próbę problematyzacji opisanych wydarzeń. To próba ciekawa, ale z góry skazana na niepowodzenie, bo trudno, by na 40 stronach udało się podjąć temat postaw ukraińskich sąsiadów, przemocy seksualnej, powojennych rozliczeń (ich braku) i jeszcze szeroko rozumianej pamięci. Autor jedynie sygnalizuje te zjawiska, gdy każde z nich zasługiwałoby na osobną książkę.

Potencjał takiego niepodjętego rozwinięcia widać zwłaszcza przy kwestii udziału w mordach ukraińskich sąsiadów. Markowski jednoznacznie wykazuje, że ludobójstwo na Polakach było akcją zaplanowaną i prowadzoną przez OUN i UPA, ale wielokrotnie przytacza wzmianki o udziale w mordach Ukraińców z sąsiednich wiosek bądź wręcz sąsiadów. Jeszcze bardziej ewidentne jest to w przypadku grabieży polskiego mienia.

### Liczenie ofiar

Moje ostatnie uwagi mają charakter metodologiczny. Praca powstała na podstawie imponującego materiału z archiwów polskich i ukraińskich oraz wspomnień. Brakuje natomiast źródeł niemieckich (Markowski sięga do nich tylko pośrednio, cytując dokumenty publikowane w tomach zbiorowych). Tymczasem np. prace Jareda McBride'a, historyka z USA zajmującego się Wołyniem, pokazują, że Niemcy uważnie śledzili to, co działo się między Polakami a Ukraińcami, a ich perspektywa jest istotna dla zrozumienia dynamiki wydarzeń.

Kwestia druga: autor przyznaje, że część źródeł „kresowych" wymaga korekty, gdy idzie o liczbę ofiar, gdyż ją zawyża. Jednak sam często na nich bazuje. Np. krytycznie weryfikuje meldunek UPA podający, że ofiar było kilkanaście i byli to sami mężczyźni, stwierdzając, iż to nieprawda, bo Polaków zginęło więcej, w tym kobiety i dzieci. Z przypisu okazuje się, że autor powołuje się na jedno opracowanie z nurtu „kresowego". Domyślam się, że miał podstawy, by temu źródłu uwierzyć. Ale wiarygodność jego szacunków byłaby większa, gdyby w takich przypadkach odsłaniał swój warsztat metodologiczny. Transparentność byłaby tu atutem – i mogłaby też ukrócić ewentualną krytykę.

Bo liczenie ofiar – tych „naszych" i tych „z naszej ręki" – zawsze budzi emocje, jak pokazuje spór wokół tezy o dwustu tysiącach Żydów zabitych rzekomo przez Polaków. Transparentność metodologii i podejścia do źródeł pozwoliłaby w takich przypadkach sprowadzić dyskusję na merytoryczne tory.

▪▪▪

Wszystkie te uwagi nie zmieniają jednak konstatacji, iż książka ta jest w gruncie rzeczy pierwszą naukową próbą nadania osobnego statusu wydarzeniom galicyjskim. Tym, które w naszej zbiorowej wyobraźni istotnie pozostają w cieniu Wołynia.

© ANNA WYLEGAŁA

*Autorka jest socjolożką, pracuje w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Zajmuje się historią społeczną Polski i Ukrainy okresu II wojny światowej. W latach 2017-20 jej zespół nagrał ponad 150 wywiadów z najstarszymi mieszkańcami ukraińskiej Galicji. Obecnie koordynuje polską część projektu zbierania świadectw z wojny na Ukrainie.*

**W Sądzie Rejonowym dla m st. Warszawy w Warszawie,** I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt 1 Ns 235/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Jerzym Molskim, zmarłym w dniu 9 grudnia 2021 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywający w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

**Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim** Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 1101/21, na skutek wniosku Krystyny Orłowskiej, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Halinie Szapiel, zmarłej dnia 8 października 2020 roku w Drożdżówce, ostatnio stale zamieszkałej w Drożdżówce.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy (w szczególności Milena Dębek) w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

**W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie,** I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt 1 Ns 865/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Krystynie Nasucińskiej, córce Leonarda i Janiny z domu Szymańska, zmarłej w dniu 2 lutego 2022 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającej w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

**Przed Sądem Rejonowym w Jaśle** pod sygn. akt I Ns 36/23 z wniosku Józefy Wójcik toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Stefanii Lonc zmarłej 19.12.2022 r. w Jaśle, ostatnio przed śmiercią zamieszkałej w Jaśle, która pozostawiła po sobie testament. W skład spadku wchodzi spółdzielcze własnościowe prawo do lokalu mieszkalnego położonego w Jaśle przy ul Kopernika.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

**W Sądzie Rejonowym w Chełmie** I Wydziale Cywilnym w sprawie o sygnaturze akt I Ns 200/23 z wniosku Mieczysława Staniuka toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Kazimierzu Pawliczuku zmarłym w dniu 11 lutego 2023 roku w Chełmie, ostatnio zamieszkały we wsi Zalasocze, gmina Chełm.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, a w szczególności spadkobierców Jana Kazimierza Pawliczuka, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w toczącym się postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

**W Sądzie Rejonowym w Chełmie** I Wydziale Cywilnym toczy się postępowanie (sygn. akt I Ns 73/22) z wniosku Sabiny Dziurian o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia własności nieruchomości położonej w powiecie chełmskim, gmina Dorohusk, w miejscowości Wólka Okopska, oznaczonej jako działka nr 226, o pow. 0,17 ha, dla której nie ma urządzonej księgi wieczystej, znajdującej się w posiadaniu Sabiny Dziurian.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, a w szczególności spadkobierców Zajnwela/Zawela Finkiel (Fukiel), aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia własności nieruchomości.

**Postanowienem pod sygn. akt I Ns 324/23,** z dnia 28 sierpnia 2023 r. Sąd Rejonowy w Jarocinie, Wydział I Cywilny zezwolił Gminie Jarocin na złożenie do depozytu sądowego kwoty 24.987,50 zł należnej tytułem odszkodowania. Dłużnik złożył do depozytu powyższą kwotę. Uprawnionymi do odbioru przedmiotu depozytu są osoby, które wykażą się tytułem prawnym do wynoszącego ½ udziału w prawie własności nieruchomości oznaczonej geodezyjnie jako działka 102/3.

Sąd wzywa osoby uprawnione do odbioru depozytu, gdyż w przeciwnym razie stwierdzona zostanie likwidacja depozytu.

**Postanowieniem pod sygn. akt I Ns 349/23** z dnia 26 września 2023 r. Sąd Rejonowy w Jarocinie Wydział I Cywilny zezwolił Kindze Świderskiej i Andrzejowi Świderskiemu na złożenie do depozytu sądowego kwoty 20.000 zł. Kwota powyższa jest zabezpieczona hipotecznie wpisem w księdze wieczystej na rzecz nieistniejącego Banku Spółdzielczego w Blizanowie i została złożona do depozytu sądowego. Uprawnionym do odbioru powyższej kwoty są następcy prawni tego banku.

Sąd wzywa osoby uprawnione do odbioru depozytu, gdyż w przeciwnym razie stwierdzona zostanie likwidacja depozytu.

**Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie** Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 243/23 postępowanie z wniosku Niny Schubert o stwierdzenie nabycia spadku po Zdzisławie Kempińskiej, zmarłej 22.10.2020 r., ostatnio zamieszkałej w Witaszycach. W skład spadku po zmarłej wchodzi prawo własności lokalu mieszkalnego, położonego w Witaszycach.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

**W Sądzie Rejonowym dla Warszawy Pragi-Północ w Warszawie** pod sygnaturą VIII Ńs 455/22 toczy się postępowanie z wniosku Anity Stabrowskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Alfredzie Mariannie Pieczewskiej, zmarłej dnia 17 września 2022 roku w Warszawie, ostatnio stale zamieszkałej w Warszawie przy ul. Wyszogrodzkiej 14 m 41.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla Warszawy Pragi-Północ w Warszawie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzenie nabycia spadku.

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK SPECJALNY
„TP" 49/2023

# Sprawny staż

## *Nowe miejsca pracy dla osób z niepełnosprawnościami*

JACEK TARAN

**To inicjatywa dla przedsiębiorstw gotowych zaoferować płatne staże dla młodych osób ze specjalnymi potrzebami. Fundacja Integralia pomaga stworzyć środowisko przyjazne zarówno dla stażystów, jak i pracodawców.**

Pierwsze kroki na rynku pracy wiążą się zwykle z koniecznością pokonania trudności o bardzo różnorodnym charakterze – od konkurencji o etat aż do własnych ograniczeń i słabości. Te ostatnie są szczególnie zasadnicze dla osób z niepełnosprawnościami. To dla nich właśnie Fundacja Integralia, będąca częścią grupy Ergo Hestia, prowadzi program „Sprawny staż".

Projekt zrodził się z autentycznej potrzeby pomocy osobom z niepełnosprawnościami, które pomimo swoich ograniczeń są zdeterminowane, by odnaleźć atrakcyjne miejsce na rynku pracy. Beneficjentami programu zostać mogą studenci i absolwenci z całej Polski. Ambicją i celem Fundacji jest stworzenie platformy wymiany doświadczeń i przestrzeni do współpracy pomiędzy absolwentami a biznesem. Działania Integralii skierowane są do firm, którym bliskie są wartości oparte na szacunku dla różnorodności i równości. To inicjatywa dla przedsiębiorstw gotowych zaoferować płatne staże dla młodych osób ze specjalnymi potrzebami. Integralia pomaga im też w stworzeniu odpowiedniej atmosfery i bezpiecznego środowiska opartego na kulturze włączającej. ↦

MATERIAŁY PRASOWE

Zofia Detlaff, Julia Korzeniewska, Estera Leszczyńska – beneficjentki programu „Sprawny staż". Sopot, 10 listopada 2023 r.

W zakończonej właśnie drugiej edycji programu wzięło udział siedem firm: Accenture, Bayer, Ergo Hestia, Ikea, Siemens Healthineers, Symfonia, Twinings. Utworzyły one dwadzieścia pięć miejsc pracy dla studentów i absolwentów z niepełnosprawnościami. Podczas trzymiesięcznych staży uczestnicy projektu zdobywali doświadczenie zgodne z ich kompetencjami i oczekiwaniami. Dziesięć osób otrzymało propozycję dalszej pracy.

### Doświadczenia

Julia Korzeniewska z Gdyni, studentka ostatniego roku informatyki na Uniwersytecie WSB Merito w Gdańsku, od jedenastu lat choruje na stwardnienie rozsiane. Do programu „Sprawny staż" trafiła przez pośrednictwo swojej uczelni.

– Zgłosiłam się do programu i po rozmowach otrzymałam staż w firmie Bayer – opowiada. – Zaproponowano mi trzy stanowiska, wybrałam pracę w zespole Intelligent Automation, bo to było najbardziej zgodne z moim wykształceniem. Ze względu na specyfikę pracy niemal cały staż mogłam odbyć zdalnie, co było dla mnie dużym ułatwieniem.

Julia po stażu otrzymała propozycję dalszej pracy i rozwoju w zespole Visual Design Services. Bardzo ceni sobie to, że cały czas mogła liczyć na pomoc ze strony swoich przełożonych, nie została zostawiona sama sobie. Uważa, że ciągle jest zbyt wiele firm, które mają opory przed zatrudnianiem osób z niepełnosprawnościami.

– Przedsiębiorstwa powinny być bardziej otwarte, niepełnosprawność nie zawsze oznacza, że jakaś praca nie może być wykonywana – mówi Julia. – Wiem po swoim doświadczeniu, że często te osoby bardziej się starają niż osoby zdrowe. Czasami musimy ciężej pracować, by udowodnić swoją wartość jako pracownika.

Jedną z wartości programu „Sprawny staż" jest miękkie wprowadzenie stażysty w przyszłe środowisko pracy. Bardzo często osoby przystępujące do programu mają na swoim koncie przykre doświadczenia związane z poszukiwaniem zatrudnienia. Wynikają one zwykle z niezrozumienia przez rekruterów indywidualnej specyfiki osoby i braku otwartości niektórych pracodawców.

Zofia Detlaff ma dwadzieścia osiem lat. Cierpi na hemofilię i chorobę von Willebranda, ma też nieprawidłowo zbudowane stawy. W dzieciństwie przeszła operację kolan, niestety na skutek błędów lekarskich do dziś ma powracające trudności z chodzeniem. Wspomina, jak kilka lat temu przyszła o kulach na rozmowę rekrutacyjną do firmy z branży energetycznej:

– To było bardzo przykre doświadczenie. Człowiek, który prowadził spotkanie, zapytał mnie, czy jestem w stanie godnie reprezentować firmę. Co wspólnego mają kule z godnością?

Zofia z wykształcenia jest pedagogiem i technikiem farmacji. Cały czas stara się podnosić swoje kwalifikacje, zdając sobie sprawę z tego, jak zmienny może być rynek pracy, a jej osobiste obciążenia zdrowotne mogą sprawić, że znalezienie kolejnej pracy będzie jeszcze trudniejsze.

– Bardzo często – mówi Zofia – osoby z niepełnosprawnościami, które są świetnie wykształcone, wykonują prace znacznie poniżej swoich kompetencji, np. na stanowisku stróża nocnego czy w ochronie, co przecież często jest jakąś fikcją.

Zofia, dzięki programowi „Sprawny staż", zdobyła doświadczenie w firmie Ikea. Zajmowała się tam badaniami satysfakcji pracowników. Potem szybko znalazła stałe zatrudnienie w innej firmie jako rekruterka pracowników IT. O swojej chorobie mówi jak o czymś, z czym po prostu trzeba żyć – nie można usiąść i płakać, trzeba się z tym pogodzić albo przekształcić w atut.

– Osoby z niepełnosprawnościami są zwykle bardzo zdeterminowane do podjęcia pracy, to jest bardzo cenne – dodaje.

Podobnie o swoich trudnościach mówi inna ze stażystek, Estera Leszczyńska. Choruje na cukrzycę typu pierwszego, od pięciu miesięcy pracuje w Ergo Hestii w Departamencie Sprzedaży.

– Ze swoją chorobą możesz się kłócić i walczyć albo zaprzyjaźnić. Ja wybrałam to drugie, bo dzięki temu mogę iść naprzód, a nie zamykać się w jakiejś skorupie.

Estera studiuje matematykę finansową na Politechnice Gdańskiej. O programie „Sprawny staż" dowiedziała się podczas zorganizowanych przez uczelnię targów pracy. O pracy osób z niepełnosprawnością mówi tak:

– Nauczyłam się, że nie można się bać mówić o problemach. Mam bardzo wyrozumiałych i otwartych przełożonych. Mojej choroby nie widać, na pozór jestem zdrową, młodą kobietą, która realizuje się w firmie. Jednak każdego dnia toczę walkę ze swoim organizmem, żeby utrzymać stabilny poziom cukru i móc funkcjonować nie tylko w pracy, ale też w każdym innym aspekcie życia. Sama na początku popełniłam ten błąd, że nikomu nie mówiłam o swojej chorobie, wiedziała o tym tylko moja kierowniczka. Warunkiem, by ujawnić swoje problemy zdrowotne, jest jednak to, żeby pracodawca stworzył atmosferę bezpieczeństwa. Otwartość i szczerość są ważne po obu stronach.

Wszyscy stażyści zgodnie twierdzą, że praca w różnorodnych zespołach bardzo dobrze wpływa na podniesienie ich samooceny.

Julia:

– Praca dała mi dużą pewność siebie, bo byłam bardzo skrytą osobą, takim typem słuchacza, a nie mówcy. Teraz inaczej na

to patrzę, mam odwagę, żeby mówić publicznie o moich doświadczeniach.

Estera:

– Wcześniej, zanim zaczęłam pracę, bałam się w ogóle mówić o chorobie. Nie chciałam się wychylać, bo bałam się oceny. Bałam się, że ludzie nie zrozumieją mojego problemu.

### Ambasadorowie

Fundacja Integralia cały czas rozwija swój program. Jak mówi Daria Uljanicka, członkini zarządu Fundacji, jednym z ważniejszych celów na najbliższy rok jest rozwój bazy pracodawców:

– Chcemy docierać do coraz większej grupy dużych firm, dla których wartością jest tworzenie różnorodnych, inkluzywnych zespołów, do firm, które rozumieją, że ta różnorodność może być wartością budującą społeczny kapitał przedsiębiorstwa. W tym celu do współpracy z Fundacją zostali zaproszeni sportowcy, paralimpijczycy, Emilia Babska i Michał Kotkowski.

Emilia ma 23 lata, specjalizuje się w strzelectwie sportowym. Jej największe sukcesy to drugie miejsce w karabinie pneumatycznym kobiet na 10 m podczas pucharu świata w Châteauroux w 2022 r. i zdobycie dla Polski kwalifikacji na igrzyska paraolimpijskie w Paryżu w 2024 r. oraz pierwsze miejsce w konkurencji karabin dowolny kobiet na 50 m podczas mistrzostw świata w Al Ain (Zjednoczone Emiraty Arabskie) w 2022 r. Konkurencją zainteresowała się podczas pikniku w klubie strzeleckim, w którym pracował jej tato.

– To było siedem lat temu – wspomina. – Poszliśmy z rodzicami na piknik, była tam możliwość spróbowania swoich sił w strzelaniu z karabinku. Bardzo szybko okazało się, że jestem w tym dobra, że mam talent, dostrzegli to pracownicy klubu. Już po dwóch latach weszłam do kadry narodowej, zaczęłam jeździć na zawody międzynarodowe, wywalczyłam awans na igrzyska w Tokio.

Emilia zauważa, że sukcesy osób niepełnosprawnych bardzo mocno wpływają na budowę poczucia wartości:

– Dzięki sportowi nie zamknęłam się w sobie, stałam się bardziej pewna siebie. Mogę podróżować, poznawać świat, wózek, na którym jeżdżę, nie jest aż takim obciążeniem, jakim wydaje się dla kogoś, kto patrzy z boku. Tak samo ważne, jak sukcesy w sporcie, ważne są sukcesy w pracy, w życiu zawodowym, dlatego istotne jest, by firmy tworzyły przestrzenie do pracy, w których jest też miejsce na stanowiska dla osób niepełnosprawnych.

Michał ma 25 lat, jest lekkoatletą. Urodził się z dziecięcym porażeniem mózgowym, swoją przygodę ze sportem zaczął w bardzo wczesnym dzieciństwie:

– Rodzice zabrali mnie na naukę pływania, kiedy miałem rok. Od tamtej pory przez szesnaście lat pływałem niemal codziennie. Moi rodzice sami są bardzo zaangażowani sportowo, dużo biegają, więc to, że zacząłem też biegać, było dość naturalne.

Jego największe dotychczasowe sukcesy to pierwsze miejsce na 200 i 400 m podczas mistrzostw Europy w paralekkoatletyce w Berlinie oraz czwarte miejsce na 400 m na mistrzostwach świata w paralekkoatletyce w Dubaju w roku 2019, dające kwalifikację na igrzyska paralimpijskie w Tokio. W tegorocznych mistrzostwach świata zdobył srebrny medal na 400 m i dało mu to kwalifikację na igrzyska paraolimpijskie w Paryżu. O programie „Sprawny staż" mówi tak:

– Jestem przekonany, że ten program może nam wszystkim otworzyć głowę i uwrażliwić na potrzeby innych. Jako osoby niepełnosprawne często spotykaliśmy się z takim nieco zinfantylizowanym traktowaniem, a my chcemy być traktowani na równi. Może czasami potrzebujemy nieco innych warunków, ale chcemy mieć postawione takie same cele i zadania, jak osoby zdrowe.

Emilia podkreśla jeszcze jeden ważny aspekt programu: pokazuje on pracodawcom, że osoba niepełnosprawna w firmie nie jest problemem, lecz dodatkową wartością, bo na wiele spraw w swoim życiu musi spojrzeć zupełnie inaczej, poszukać niestandardowych rozwiązań, a to przecież przekłada się też na pracę zawodową.

Ambasadorami programu zostali również piłkarka amp futbolu Anna Omielan oraz lekkoatleta Aleksander Kossakowski.

Michał Kotkowski na X Mistrzostwach Świata w Paralekkoatletyce. Paryż, 14 lipca 2023 r.

BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI / ARCHIWUM PRYWATNE

### Certyfikaty dla najlepszych

10 listopada 2023 r. w Sopocie odbyła się konferencja podsumowująca tegoroczną edycję programu „Sprawny staż". Z ankiet przeprowadzonych po zakończeniu programu wynika, że wszyscy studenci i absolwenci biorący w nim udział byli bardzo zadowoleni ze współpracy oraz atmosfery sprzyjającej komunikacji w firmach.

Stażyści docenili też usprawnienia wdrożone przez pracodawców, które ułatwiały im wykonywanie obowiązków. Firmy uczestniczące w programie zostały wyróżnione certyfikatem „Inkluzywnego partnerstwa". Fundacja Integralia zaprasza do współpracy wszystkie duże firmy, które cenią kulturę pracy opartą na różnorodności i wyrównywaniu szans oraz likwidacji barier.

©℗ JACEK TARAN

# Ważny jest złoty środek

MONIKA TRUSZKOWSKA-BEDNAREK, PREZESKA FUNDACJI INTEGRALIA

**Osoby z niepełnosprawnościami mają w sobie ducha walki. Determinacja towarzyszy im na każdym etapie życia. Ta cecha bardzo się przydaje w życiu zawodowym.**

**JACEK TARAN: Pani Prezes, jaki jest początek tej historii?**

**MONIKA TRUSZKOWSKA-BEDNAREK:** Inspiracją była fundacja działająca w siostrzanej firmie w Hiszpanii, która zatrudniała osoby z niepełnosprawnościami, głównie ruchowymi. Osoby te pracowały w roli konsultantów *call center*. Było to miejsce pracy stworzone dla nich. Duży *open space*, dostosowany dla osób poruszających się na wózkach. Ówczesny prezes Ergo Hestii po powrocie z wizyty w Hiszpanii zadecydował o powołaniu fundacji, która będzie pomagać osobom mającym trudności w podejmowaniu pracy z uwagi na ograniczenia zdrowotne. I tak zaczęła się działalność Fundacji Integralia, która w przyszłym roku będzie obchodzić 20-lecie swojej działalności. Za nami szereg różnorodnych projektów, od dwóch lat naszym flagowym programem jest „Sprawny staż", skierowany do osób z niepełnosprawnościami, które dopiero wchodzą na rynek pracy i chcą zdobyć doświadczenie.

**I było to działanie, które wynikało z czystej szlachetności, a nie z jakichś rachunków ekonomicznych?**

Oczywiście. Chociaż nie można pomijać aspektu finansowego – rachunek ekonomiczny w tym przypadku też jest istotny. Nie może on jednak być celem samym w sobie. Korzyścią jest przede wszystkim praca wykwalifikowanych pracowników i tak na to patrzymy. Można biernie wspierać osoby z niepełnosprawnościami, uiszczając opłatę na PFRON, gdzie środki są dystrybuowane bez naszego wpływu, ale jako Ergo Hestia wolimy wspierać te osoby aktywnie, dając im możliwość rozwoju zawodowego, przeznaczając pieniądze na przystosowywanie miejsc pracy w firmie, na programy benefitów dla pracowników z niepełnosprawnościami. Ma to ogromny sens. Dobrze wiemy, jak ważna jest aktywność zawodowa dająca niezależność oraz jak duża wartość płynie z pracy zespołów różnorodnych personalnie.

**Osoby z niepełnosprawnościami potrafią chyba wnieść zupełnie inną perspektywę, inaczej patrzą na rozwiązywanie problemów?**

To często są osoby ciężko doświadczone. Przez to, że musiały pokonać wiele przeciwności, mają w sobie ducha walki. Determinacja towarzyszy im na każdym etapie życia – kiedy zdobywają edukację, doświadczenie, kiedy pokonują bariery zewnętrzne i własne słabości. Ta cecha bardzo się przydaje w życiu zawodowym. Do tego dochodzi jeszcze zdolność nieszablonowego myślenia. Każdy z nas coś wnosi do zespołu i poprzez obecność w zespole osób z dysfunkcjami zmienia się perspektywa całej grupy.

**Wspomniała Pani o benefitach dla pracowników z niepełnosprawnościami.**

Dla osób z orzeczeniem o lekkim stopniu niepełnosprawności proponujemy dodatkowe urlopy, które nie są zagwarantowane przez kodeks pracy. Te przysługują tylko osobom ze średnim i znacznym stopniem niepełnosprawności. Pomagamy również w uzyskaniu orzeczenia o niepełnosprawności. Tworzymy otwarte i życzliwe środowisko pracy, żeby nikt nie bał się mówić o swoich specjalnych potrzebach; to bardzo ważne dla pracodawcy. Oferujemy też wsparcie finansowe w kwocie dwóch tysięcy złotych rocznie, które można przeznaczyć na zakup leków, na rehabilitację lub na inny cel.

Wspólnie z Ergo Hestią organizujemy wolontariaty i akcje charytatywne, których beneficjentami są konkretne osoby. Jedną z pierwszych takich akcji była zbiórka na sprzęt rehabilitacyjny dla naszego kolegi. Prowadziliśmy ją podczas rajdu „Skołuj pomoc dla kolegi" na trasie Gdańsk–Hel. Uczestniczyło w nim wiele osób, a firma płaciła złotówkę za każdy przejechany kilometr. Dało nam to pokaźną kwotę, która wystarczyła nie tylko na zakup sprzętu dla tej osoby, ale też wspomogliśmy kolejną.

**Ilu pracowników ze specjalnymi wymogami pracuje teraz w Ergo Hestii?**

Na trzy tysiące pracowników mamy ponad sto osób z niepełnosprawnościami. To jest współczynnik zatrudnienia 3,4 procent i jest on bardzo wysoki na tle innych firm. Średnio, według badania Diversity IN Check, prowadzonego przez Forum Odpowiedzialnego Biznesu, wynosi on 1,4 procent.

**Na czym polega istota programu „Sprawny staż"?**

Mówiąc w skrócie: głównym zadaniem jest łączenie młodych osób z niepełnosprawnościami z przyszłymi pracodawcami. Jesteśmy już rozpoznawalni jako fundacja, która się specjalizuje w zatrudnianiu osób z niepełnosprawnościami, i pracodawcy szukając agencji pośrednictwa, trafiają do nas. Staże są dobrym początkiem dla firm, które chcą włączyć do zespołów osoby z niepełnosprawnościami. Zajmujemy się rekrutacją stażystów, ale to nie wszystko. Co wydaje mi się najważniejsze, przed skierowaniem stażystów do zespołu szkolimy też pracodawcę. Zwracamy uwagę na to, że nie wystarczy przygotować miejsce pracy, ale też bardzo ważne jest przygotowanie zespołu na przyjęcie pracownika, który ma specjalne potrzeby. Są niepełnosprawności, które wywołują bariery w kontakcie. Przekazujemy jasny komunikat – żeby współpraca była efektywna i dawała zadowolenie obu stronom, stażysta, pra-

cownik musi poczuć się bezpiecznie i musicie wiedzieć, jak się z nim swobodnie komunikować. To jest warunek absolutnie konieczny. Dlatego prowadzimy warsztaty z zasad komunikacji, z zasad włączenia, zarządzania i współpracy z osobami z niepełnosprawnościami. I to jest bardzo dobre działanie, otwierające środowisko na przyjęcie nowej osoby. Szkolenie daje niezbędną wiedzę i zrozumienie różnych rodzajów niepełnosprawności oraz jest rozszerzone o szczegółową wiedzę w zależności od tego, jaki rodzaj niepełnosprawności jest reprezentowany.

**A później, gdy stażysta trafi już na miejsce pracy?**

Stażysta, który trafia do firmy z naszej rekomendacji, nie zostaje w niej sam. W trakcie stażu prowadzimy monitoring, który ma na celu śledzenie komfortu zarówno po stronie pracodawcy, jak i stażysty. Rozmawiamy ze stażystą i pracodawcą o trudnościach, jakie napotykają we współpracy. Jeśli jakieś się pojawią, pomagamy je rozwiązać. Nasze dwudziestoletnie doświadczenie dostarczyło nam wielu różnorodnych przypadków, bo to jest grupa bardzo zróżnicowana.

**W jaki sposób młodzi ludzie z niepełnosprawnościami mogą do Was trafić?**

Bierzemy udział w różnorakich targach pracy, współpracujemy z uczelniami, jesteśmy aktywni w mediach społecznościowych. Utworzyliśmy też specjalną stronę internetową, www.sprawnystaz.pl, na której publikujemy informacje o programie, o poszczególnych krokach, o korzyściach płynących z przystąpienia do programu dla kandydatów i firm. W tym miejscu publikujemy też oferty stażowe, które są bardzo dokładnie opisane. Przyszły stażysta może tam znaleźć aktualności związane z rekrutacją. Informacje uzupełniamy o ciekawe artykuły oraz wywiady ze stażystami i pracodawcami.

**Jak duże jest zainteresowanie oferowanymi przez Was stażami?**

MATERIAŁY PRASOWE PARTNERA

**MONIKA TRUSZKOWSKA-BEDNAREK** jest prezeską zarządu Fundacji Integralia.

W tym roku swoje CV przysłało nam czterystu kandydatów. Wybraliśmy tych, którzy spełniali warunki – było to sto dwadzieścia osób. Po wstępnych rozmowach około czterdziestu najlepszych rekomendowaliśmy do firm, odbyli spotkania już bezpośrednio z pracodawcami.

**Na jakie trudności najczęściej napotykacie w kontakcie z potencjalnymi pracodawcami?**

Organizacje, które się do nas zgłaszają, zazwyczaj są już świadome wyzwań, jakie niesie ze sobą zatrudnianie osób ze specjalnymi wymogami. Często na początku pojawia się przekonanie, że te osoby pracują mniej efektywnie, mniej potrafią. Bardzo ważne jest, żeby pamiętać, że każda niepełnosprawność jest inna, a wśród tych osób są ludzie o różnych kompetencjach. Jeśli ktoś zgłasza się do nas i mówi, że chce mieć sześcioprocentowy współczynnik zatrudnienia osób z niepełnosprawnościami i jest to strategia trzyletnia, to mówimy uczciwie, że to trudne. Duże firmy potrzebują ekspertów, a pozyskanie ich w tej grupie osób nie jest łatwe, bo to nie są osoby, które miały taki sam dostęp do edukacji jak inni. Często jest też tak, że te osoby nawet jeśli są wyjątkowo utalentowane, same nie wierzą w swoje zdolności. Zdarza się, że mają bardzo zaniżoną samoocenę. Jest to dla nich okazja do wyjścia poza swoją strefę komfortu, zrobienie czegoś, co je wzmocni też mentalnie. Niekiedy mają już za sobą negatywne doświadczenia związane z poszukiwaniem pracy. Jesteśmy bezpiecznym pomostem, dbamy o to, żeby środowisko przyjęło te osoby przyjaźnie. Potrzebne jest bardzo empatyczne podejście i zrozumienie, że te osoby mogą mieć momenty regresu, chwile gorszego samopoczucia. Mamy mnóstwo przypadków osób, które zaczynały od najniższych stanowisk, a dzisiaj są głównymi specjalistami, menadżerami, bo dano im poczucie bezpieczeństwa i możliwości rozwoju.

**Ale jest też chyba tak, że te osoby oczekują równego traktowania, bez taryfy ulgowej?**

Bardzo ważny jest złoty środek, który przecież w wielu sferach życia trudno znaleźć. Nasza Fundacja ma pokazać, że to jest możliwe. Istotne jest to, że uczymy dialogu obie strony. Bez właściwej komunikacji tego dialogu nie będzie, a co za tym idzie, nie będzie rozwoju i bezpiecznego środowiska pracy. Czasami wystarczy zapytać, czy pomoc jest potrzebna. Nie można też oczywiście popadać w skrajność i wykazywać nadmiernego zainteresowania w sferach, w których osoba niepełnosprawna sobie wyśmienicie radzi.

**Co powiedzieć tym firmom, które ciągle mają obawy?**

„Sprawny staż" to program właśnie dla takich firm. Przedsiębiorstwo może w bezpieczny sposób doświadczyć relacji z osobą z niepełnosprawnością. Współpraca może się naturalnie zakończyć po trzech miesiącach stażu. Firma nic nie traci. Zyskuje cenne doświadczenie, a w najlepszym przypadku wartościowego pracownika, który zostanie na dłużej. My podajemy gotowe rozwiązania konieczne do tego, żeby ta współpraca przebiegała dobrze. Nie ma tu żadnego ryzyka, bo po trzech miesiącach można stwierdzić, że jednak to nie dla nas, nie nasza specyfika, i nie wiąże się z tym żadne długoterminowe zobowiązanie. Zapraszamy wszystkich zainteresowanych! ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 49/2023
REDAKCJA: Monika Ochędowska | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
TP SKŁAD: Zuzanna Kardyś | FOTOEDYCJA: Jacek Taran
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska | NA OKŁADCE: Emilia Babska, igrzyska paraolimpijskie, Tokio 2020 r. | FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

PARTNERZY
sprawny staż
Fundacja Grupy ERGO Hestia integralia

NAUKA

# ODWROTNE SZCZEPIONKI

Choroby autoimmunologiczne są wynikiem fatalnej pomyłki – organizm sam zwalcza swoje tkanki i narządy. Nowe eksperymenty sugerują pomysłowy sposób, jak je leczyć.

ANNA BARTOSIK

Epidemie uświadomiły ludziom już tysiące lat temu, że organizm człowieka potrafi zwalczać zagrożenia pochodzące z zewnątrz i wyciągać wnioski na przyszłość, jak sobie z nimi radzić. Na podstawie tych doświadczeń, w czasie starożytnych czy średniowiecznych plag, osoby, które przetrwały zakażenie, z większą pewnością opiekowały się kolejnymi chorymi, ponieważ wiedziały, że nie grozi im powtórna infekcja.

Nie przychodziło wtedy nikomu jeszcze do głowy, że zagrożenie dla organizmu człowieka może czyhać w nim samym i objawiać się trudną do ujarzmienia autoagresją układu odpornościowego.

Na początku XX w. Niemiec Paul Ehrlich, jeden z ojców współczesnej immunologii i laureat Nagrody Nobla, ukuł termin *horror autotoxicus*, który jako pierwszy odnosił się do obserwowanych zaburzeń autoimmunologicznych. W kolejnych latach odkryto zjawiska alergii i anafilaksji, czyli nadmierną reakcję organizmu na kontakt z pewnymi substancjami, prowadzącą do powstania stanu zapalnego, czasem obejmującego całe ciało.

Już te zjawiska wskazywały na zdolność układu odpornościowego do samouszkodzenia. Jednak aż do lat 50. XX w. nie było powszechnie wiadomo, że odpowiedź immunologiczna może rozwinąć się nie tylko przeciwko obcym, ale także własnym komórkom.

### Swój czy obcy?

Przełomowych doświadczeń dokonał na Uniwersytecie w Buffalo student medycyny Noel Rose, razem ze swoim mentorem Ernestem Witebskym, będącym z kolei wychowankiem Ehrlicha. Rose wykazał, że u królików, którym wstrzyknięto ich własne białko pochodzące z tarczycy, wytworzyła się odpowiedź immunologiczna, która uszkadzała, a nawet całkowicie niszczyła tarczycę zwierząt.

Były to pierwsze eksperymenty, które pokazały, że organizm jest zdolny do autoagresji. Wyniki jak na ówczesne czasy wydawały się tak nieprawdopodobne, że czasopisma naukowe odmówiły ich opublikowania. Dopiero kilka lat później, gdy brytyjscy naukowcy potwierdzili odkrycia immunologów z Buffalo, raporty z ich badań ukazały się drukiem.

Podstawowym zadaniem układu odpornościowego jest dokonywanie rozróżnienia na poziomie komórkowym i molekularnym: „własny" czy „obcy"? Odbywa się to w każdej sekundzie naszego życia na podstawie oceny molekularnych znaczników – tzw. antygenów, obecnych na powierzchni komórek, które są rozpoznawane przez znajdujące się w krwi oraz

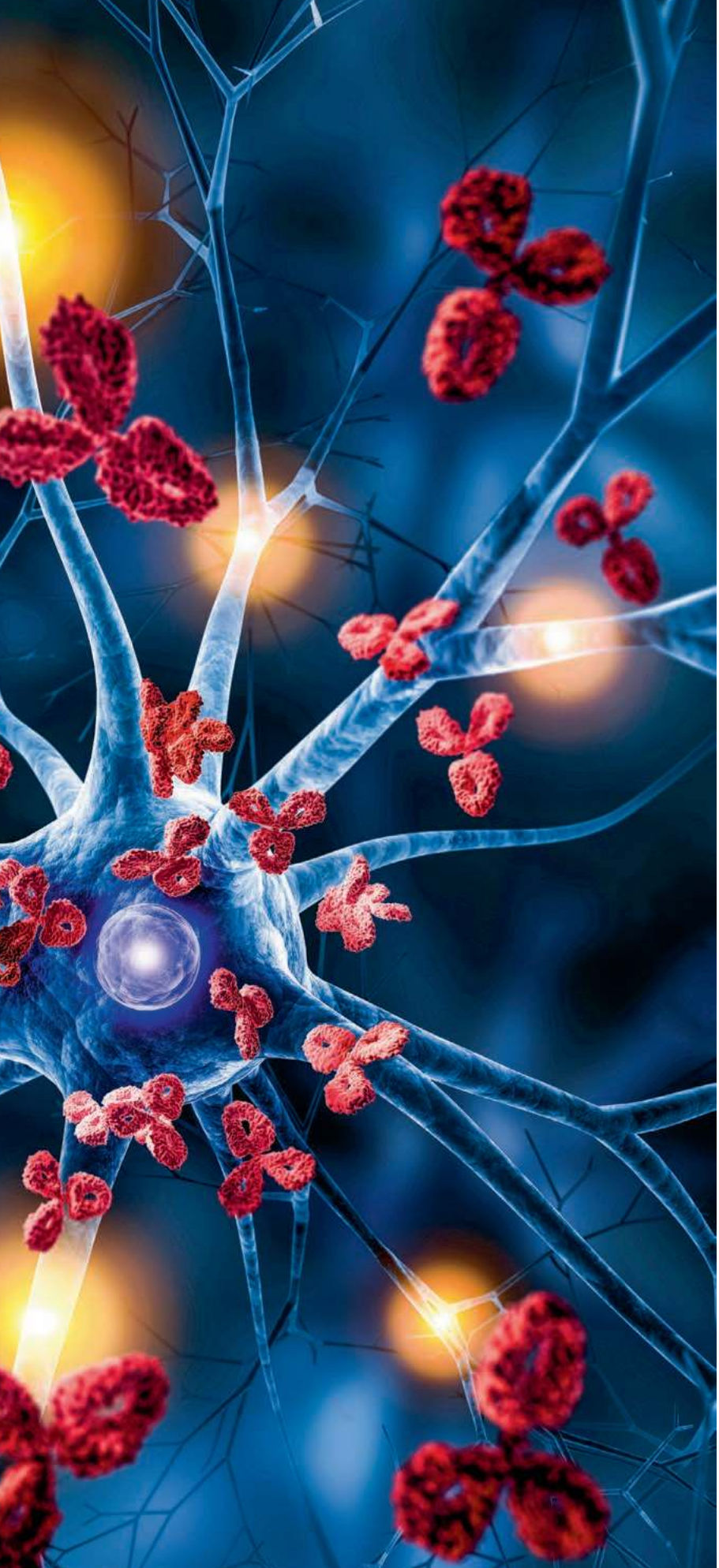

SHUTTERSTOCK

*Komórka nerwowa atakowana przez przeciwciała – do takiego zjawiska może dochodzić w stwardnieniu rozsianym.*

w tkankach komórki układu odpornościowego, za pomocą specjalnych receptorów powierzchniowych.

Jeżeli dojdzie do rozpoznania jako „obcy", to w kolejnym etapie zachodzi weryfikacja: „wróg" czy „przyjaciel". W naszym organizmie żyją w końcu miliardy przyjaznych bakterii, które muszą zostać odróżnione od tych potencjalnie chorobotwórczych. Kiedy ten subtelny balans wewnątrz organizmu zostaje zaburzony i komórki odpornościowe błędnie rozpoznają własne komórki jako obce, może rozwinąć się jedna z chorób autoimmunologicznych. Mechanizm ich powstawania biolodzy zaczęli poznawać w latach 80. XX w. Od tego czasu zidentyfikowano ponad 80 różnych zaburzeń o podłożu autoimmunologicznym.

W latach 90. Noel Rose, znany nam już prekursor badań nad chorobami autoimmunologicznymi, w wywiadzie dla „Washington Post" zaliczył je do wielkiej trójki największych zagrożeń dla ludzkości: obok nowotworów i chorób kardiologicznych.

Dziś wiemy, że choroby autoimmunologiczne mogą być dziedziczone genetycznie, a także rozwijać się wskutek infekcji lub pod wpływem czynników środowiskowych, np. takich jak stres. Niektóre wymagają obecności kilku z tych czynników jednocześnie. Obecnie jest już jasne, że właściwie każda komórka, tkanka lub organ mogą stać się celem ataku rozregulowanego układu immunologicznego.

## Uzbrojeni po pachy

Układ odpornościowy składa się z kilku rodzajów wyspecjalizowanych komórek, takich jak limfocyty B czy T (różniących się m.in. miejscem powstawania i mechanizmem działania) czy komórki żerne, a także z narządów, takich jak grasica czy węzły chłonne, które zawiadują działaniem całego systemu odpornościowego.

Limfocyty B produkują przeciwciała przeciwko „obcym" antygenom, które zagrażają organizmowi. Komórki te powstają i dojrzewają w szpiku kostnym i tam uczą się, jak odróżniać „wrogów" od „przyjaciół", a także tego, by nie reagować na własne tkanki organizmu – co biolodzy nazywają tolerancją. Może się jednak ↦

↦ zdarzyć, że nieprawidłowo funkcjonujące limfocyty B uznają komórki własnego ciała jako „obce". Wówczas wyprodukują autoprzeciwciała, skierowane przeciwko własnym antygenom (autoantygenom).

Rozwój chorób autoimmunologicznych wskazuje na nieefektywną tolerancję, wywołaną np. błędami przy eliminacji nieprawidłowych limfocytów B, które wydostają się ze szpiku kostnego i stanowią zagrożenie dla własnych tkanek. Innym mechanizmem powstania autoagresji układu odpornościowego może być wymykająca się spod kontroli reakcja immunologiczna na antygeny bardzo podobne do autoantygenów. Przykładem takiej choroby jest gorączka reumatyczna.

Choroby autoimmunologiczne występujące powszechnie w społeczeństwie to cukrzyca insulinozależna (zwana też cukrzycą typu I), toczeń rumieniowaty układowy, zapalenie tarczycy Hashimoto, choroba Gravesa-Basedowa tarczycy, celiakia czy reumatoidalne zapalenie stawów. Ogólnie można je podzielić na dwie większe podgrupy: wieloukładowe choroby autoimmunologiczne, w których autoprzeciwciała reagują z autoantygenami wielu komórek organizmu, oraz choroby specyficzne dla konkretnego narządu, w których autoprzeciwciała reagują z autoantygenami obecnymi na konkretnych komórkach specyficznych dla danego organu. Toczeń rumieniowaty układowy to przykład pierwszej podgrupy, jego efektem jest ogólnoustrojowy stan zapalny, natomiast cukrzyca typu I dotyka specyficznie komórek trzustki.

### Jedna dziesiąta populacji

Badania opublikowane na łamach czasopisma „The Lancet" w maju tego roku przez Nathalie Conrad i współpracowników potwierdzają, że choroby autoimmunologiczne są poważnym wyzwaniem dla społeczeństwa. Konsorcjum ekspertów w dziedzinie epidemiologii, biostatystyki, reumatologii, endokrynologii i immunologii z belgijskich i brytyjskich uczelni, m.in. w Leuven, Londynie, Glasgow czy Oksfordzie, połączyło siły, aby stworzyć aktualny obraz sytuacji, w której znajduje się medycyna w kontekście tych chorób.

> Podstawowym zadaniem układu odpornościowego jest dokonywanie rozróżnienia na poziomie komórkowym i molekularnym: **„własny" czy „obcy"?**

W przeprowadzonym badaniu wykorzystano bazę danych składającą się z 22 milionów anonimowych elektronicznych kart zdrowia pacjentów z Wielkiej Brytanii, z naciskiem na 19 najczęściej występujących chorób autoimmunologicznych. Badacze szukali głównie odpowiedzi na pytania, czy wzrasta liczba przypadków takich zaburzeń, kto jest na nie najbardziej narażony oraz w jaki sposób różne choroby immunologiczne mogą ze sobą współistnieć.

Wyniki badań wskazują, że łącznie 19 analizowanych chorób dotyka około 10 proc. populacji, w tym bardziej narażone są kobiety (13 proc.) niż mężczyźni (7 proc.). To wyniki wyższe niż te, które sugerowały wcześniejsze analizy (od 3 do 9 proc.), obejmujące mniejsze zestawy danych.

Z badań płyną jednak także pozytywne wnioski. W rozmowie z portalem Salon.com Nathalie Conrad stwierdziła, że w latach 2000-2019 w Wielkiej Brytanii średnia liczba nowych diagnoz chorób autoimmunologicznych na osobę wzrosła o 4 proc. – co nie jest wysokim wynikiem, biorąc pod uwagę postępy w diagnozie i wzrost świadomości na temat tych chorób. Nie powinniśmy więc mówić o epidemii chorób autoimmunologicznych – podkreśliła badaczka.

Naukowcy zidentyfikowali także różnice społeczno-ekonomiczne, sezonowe oraz regionalne wśród niektórych chorób, które trudno przypisać jedynie różnicom genetycznym. Mogą one sugerować wpływ czynników ryzyka, takich jak palenie, otyłość lub stres. Badania potwierdziły także, że w niektórych przypadkach u pacjentów z jedną chorobą autoimmunologiczną prawdopodobieństwo rozwinięcia kolejnej jest większe niż w przypadku osoby bez wcześniejszych obciążeń.

### Jak wymazać pamięć

Walkę z chorobami autoimmunologicznymi utrudnia poziom złożoności naszego układu odpornościowego, w którym wiele typów komórek komunikuje się i koordynuje swoje działania przy pomocy sygnałów chemicznych, a następnie atakuje rozpoznanych intruzów przy pomocy szerokiego arsenału środków. W przypadku chorób zakaźnych mamy do dyspozycji jeden z najważniejszych wynalazków ludzkości – szczepionki. To one mają nauczyć układ odpornościowy, jak zapamiętywać niechcianych gości i skutecznie reagować na ich obecność. Jednak w przypadku chorób autoimmunologicznych to właśnie układ immunologiczny staje się zagrożeniem dla organizmu. Jak sprawić, by nim przestał być?

Rozwiązaniem musiałyby być „odwrotne szczepionki", czyli takie zabiegi, które prowadziłyby do usunięcia pamięci układu odpornościowego dotyczącego konkretnego autoantygenu. Chociaż wymazanie pamięci immunologicznej byłoby niepożądane w przypadku chorób zakaźnych, to może powstrzymać reakcje autoimmunologiczne, jak te obserwowane w stwardnieniu rozsianym, cukrzycy typu I lub reumatoidalnym zapaleniu stawów, w których układ odpornościowy atakuje zdrowe tkanki człowieka.

Przez ponad 50 lat naukowcy starali się znaleźć sposób, by zapobiec tej wojnie wewnątrz organizmu, przywracając tolerancję na własne antygeny. Udało im się tego dokonać u zwierząt eksperymentalnych, np. u myszy z chorobą przypominającą stwardnienie rozsiane, zwaną eksperymentalnym autoimmunologicznym zapaleniem mózgu i rdzenia (EAE). Układ odpornościowy tych gryzoni atakuje osłonkę mielinową wokół nerwów, zaburzając w ten sposób przekaz sygnału. Wstrzykiwanie myszom fragmentów białka mieliny tworzącej osłonkę powodowało, że ich układ odpornościowy przestawał ją niszczyć. Jednak tego typu strategie wywołujące tolerancję na antygen, w tym wypadku mielinę, nie sprawdziły się u ludzi na tyle dobrze, by zostały zatwierdzone jako terapie.

Ministerstwo Edukacji i Nauki

Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Edukacji i Nauki w ramach Programu „Społeczna Odpowiedzialność Nauki II".

Zespół kierowany przez immunologów Jeffreya Hubbella i Andrew Tremaina oraz inżynier molekularną Rachel Wallece z Uniwersytetu w Chicago zainteresował się naturalnym mechanizmem występującym w wątrobie. Ten organ potrafi oznaczać cząsteczki pochodzące z uszkodzonych komórek etykietami „nie atakuj!", aby w ten sposób zapobiec reakcjom autoimmunologicznym na komórki obumierające w organizmie w wyniku naturalnych procesów. Naukowcy spróbowali więc w podobny sposób oznakować autoantygeny powodujące reakcje układu odpornościowego.

W artykule opublikowanym w „Nature Biomedical Engineering" we wrześniu tego roku badacze wykazali, że podanie gryzoniom „odwrotnej szczepionki", złożonej z łańcucha cukrowego zawierającego fragment białka mielinowego, okazało się skuteczne przeciwko mysiemu EAE. Układ odpornościowy tych zwierząt przestał atakować mielinę, pozwalając nerwom na normalne funkcjonowanie i niwelując objawy chorobowe.

Obecnie choroby autoimmunologiczne są zwykle leczone za pomocą terapii, które w znacznym stopniu wyłączają aktywność układu odpornościowego. Tego typu leczenie może być bardzo efektywne, ale równocześnie sprawia, że organizm staje się bezbronny w starciu z zewnętrznymi wrogami i nowotworami, co może dawać wiele skutków ubocznych. Leczenie za pomocą „odwrotnych szczepionek" dzięki swojej precyzji ma szansę być bardziej skuteczne i bezpieczniejsze dla pacjentów.

Jak podkreślał w komunikacie prasowym wydanym przez Uniwersytet w Chicago Jeffrey Hubbell, jego zespołowi po raz pierwszy udało się wykazać, że to podejście może być pomocne nie tylko w zapobieganiu chorobom autoimmunologicznym, ale także w leczeniu trwającego stanu zapalnego – a więc już w przebiegu choroby. A to jest ważniejsze z perspektywy pacjentów.

### Odwrócona przyszłość

Pomimo że wyniki nowych badań naukowców z Chicago są obiecujące, kolejne eksperymenty są konieczne, aby dopracować technologię, zanim będzie mogła znaleźć zastosowanie w ludzkich terapiach. Jednym z wyzwań jest na pewno ustalenie czasu ochronnego działania „odwrotnej szczepionki", które w doświadczeniu na myszach utrzymywało się kilka tygodni – nie wiadomo, ile będzie trwało u ludzi. Kolejnym potencjalnym problemem jest to, że układ odpornościowy może odzyskać pamięć o autoantygenie, co może oznaczać, że będzie konieczna dawka przypominająca, jak w przypadku zwykłych szczepionek, np. przeciwko grypie czy Covid-19. Między innymi na te pytania będą musiały odpowiedzieć badania kliniczne. Trzeba pamiętać, że sukces osiągnięty w modelach zwierzęcych nie zawsze przekłada się na ludzi.

W przyszłości, żeby stworzyć „odwrotne szczepionki" jako terapie wycelowane w konkretne choroby autoimmunologiczne, naukowcy będą musieli zidentyfikować konkretny autoantygen, który wywołuje niepożądaną odpowiedź układu odpornościowego. W przypadku niektórych chorób, takich jak łuszczyca, w środowisku naukowym toczy się debata, czy można mówić o jednym konkretnym autoantygenie. Z kolei w przypadku stwardnienia rozsianego takich autoantygenów jest kilka, co mogłoby sugerować konieczność ujęcia ich wszystkich w preparacie. Kolejnym istotnym aspektem są duże różnice osobnicze w funkcjonowaniu układów odpornościowych różnych ludzi. Biorą się one nie tylko z podłoża genetycznego, ale także z wpływu środowiska i indywidualnych doświadczeń, jakie nabywają nasze komórki odpornościowe.

Pomimo tych wyzwań, naukowcy patrzą w przyszłość z optymizmem. Na podstawie badań laboratoryjnych przeprowadzono już wstępne badania I fazy klinicznej „odwrotnych szczepionek" u osób cierpiących na celiakię – chorobę autoimmunologiczną obejmującą głównie jelita, związaną z nietolerancją glutenu. Z kolei badania pacjentów ze zdiagnozowanym stwardnieniem rozsianym są planowane w najbliższej przyszłości. Niedawne doniesienia ze świata nauki wskazują także na prace eksperymentalne nad szczepionkami opartymi na technologii mRNA, z sukcesem wypróbowaną w trakcie pandemii Covid-19, która może się również okazać pomocna w terapii niektórych chorób autoimmunologicznych.

© ANNA BARTOSIK

REKLAMA

# CYFROWA REWOLUCJA W MEDYCYNIE

TOMASZ GOTFRYD

**W Krakowie swoją działalność prowadzi Centrum Medycyny Obliczeniowej Sano – autonomiczna jednostka naukowa zaangażowana w badania i projektowanie innowacyjnych rozwiązań, które mogą przyspieszyć postęp w medycynie i usprawnić funkcjonowanie systemu opieki zdrowotnej.**

**PIOTR URBAŃCZYK: Czy nowoczesne technologie informatyczne wpływają na praktykę medyczną?**

**DR HAB. INŻ. MACIEJ MALAWSKI:** Medycyna rzeczywiście się zmienia. Podobnie jak wiele innych dziedzin nauki ewoluuje w kierunku cyfryzacji. To zjawisko jest szczególnie widoczne w medycynie obliczeniowej. Mówi się, że jest ona spersonalizowana – wykorzystuje techniki informatyczne w celu dostosowania diagnostyki i terapii do indywidualnych cech konkretnego organizmu i charakterystyki choroby. Ten proces jest wielopoziomowy i obejmuje różne aspekty: począwszy od poziomu molekularnego, przez komórkowy, poziom układów, organizmu jako całości, aż do poziomu interakcji pacjenta ze środowiskiem. Medycyna obliczeniowa ma dzisiaj możliwość korzystania z coraz większej ilości coraz dokładniejszych danych. W tym kontekście mówi się, że jest ona precyzyjna. Staje się również predyktywna, co oznacza, że za pomocą modeli komputerowych tworzonych dla konkretnego pacjenta możemy symulować przebieg jego choroby i różnych sposobów leczenia. W medycynie obliczeniowej proces ten nazywany jest tworzeniem „wirtualnego bliźniaka", co stanowi kolejny krok w kierunku zindywidualizowania terapii.

**DR INŻ. MARIAN BUBAK:** Dzięki takim wirtualnym kopiom możliwa staje się medycyna spersonalizowana. Cyfrowy bliźniak może pomóc przewidzieć ryzyko choroby, wziąć udział w wirtualnych testach leków, zaproponować zmiany w diecie i stylu życia oraz pomóc zidentyfikować terapie poprawiające samopoczucie i przedłużające życie.

**Wydaje się, że tworzenie cyfrowych sobowtórów to raczej domena wirtualnej rozrywki niż nauki.**

**MM:** Idzie o to, by stworzyć jak najdokładniejszy cyfrowy model pacjenta, uwzględniający zachodzące w jego organizmie procesy na poziomie fizycznym, chemicznym, biologicznym, często też psychologicznym, po to, by na takim „bliźniaku" móc planować terapię i przewidywać jej skutki. Samo pojęcie „bliźniaka" używane w tym kontekście wywodzi się z innych inżynieryjnych dyscyplin. Np. przy lotach kosmicznych pozostawia się na ziemi dokładną replikę kapsuły kosmicznej. Dzięki temu w razie awarii można różne sposoby naprawy najpierw testować na replice i dopiero po takich próbach przekazać astronautom instrukcje, jak mają postępować. W tym przypadku jest to model rzeczywisty, ale współcześnie z powodzeniem tworzy się modele cyfrowe i symuluje się zachowania tego typu układów. To inżynierskie, techniczne podejście można zastosować także do organizmu człowieka. W ten sposób powstaje dziedzina nauki, którą zajmujemy się w Sano.

**Jak buduje się takie modele?**

**MM:** Można je tworzyć w obrębie dwóch podejść. W pierwszym tworzy się modele fizyczne, które traktują organizm ludzki w sposób mechanistyczny. Są one sku-

teczne w rozwiązywaniu problemów medycznych znajdujących analogię w zagadnieniach typowo inżynieryjnych – np. problemy kardiologiczne, takie jak przepływ krwi, rozwiązuje się podobnie do problemów związanych z przepływem cieczy czy gazów w układach hydraulicznych i silnikach, a ryzyko pęknięć kości ocenia się analogicznie do ryzyka załamania konstrukcji mostu. Drugie podejście to modele oparte na analizie dużych danych, czyli uczeniu maszynowym i sztucznej inteligencji. Te modele są trenowane zwłaszcza na podstawie danych z obrazowania medycznego, lecz mogą być uzupełnione o dane na temat historii choroby, wyniki badań laboratoryjnych czy informacje o stylu życia pacjenta. Wyzwaniem dla nauki jest łączenie tych dwóch typów modeli w sposób, który umożliwia precyzyjne przewidywanie przebiegu choroby, a jednocześnie pozwala na wyjaśnienie – zarówno lekarzowi, jak i pacjentowi – dlaczego powinno się podjąć określone działania terapeutyczne.

### W jaki sposób z wyników Waszej pracy mogą skorzystać pacjenci i lekarze?

**MB:** Sano aktywnie współpracuje z lekarzami podstawowej opieki zdrowotnej. Organizujemy szkolenia i warsztaty z wykorzystania metod sztucznej inteligencji dla lekarzy i studentów medycyny. Dodatkowo wśród naszych pracowników są lekarze, którzy konsultują opracowywane przez nas rozwiązania pod kątem ich przydatności dla praktyki lekarskiej.

Nasza praca polega nie tylko na opracowywaniu innowacyjnych technologii, ale także na zmianie mentalności. Edukujemy i pokazujemy możliwości, co czasem wymaga od nas wyjścia poza strefę komfortu i zrozumienia rzeczywistości medycznej. To proces, który uczy nas pokory i pomaga lepiej zrozumieć potrzeby i wyzwania medycyny, którą staramy się wspierać.

### Jakie są Wasze cele i kierunki badawcze?

**MB:** Misją Centrum Sano jest rozwój nowych metod obliczeniowych i analizy danych z wykorzystaniem sztucznej inteligencji, algorytmów, modeli i technologii związanych z medycyną spersonalizowaną, opracowywanie systemów wspierających podejmowanie decyzji, a na podstawie wyników prac naukowych wprowadzenie do praktyki opieki zdrowotnej nowych rozwiązań diagnostycznych i terapeutycznych opartych na symulacjach komputerowych i analizie danych, wkład w nowe programy kształcenia dla potrzeb nowoczesnej, zindywidualizowanej medycyny, stymulowanie powstawania startupów rozwijających opracowane przez nas technologie.

**MM:** Nasze aktualne kierunki badawcze łączą dwa podejścia: modelowanie i symulacje oparte na modelach fizycznych, chemicznych, biologicznych oraz metody oparte na sztucznej inteligencji. Te ostatnie można rozróżnić ze względu na typy wykorzystywanych danych, co w zasadzie odzwierciedla strukturę naszych zespołów badawczych: modelowanie oparte na obrazowaniu medycznym, kliniczne dane tekstowe oraz indywidualne dane pacjentów, uwzględniające dane populacyjne, dane o zachowaniu, dane o stylu życia oraz dane pochodzące z urządzeń mobilnych. Dodatkowo zajmujemy się dwoma obszarami: obliczeniami i symulacjami dużej skali, związanymi z zastosowaniem technik obliczeniowych, superkomputerów, chmur obliczeniowych i obliczeń rozproszonych, oraz informatyką medyczną, obejmującą tworzenie interfejsu pomiędzy lekarzami a pacjentem, wirtualną rzeczywistość, wizualizacje oraz systemy robotyczne i haptyczne służące do wsparcia lekarza czy pacjenta. Te obszary są realizowane w Sano przez pięć zespołów badawczych.

### Prowadzenie badań z wykorzystaniem nowoczesnych technologii informatycznych w obszarze medycyny wydaje się kosztownym przedsięwzięciem.

**MB:** Sano działa jako fundacja, korzystając obecnie z finansowania z budżetu Komisji Europejskiej w ramach programu EU H2020 Teaming, programu Międzynarodowych Agend Badawczych Fundacji na rzecz Nauki Polskiej oraz subwencji Ministerstwa Edukacji i Nauki. W przyszłości planujemy, aby nasz model finansowania był podobny do modelu instytutów Fraunhofera, z częściowym oparciem na stabilnych środkach ministerialnych na badania. Dążymy do tego, aby Sano uzyskało pewien stopień samodzielności finansowej poprzez swoją doskonałość naukową, ubiegając się o fundusze w ramach europejskich i krajowych projektów badawczych. Przykładem takiego projektu, który obecnie realizujemy, jest In Silico World. Jego celem jest wykorzystanie modelowania komputerowego i cyfrowych symulacji do przyspieszenia rozwoju produktów medycznych oraz oceny ich działania w środowisku wirtualnym. Wreszcie, Sano ma wszelkie predyspozycje do zdobywania środków poprzez współpracę z sektorem biznesowym. Zaczynamy nawiązywać pierwsze współprace i relacje w tym zakresie. ©

**Zapraszamy na Life Science Open Space 2023: Collaboration and Innovation Summit for Health and Quality of Life organizowany przez Sano – Centrum Medycyny Obliczeniowej wraz z Klastrem LifeScience Kraków i Krakowskim Parkiem Technologicznym, 30 listopada – 1 grudnia, ul. Podole 60.**

**https://lsos.info/**

Projekt otrzymał dofinansowanie w ramach programu Horyzont 2020 - ramowego programu Komisji Europejskiej w zakresie badań naukowych i innowacji – umowa grantowa nr 857533 oraz z Programu Międzynarodowe Agendy Badawcze Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.

Fundusze Europejskie Inteligentny Rozwój
Rzeczpospolita Polska
FNP Fundacja na rzecz Nauki Polskiej
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

MATERIAŁ PARTNERA

# TAKI JESTEM, SPÓJRZ!

**MARCIN MASECKI, MUZYK:**

Zrealizowałem wiele spektakularnych projektów, ale często łatwiej jest zrobić pokaz fajerwerków, niż rozmawiać na scenie ze swoim wewnętrznym dzieckiem, wywoływać duchy przodków, przyglądać się swojej złożonej tożsamości.

**JAN BŁASZCZAK: W jakim byłeś wieku, kiedy wylecieliście do Kolumbii?**

**MARCIN MASECKI:** Miałem jakieś pół roku. Mój ojciec był klarnecistą i szukał możliwości wyjazdu z Polski. To był rok 1982. I wtedy przyszła do Pagartu taka oferta: wydział instrumentalny na Uniwersytecie w Popayán rozszerzał się o dział instrumentów dętych. Oni często szukali kadry w Europie Wschodniej, bo była dobrze wykształcona i tańsza od tej zachodniej. Ojciec to wziął i wyemigrowaliśmy. Początek mieliśmy filmowy, bo jak już dolecieliśmy do tego pięknego, uniwersyteckiego miasteczka u podnóża Andów, okazało się, że chwilę wcześniej doszło tam do trzęsienia ziemi i uniwersytet został zamknięty. I zrobiło się ciężko, bo ojciec nie miał pracy. Dopóki nie skończyły nam się oszczędności, zamieszkaliśmy w hotelu, a potem przygarnął nas miejscowy klasztor.

Na szczęście uniwersytet dość szybko stanął na nogi i już kilka miesięcy później rozpoczął się dla mnie okres błogiego dzieciństwa. Ojciec pracował niewiele, więc rodzice poświęcali mi dużo czasu. Wiele godzin spędzałem na dworze: było ciepło, ludzie byli towarzyscy. A w domu codziennie realizowałem z ojcem ćwiczenia muzyczne: rozwijanie słuchu, harmonia, dyktanda... Siedem lat to i dużo, i mało. Tak naprawdę niewiele pamiętam z tego okresu, to są raczej migawki, zapachy. Natomiast mam tam jakiś głęboki korzeń, który teraz zacząłem odkrywać.

**Masz jakieś muzyczne wspomnienia z tego okresu?**

Niewiele. Pamiętam bolera, bo w domu często słuchaliśmy Guillerma Portabalesa – wielkiego kubańskiego śpiewaka, bardzo wówczas popularnego. To w ogóle jest bardzo muzykalna część świata, a bolera są dla niej tym, czym dla nas muzyka klasyczna.

**W Twoich wspomnieniach ten czas jawi się sielsko, ale przecież w Kolumbii trwała wtedy wojna domowa. Nie odczuwaliście niebezpieczeństwa?**

To jest duży kraj i akurat w Cauce, czyli w naszym rejonie, było bezpiecznie. Natomiast mieliśmy znajomych, którzy wyemigrowali z nami i którzy osiedlili się w Bucaramandze, na północy. Tam było inaczej, ich córki nie mogły same chodzić do szkoły.

Mam jeszcze takie wspomnienie z wycieczki nad Morze Karaibskie, czyli przez pół Kolumbii. Pamiętam pola kokainy, które ciągnęły się po lewej i prawej stronie drogi aż po horyzont. I żołnierzy z karabinami, którzy stali na poboczu co paręset metrów. Nas jednak bezpośrednio nie dotknęła niestabilność tego kraju.

**Wspomniałeś o klasztorze i przypomniała mi się anegdota, że Ty w tej Kolumbii grałeś dla papieża. Czy coś pomieszałem?**

Było trochę inaczej. Rzeczywiście, papież miał swoje *tournée* po Ameryce Południowej i ja przywitałem go na lotnisku w Popayán. Byliśmy tam jedynymi Polakami, a dodatkowo ja byłem takim spektakularnym malutkim blondynkiem, więc wyszedłem do niego po kwiatowym dywanie. W tym celu wrzucili mnie w strój krakowiaka, którego ściągnięcie statkiem z Polski było podobno jakąś wielką operacją.

**Pamiętasz, jak się czułeś, kiedy wróciłeś do Polski? I czy o dziecku, które wyjechało z kraju w wieku sześciu miesięcy, można w ogóle powiedzieć, że „wróciło”?**

Przez te lata spędzone w Popayán kilkukrotnie odwiedziliśmy Polskę, poza tym w domu mówiło się po polsku – nigdy więc nie czułem się Kolumbijczykiem. Dodam, że zanim przylecieliśmy do Warszawy, spędziliśmy jeszcze półtora roku w San Francisco. Jak to dziecko, bardzo szybko łapałem języki, więc mia-

---

**MARCIN MASECKI**
jest pianistą, kompozytorem, aranżerem, a teraz także wokalistą. Absolwent Berklee College of Music w Bostonie. Przez lata związany z niezależną sceną Lado ABC. Nagrywa nokturny i ragtime'y, mazurki i przeboje przedwojennej Warszawy. Laureat Paszportu „Polityki” w kategorii „muzyka popularna”. Współtworca zespołu Jazz Band Młynarski-Masecki. Właśnie ukazała się jego nowa płyta „Boleros y más”.

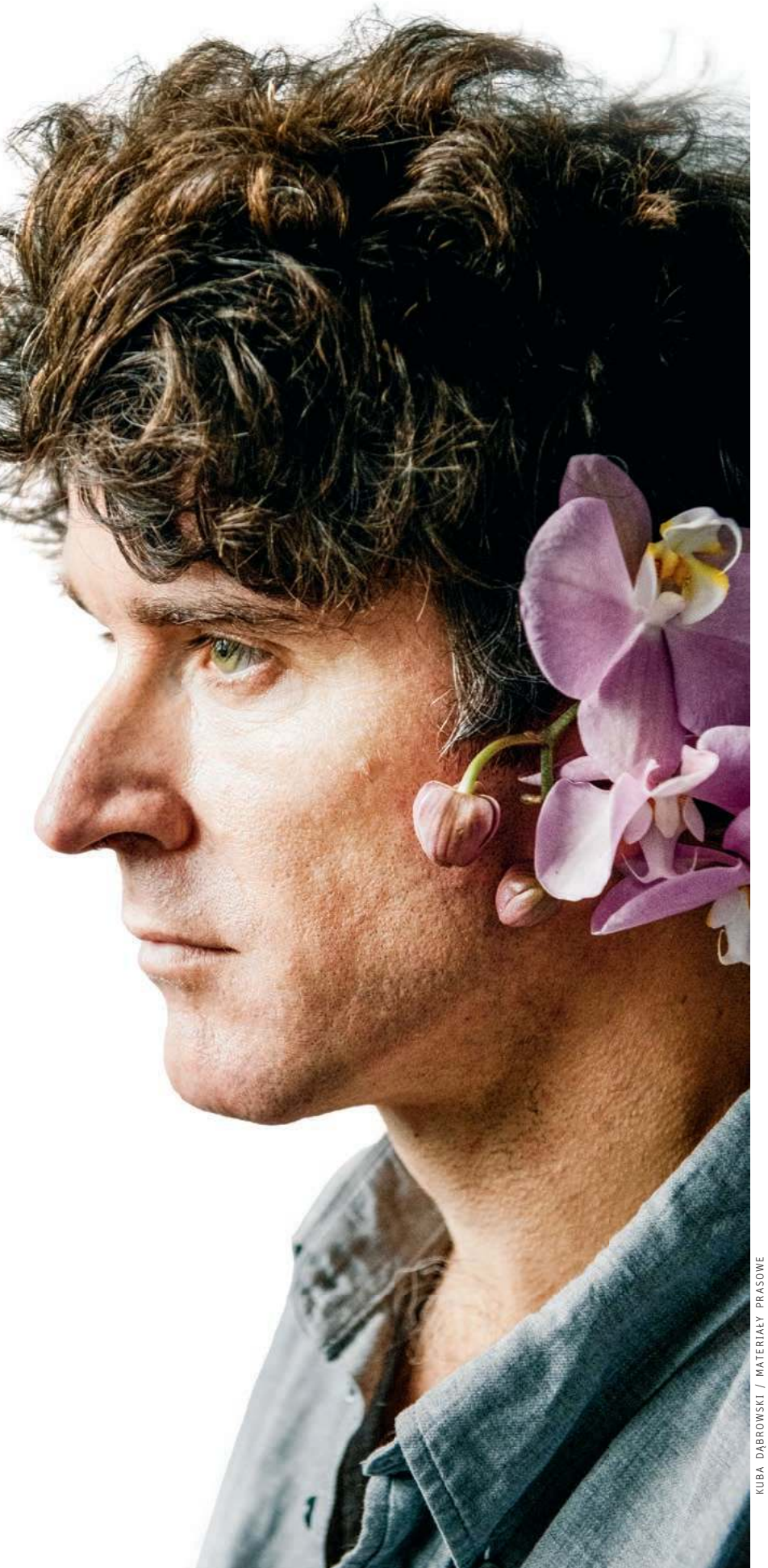

KUBA DĄBROWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

łem czym szpanować. Był rok 1990, może 1991, a ja miałem BMX-a i na podwórku byłem królem, bo przyjechałem ze Stanów Zjednoczonych. Miałem łatwe wejście. To był mój życiowy szczyt: bo mówiłem po angielsku z akcentem kalifornijskim i po hiszpańsku z akcentem kolumbijskim. Wtedy zacząłem też grać. To był dobry czas. Poza tym, że rodzina mi się rozwaliła. Koniec Kolumbii to był koniec małżeństwa moich rodziców.

**Do Stanów poleciałeś z mamą.**

Z mamą i jej nowym chłopakiem. Ale ojciec do nas dołączył, bo ten rozwód był taki ugodowy. Zawsze chciał odwiedzić Amerykę, zobaczyć Stany, więc chłopak mamy przygotował mu na piśmie zaproszenie. San Francisco okazało się dla mnie kluczowe, bo rodzice zabrali mnie na wycieczkę do Disneylandu, gdzie po raz pierwszy zobaczyłem, jak pianista gra ragtime na białym fortepianie. Wtedy tak naprawdę zakochałem się w muzyce. Wtedy coś się we mnie odpaliło.

**I tak zostało, w Warszawie od razu zacząłeś ćwiczyć.**

Tak, moja babcia uczyła mnie grać klasycznie na fortepianie. Mój dziadek był pianistą amatorem i przed, i po naszych lekcjach siadał do instrumentu i śpiewał argentyńskie tanga. Oni się poznali w Buenos Aires i to miejsce było dla niego takim rzewnym wspomnieniem. Dziadek przez całe życie kochał Argentynę i dawał temu wyraz, grając te tanga.

**Jak to się stało, że oni tam na siebie trafili?**

Moja babcia popłynęła tam z rodziną w 1933 roku – jej ojciec, a mój pradziad, Miłosław Stříbrný, został dyrektorem Banku Polskiego w Buenos Aires [chodzi o Banco Polaco, argentyńską filię PKO S.A. – JB]. Natomiast mój dziadek znalazł się tam w 1939 roku. I tak się poznali. Kiedy skończyła się wojna, wrócili razem do Polski i założyli rodzinę.

**Wydawałoby się, że mając taką rodzinę będzie Ci łatwiej kultywować te południowoamerykańskie wspomnienia, tę część Twojej tożsamości.**

Mój ojciec próbował rozmawiać ze mną po hiszpańsku. Kilka minut dziennie – bylebym nie stracił języka. To była ↦

↦ dla mnie tortura. Bo w tym wieku nie myślisz o tym, że to ci się może przydać albo że to twój kapitał kulturowy. Trwało to więc może przez kilka miesięcy, a później Kolumbia zeszła na dalszy plan. Zepchnęły ją inne sprawy, które pojawiły się w moim życiu. Dopiero kiedy na studiach w Bostonie poznałem Candelarię, która jest Argentynką, to wszystko zaczęło wracać. Nagle znów mówiłem po hiszpańsku, który wydobyłem z tej mojej podświadomej dziecięcej pamięci.

**I nawet wtedy nie chwyciłeś się za te tanga, cumbie i bolera?**

Nie, to wszystko wciąż było uśpione. Candelaria nie jest wielką argentyńską patriotką, pochodzi z mieszanej rodziny, w jej domu często mówiło się po angielsku. Żałowałem jedynie, że nie zdążyła poznać mojego dziadka – minęli się o rok. Jakby wiedział, że ma prawnuczkę pół-Argentynkę, toby oszalał z radości.

**Tak o to dopytuję, bo włączyłem „Boleros y más" i nagle usłyszałem melodię, którą znam przecież z Profesjonalizmu – jednego z twoich pierwszych składów.**

O, dobrze wyłapane! Tyle że to jest taka melodyjka, która towarzyszy mi od wielu lat – tutaj ubrałem ją po prostu w rytm cumbii. Ta płyta to jest zresztą niezły potwór Frankensteina – składa się z różnych elementów, wątków mojej dotychczasowej działalności. „Boleros y más" jest moim pierwszym popowym albumem, natomiast możesz w niej znaleźć wszystkie te rzeczy, które robiłem chociażby w Lado ABC: jest zabawa nagraniami, kolaż – to nie jest oderwane od przeszłości. Nawet jeśli jest w tym sporo sentymentalnego, popowego kiczu.

**Co się więc stało, że nagle postanowiłeś zająć się swoją południowoamerykańską historią? Czy to był proces, czy objawienie?**

Jakiś rok temu nagrywałem „Wariacje Goldbergowskie" w studiu Pasterka na Żoliborzu. Piotr Zabrodzki zgromadził tam stary, świetnie brzmiący sprzęt i nagrywa na taśmę. Podczas sesji porozumiewałem się z nim za pomocą mikrofonu, a słyszałem go w takim małym głośniku, wyglądającym jak z filmu Wesa Andersona. I mój głos tak świetnie w nim brzmiał, że na koniec sesji poprosiłem, abyśmy wykorzystali jeszcze te kilka minut, które zostało nam na taśmie, i nagrali jedną piosenkę. I zaśpiewałem wtedy „Aquellos ojos verdes" – nie wiem, skąd to do mnie przyszło. Jednak na pewno zainspirowała mnie ta barwa. Potem odsłuchiwałem to nagranie, puściłem je paru osobom i zaczęło to we mnie pracować. Zaczęło to coś ze mnie wyławiać.

**Barwa barwą, ale jednak musiałeś znać ten utwór na pamięć, żeby go tak spontanicznie wykonać.**

Tak, znałem go na pamięć – w ogóle się do tego nie przygotowałem. Teraz, jak o tym myślę, to znaczenie musiał mieć Młynarski-Masecki Fortet – wersja naszego zespołu, w którym łączyliśmy z Janem polską muzykę rozrywkową z międzywojnia z muzyką południowoamerykańską z tego samego okresu, z której przecież bardzo mocno czerpaliśmy. Te nasze wielkie przeboje – „Ta ostatnia niedziela" i tak dalej – to są przecież argentyńskie tanga. Zacząłem wtedy powoli flirtować z Ameryką Południową, odkrywać ją na nowo. Wtedy w studiu ten utwór na mnie spadł, ale nie spadł z kosmosu.

**Na „Boleros y más" trafiło zarówno tango, jak i cumbia czy wenezuelski walc – od Meksyku aż po Argentynę. Jak wyglądał proces doboru tych utworów czy tańców?**

Z każdym z nich wiąże się osobna historia. Dla przykładu, kilka lat temu Jan zaraził mnie miłością do mandoliny. Dzięki niemu zafascynowałem się instrumentem, który zawsze uważałem za zupełnie idiotyczny. Nagle go dla siebie odkryłem i zacząłem na nim grać. Zaprosiłem do Polski wielkiego wirtuoza Mike'a Marshalla, żeby zagrać z nim duet. Przywiózł ze sobą książeczkę o brazylijskim choro, którą sam zresztą wydał, bo jest propagatorem tego gatunku. Zupełnie tego nie znałem, ale ta muzyka momentalnie do mnie trafiła. Do tego stopnia, że sam zacząłem dystrybuować ją wśród znajomych. I tak na płytę trafiło choro.

**A wenezuelski walc? O tym kraju jeszcze nie rozmawialiśmy.**

Tutaj zaczęło się od filmu „Ghost World", w którym Steve Buscemi gra kolekcjonera płyt i w pewnym momencie puszcza właśnie dwa stare walce: „Miranda" i „Las Palmas De Maracaibo". Zawsze bardzo lubiłem te utwory i podczas pandemii – kiedy nie bardzo było wiadomo, co ze sobą zrobić – zacząłem szukać innych utworów ich twórcy – Lionela Belasco. Znalazłem tylko zestaw siedmiu fortepianówek i nic więcej. Na jego ostatniej stronie zobaczyłem jednak pieczątkę: „Eleonor Ramirez Universidad de Caracas". Napisałem więc mail z pytaniem, czy ktoś taki u nich pracuje i czy mógłbym się z nim porozumieć. Dostałem adres i rozpoczęliśmy korespondencję. Długą, bo Eleonor początkowo zupełnie nie rozumiał, o co mi tak naprawdę chodzi. W końcu chyba go przekonałem, że naprawdę żywo mnie to interesuje, bo w załączniku przesłał mi jakieś masakryczne ilości nut, których zbieranie było dziełem jego życia. Zacząłem to przeglądać i głowa mi wybuchła. To była salonowa, użytkowa muzyka, więc nie wszystko tam jest genialne, ale zagłębianie się w te walce było czymś wspaniałym. Tym bardziej że towarzyszyło temu poczucie odkrywania czegoś, czego nie ma w internecie. I tak na płytę trafił walc wenezuelski.

**Sięgasz tu jednak nie tylko po utwory i tradycje nieznane szerszej publiczności, ale także hity, które polski słuchacz może znać z wykonań wielkich gwiazd: Julia Iglesiasa, Andrei Bocellego...**

...czy Nata Kinga Cole'a, bo „Solamente Una Vez" usłyszałem po raz pierwszy w jego wykonaniu. Śpiewał po hiszpańsku z takim grubym amerykańskim akcentem – to było bardzo urocze, ale też wspaniale zaaranżowane. Co ciekawe, ten utwór przyszedł do mnie też od Jana za sprawą „Wspominałem ten dzień" z repertuaru Warszawskiego Combo Tanecznego, który jest jego tłumaczeniem. Nie odnoszę się jednak do innych wykonań, choćby dlatego, że niektóre z tych utworów śpiewali wszyscy: od kiczowatych gwiazd po nieznanych, lokalnych śpiewaków, bo takie pieśni jak „Solamente Una Vez" czy „Mi Buenos Aires Querido" to są po prostu hymny. Co nie zmienia faktu, że ten drugi utwór to najbardziej osobisty moment tej płyty.

**Z jakiego powodu?**

Bo to tango jest tak po chopinowsku polskie. Jest podane w takim listopadowym sosie. A przynajmniej tak je odbieram, bo ja nie próbuję też udawać, że je-

ARCHIWUM PRYWATNE MARCINA MASECKIEGO

*Pięcioletni Marcin Masecki tańczący cumbię w Kolumbii*

stem Argentyńczykiem. Każdy z tych utworów łapię po swojemu i filtruję przez swoją wymieszaną tożsamość.

**Jako aranżer, pianista, ale także wokalista. Czy uczyłeś się kiedykolwiek śpiewu?**

Nigdy, to jest dla mnie zupełna nowość. Jedyne moje wcześniejsze doświadczenia w tym zakresie to śpiewanie techniczne – śpiewasz dźwięki, żeby zrozumieć ich wysokości i interwały między nimi. Natomiast nigdy nie opowiadałem głosem historii, nie przekazywałem nim emocji. Candelaria pokazała mi kilka rzeczy o oddychaniu, o aparacie, bo ona jest szkoloną wokalistką. Ja mam wrażliwość, pomysł i wszystko inne, ale nie mam wyrobionego instrumentu, którym w tym wypadku jest gardło. Wskazówki od Candelarii pomogły mi budować ten aparat, ale wciąż jestem naturszczykiem.

**Od lat wykonujesz muzykę na instrumencie, który masz opanowany w stopniu wirtuozowskim, a tu nagle instrument, w którym stawiasz pierwsze kroki. Czy śpiewając, czułeś taką dawno zapomnianą ekscytację?**

Zawsze jak gram, czuję ekscytację. Taką samą dzisiaj, jak trzydzieści lat temu, kiedy zaczynałem. Teraz jednak doszło do tego przerażenie. To nie tylko nowy instrument – przy fortepianie siedzę bokiem do ludzi, więc jest po prostu bezpieczniej. Teraz patrzę na nich, otwieram buzię i w dodatku opowiadam historię – to jest bardzo przejmujące, ekscytujące i przerażające zarazem. Ale w jakiś taki dobry sposób. Cały zestaw nowych emocji.

**Wspomniałeś, że to jest Twój pierwszy popowy album, ale od jakiegoś czasu w Twojej twórczości mniej jest eksperymentu. Nagrywałeś Chopina, Warsa, muzykę do „Zimnej wojny" – zmęczyłeś się buntem?**

Jeśli już, to nie samym buntem, ale pewnymi oczekiwaniami. Pamiętam recenzję Doroty Szwarcman, która pisała chyba o moich nagraniach Beethovena. Treść była mniej więcej taka, że Marcin to po prostu zagrał, a spodziewaliśmy się przecież, że coś odwróci do góry nogami, że zacznie czymś żonglować. A on zagrał i tyle. Na przykład mam coś takiego, że jak gram, to macham nogą. Czasami troszkę nią majtam, a innym razem ona znajduje się nagle koło mojego ucha. Wiem, że to barwny element moich występów, ale wielu ludzi bardzo się na tym skupia. Czasem wydaje mi się, że za bardzo. Generalnie wyznaję zasadę, że artysta robi swoje, a co weźmie z tego odbiorca, to jest jego. I ja nie chcę się w to angażować, nie chcę tego kontrolować. Niemniej czasem mnie to irytuje.

**Mnie się wydaje, że to się po prostu ze sobą dobrze klei: szalony wirtuoz – sprawdzona figura.**

Wiadomo, tak działa człowiek, tak działa kultura. Ja wiem na przykład, że dorobiłem się pewnej pozycji i niezależnie od tego, co zagram, mam łatkę wariata geniusza. Nic z tym nie zrobię. „Masecki jest pierdolniętym geniuszem" – parę mądrych osób to powiedziało, więc nawet jeśli nie rozumiemy, co robi albo nam się to nie podoba, to na pewno tak jest. Tak jest wygodnie. I ja rozumiem ten mechanizm, ale dziwnie jest być jego częścią. Bo czuję, że to już nie jest o mnie. To jest o pewnym zjawisku, którego stałem się częścią.

**Czy mając świadomość takiej łatki, tym chętniej nagrywasz przystępną, popową płytę, idąc trochę w poprzek takim wyobrażeniom?**

Wiesz co, ja nie myślę w ten sposób. Nie zastanawiam się, co teraz powinienem nagrać. Mam to szczęście, że pomysły same do mnie przychodzą. Często przez spotkania z ludźmi. Tak było w przypadku Jazz Bandu, Profesjonalizmu, Polonezów. Coś mnie prowadzi, a ja się temu nie opieram. To wychodzi z mojej relacji ze sobą, z moją rodziną, bliskimi mi muzykami – to jest jakaś piękna, meandrująca rzeka. Cieszę się, że ją słyszę, że jestem na nią wrażliwy, że jestem jej częścią. Inna sprawa, że „Boleros y más" wymagało ode mnie więcej odwagi niż rozmaite wcześniejsze produkcje.

**Dlaczego?**

Bo to jest intymna płyta, bo to jest otworzenie się przed odbiorcą. I już dostaję *feedback*, że ludzie to doceniają. Ja przecież wiem, że nie jestem wielkim wokalistą, ale jedyne, co mogę zrobić, co może zrobić artysta, i w ogóle człowiek, to się otworzyć i powiedzieć: „taki jestem, spójrz". Wcześniej zrealizowałem wiele spektakularnych projektów, ale często łatwiej jest zrobić pokaz fajerwerków, niż rozmawiać na scenie ze swoim wewnętrznym dzieckiem, wywoływać duchy przodków, przyglądać się swojej złożonej tożsamości. I zdaję sobie też sprawę, że nie każdy jest zainteresowany taką bliskością.

**Jedyny dystans, jaki pozostał, to język. Śpiewasz po hiszpańsku, więc większość odbiorców nie będzie rozumiała tych tekstów. Czy z tego powodu to dzielenie się sobą było odrobinę łatwiejsze?**

Wiesz, hiszpański to jest w zasadzie mój pierwszy język, ale tak, być może masz rację. Na przedpremierowym koncercie zaśpiewałem na koniec jedną piosenkę po polsku – tango „W błękicie oczu twych". I rzeczywiście zrobiło się jakoś inaczej. Być może ten hiszpański to jest jakiś mój ostatni bastion. Ostatnia zasłona, za którą mogę się trochę schować.

© Rozmawiał JAN BŁASZCZAK

*Autor jest redaktorem portalu dwutygodnik.com*

# Nowe szaty „Cracovii”

BEATA CHOMĄTOWSKA

**Po sześciu latach od zakupu przez państwo dawnego hotelu Cracovia wybrano projekt jego przebudowy, zgodny z przyszłą muzealną funkcją. Pytanie, jak długo przyjdzie teraz czekać na realizację.**

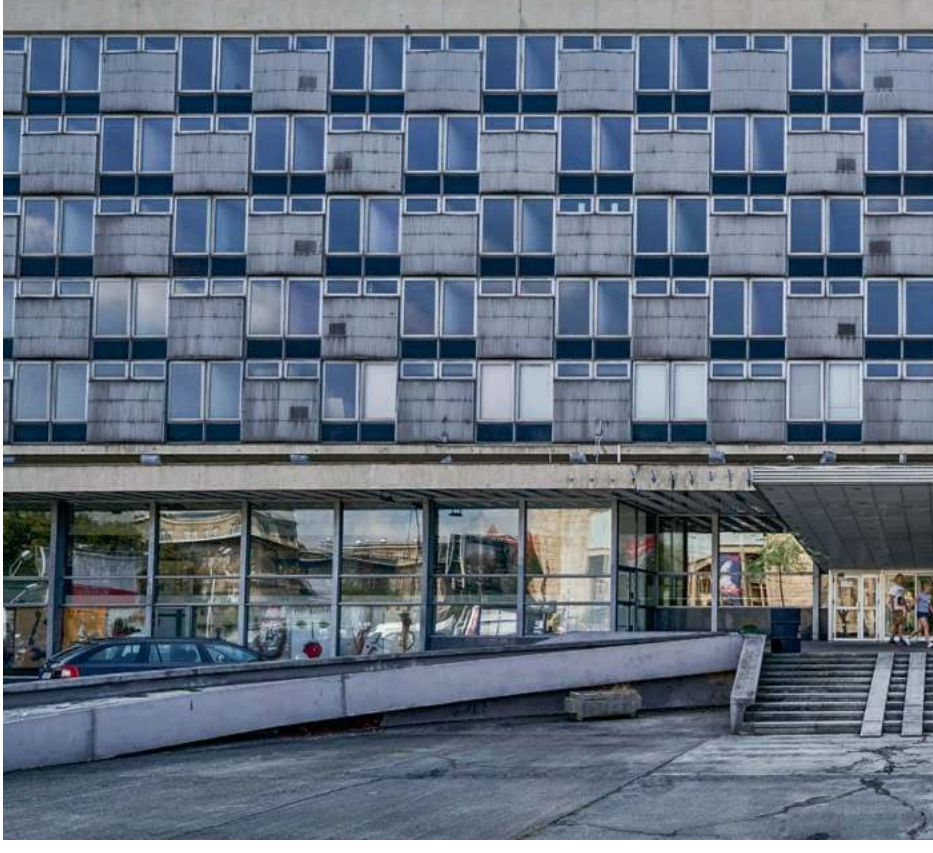

Ma być tak: w przyziemiu dawnego krakowskiego hotelu przestrzenie do wspólnej pracy i lokale dla twórców, ulokowane po wschodniej stronie poprzecznego pasażu biegnącego przez środek gmachu. Po zachodniej: plac zabaw, kawiarnia i pomieszczenia do obsługi zwiedzających. Na górze, w dawnym reprezentacyjnym hallu, kasy biletowe i hale wystawowe Muzeum Architektury i Designu. Nad dawną częścią restauracyjną, w nadbudowie – magazyn muzealny. A co na zewnątrz? Po północnej, ruchliwej stronie budynku – plac z miejscem dla plenerowych ekspozycji, a po południowej – kameralny, wyciszony ogród, oba połączone pasażem. Na ostatniej kondygnacji pawilon restauracyjny z widokiem na panoramę Błoń, Półwsia Zwierzynieckiego, wzgórza św. Salwatora i kopca Kościuszki. Powyżej – na poziomie dachu – taras widokowy.

To wizja przyszłości Cracovii i jej najbliższego otoczenia, jaką przedstawił zespół Biura Projektów Lewicki i Łatak, zdobywcy pierwszej nagrody w konkursie zorganizowanym przez Muzeum Narodowe w Krakowie przy wsparciu Stowarzyszenia Architektów Polskich. Zadaniem było zaproponowanie pomysłów na przebudowę i dostosowanie budynku do potrzeb nowej instytucji. O ulokowaniu tu Muzeum Architektury i Designu mówiono od 2017 r., kiedy resort kultury odkupił Cracovię za 29 mln zł od dotychczasowego właściciela, firmy Echo Investment, i przekazał ją na rzecz sąsiedniego Muzeum Narodowego. Od tamtego czasu toczyła się, zainicjowana przez dyrekcję muzeum, kilkuletnia debata publiczna na temat przyszłości miejsca. Uczestniczył w niej sam główny autor projektu budynku, Witold Cęckiewicz, wówczas już ponad 95-letni – taka sytuacja to ewenement w przypadku dzieł architektury projektowanych przez twórców z przedwojennym rodowodem i tak znaczącym dorobkiem. Świadom zalet i wad Cracovii Cęckiewicz był wyczulony na punkcie jej dalszych losów. Konkurs ogłoszono wiosną 2023 r., raptem kilka miesięcy po śmierci architekta.

– Trudno dla nas, jako byłych studentów prof. Cęckiewicza, architektów krakowskich i mieszkańców Krakowa, mieć do tego obiektu stosunek obojętny – mówi Piotr Lewicki, współautor zwycięskiej koncepcji, nagrodzonej „za największą atrakcyjność przedstawionych rozwiązań architektonicznych i zagospodarowania terenu” (z werdyktu jury). – Nasza pracownia znajduje się w odległości 500 metrów od Cracovii, mijamy ją średnio dwa razy dziennie i każdy z nas ma z nią bliskie związki różnego rodzaju. Dlatego w naszym zespole pracował również Dariusz Herman, który pochodzi z Koszalina i ma inne spojrzenie. Jego wypowiedzi służyły często podczas dyskusji projektowych jako kontrapunkty dla grupy krakowskiej – dodaje Lewicki. – Ten projekt to nasze credo, podsumowanie i manifest. Prowadzimy w nim pewnego rodzaju dialog z Cęckiewiczem, naszym nauczycielem.

### Cacko rodem z Zachodu

„Łatwo to było pomyśleć, ale trudniej to będzie zrobić” – tę frazę słyszał wielokrotnie Cęckiewicz podczas prac nad projektem Cracovii. Padała, ilekroć jakiś element wychodził poza powszechnie przyjęte, zgeometryzowane formy. W latach 60. polscy architekci nie korzystali przecież z komputerów. Każda krzywa linia wymagała precyzyjnych obrysów, uzupełnionych przekrojami i gęstą siecią współrzędnych. A powstawaniu rysunków towarzyszyły obawy, czy aby na pewno wykonawca dopilnuje, by rezultat przypominał ten widniejący na papierze.

A jednak się opłacało. Pierwsza bogato przeszklona kurtynowa ściana w Polsce, żelbetowa, wsparta na słupach i ścianach poprzecznych konstrukcja, wykorzystanie gotowych prefabrykatów – nowatorskie rozwiązania, wyraźnie nawiązujące do zachodnich wzorców, zgodne z wytycznymi Le Corbusiera. Po latach socrealizmu Cracovia, tworząca zespół wraz z sąsiednim kinem Kijów, była niczym objawienie i dziś uchodzi za symbol odwilży w polskiej architekturze po październiku 1956 r. Nikt dotąd nie budował tak odważnie, z takim rozmachem. Proste, kubiczne bryły, uwolnienie ścian zewnętrznych budynków od

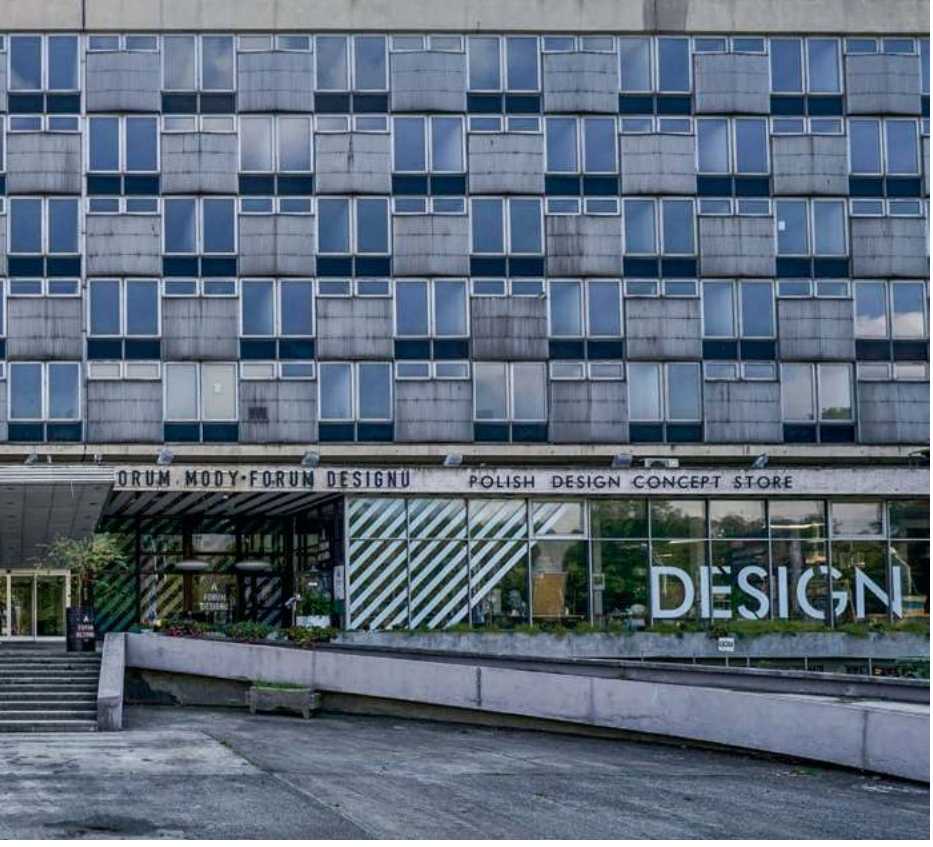


PAWEŁ ULATOWSKI / FORUM ULATOWSKI / FORUM

*Budynek byłego hotelu Cracovia, 2018 r.*

funkcji nośnej, umożliwiające dowolne kształtowanie fasad, powtarzalne, nadające się do masowej produkcji moduły i duże przeszklone powierzchnie to cechy modernizmu międzynarodowego, który dzięki Cęckiewiczowi i jego współpracownikom wkroczył do centrum Krakowa.

Budowa hotelu w tym punkcie miasta – naprzeciw Muzeum Narodowego, obok Błoń, z osią widokową na kopiec Kościuszki i zalesione wzgórza Sikornika nie była przejawem wizjonerskiego myślenia ówczesnych krakowskich władz, jak można by dzisiaj przypuszczać. W 1956 r. przy Błoniach, w miejscu, gdzie później wyrosła Cracovia, stał szkielet ogromnej, niedokończonej konstrukcji, długiej na ponad sto metrów, z gotowym parterem i pierwszym piętrem – niedoszłej siedziby związków zawodowych, której budowa ruszyła pięć lat wcześniej. A że w międzyczasie rola związków zawodowych w Polsce Ludowej zmalała, wzrosło zaś znaczenie partii, władze zmieniły koncepcję, planując, że w tym eksponowanym miejscu znajdzie się gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

Ale przyszedł Październik, a potem w Krakowie pojawił się przedstawiciel Orbisu, który chciał w tym mieście zbudować hotel i zastanawiał się nad lokalizacją. Przedsiębiorstwo na poodwilżowej fali nawiązywało relacje z zagranicą i potrzebowało reprezentacyjnej bazy dla gości. Zwróciło się do Witolda Cęckiewicza, wówczas głównego architekta miasta, cieszącego się już sporą sławą jako projektant. Ten zaproponował najpierw działkę przy rondzie Mogilskim, a jako alternatywę – miejsce przy Błoniach, gdzie stała rozpoczęta konstrukcja. Orbisowi przypadło do gustu miejsce, ale uznał, że najpierw trzeba wyburzyć istniejący szkielet. Na to nie zgodziły się władze. Architekci zostali więc zmuszeni do jego częściowego wykorzystania – tak, by jednocześnie spełnić wymagania biura podróży.

Inwestorowi tak zależało na inwestycji, że sfinansował zespołowi architektów wyprawę studyjną, dzięki której mogli zobaczyć Paryż i Włochy, przywożąc stamtąd inspiracje. Miały sprawić, że hotel będzie pod każdym względem „naj". Najdłuższy, największy, najnowocześniejszy. Nie tylko w Krakowie, ale w całej Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. Zespół wywiązał się z zadania popisowo. Jednocześnie Naczelny Zarząd Kinematografii zgłosił się do Cęckiewicza z propozycją zaprojektowania najnowocześniejszego w Polsce kina do obsługi międzynarodowych festiwali filmowych – przyszłego Kijowa, więc za jednym zamachem powstał projekt całego kompleksu.

Prasa ogłosiła konkurs na nazwę hotelu. Ze względu na szachownicową kompozycję ściany kurtynowej triumfy święciło „Domino". – Ale w końcu stanęło na „Cracovii", bo skoro „Kijów" (a ta nazwa była narzucona od samego początku), to niech będą dwa zaprzyjaźnione miasta – Kraków i Kijów – wspominał Cęckiewicz w rozmowie z Dorotą Leśniak-Rychlak.

Otwarcie Cracovii było wydarzeniem. Mieszkańcy, którzy dotąd zatrzymywali się przy ogrodzeniu budowy, oglądając wywieszone tam gabloty z makietami budynku, „wchodzili do wnętrz i rozdziawiali dzioby z zachwytu" – jak ujął to sam architekt. I to wszystko mimo nieustających zderzeń z ówczesną PRL-owską rzeczywistością gospodarczą, wobec których kapitulowali nawet inwestorzy, najzagorzalsi wszak orędownicy nowoczesności powstających budynków.

Kiedy przedstawiciel Orbisu usłyszał, że w Cracovii ma powstać przeszklona ściana kurtynowa ze stolarką aluminiową, załamał ręce: „Przecież premier zabronił stosowania aluminium". Cęckiewicz jednak postawił na swoim – aluminium dostarczyła na jego ryzyko huta w Bielsku-Białej, wysyłająca większość produkcji do ZSRR. Dzięki temu Cracovia i Kijów bronią się też pod względem jakości wykonania, co bynajmniej nie było standardem dla większości polskich inwestycji z tego okresu.

### Krakowski Piazza del Campo

Przy okazji Cęckiewiczowi udało się zrealizować plany znacznie wcześniejsze – bo już projekt Wielkiego Krakowa z 1912 r. zakładał przekształcenie tej części miasta w reprezentacyjne założenie o skali europejskiej. Wskazano wówczas miejsce pod przyszłe Muzeum Narodowe, a naprzeciwko wyznaczono linię przeciwległej budowli. Hotel wskazał perspektywę na kopiec Kościuszki i domknął plac, kino zaś stało się swoistą witryną sztuki, widoczną od strony Alei Trzech Wieszczów. I do tego myślenia odwołują się zwycięzcy obecnego konkursu.

– Ten budynek powstał w połowie lat 60., zgodnie z regułami i możliwościami, jakie definiowały ówczesną architekturę, więc nie odczuwaliśmy potrzeby, aby poprawiać po Cęckiewiczu, bo potrzebna byłaby np. ładniejsza elewacja albo obcięcie bocznych słupów. Traktujemy to przedsięwzięcie bardziej ↦

↦ jako urbanistyczne – mówi Piotr Lewicki i podaje jako analogię Neue Nationalgalerie w Berlinie projektu Miesa van der Rohego, którą niedawno zajmował się David Chipperfield. Naprawił techniczne kwestie, odświeżył budynek i nie miał potrzeby odciskania nań swego piętna. – Bardziej interesuje nas, jak Cracovia ma funkcjonować w szerszym, ogólnomiejskim kontekście, odczytywanym w skali od rejonu Młynówki Królewskiej po Wawel. I doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie, gdy przed nią znajdzie się miejski plac, z tyłu ogród, a parking pod spodem.

W zamierzeniu Cęckiewicza cały plac między Cracovią a Muzeum Narodowym, po odpowiednim przekształceniu układu komunikacyjnego i ulokowaniu pod nim podziemnych parkingów, miał być wykorzystywany na zmienną ekspozycję różnych dziedzin sztuki. I to było od początku jedno z największych wyzwań. Przebudowa całego kompleksu urbanistycznego oznaczałaby gigantyczną inwestycję wymagającą sprawnego współdziałania władz centralnych i samorządowych, kosztowną zarówno pod względem finansowym, jak i społecznym, bo wiązałaby się z przełożeniem linii tramwajowej lub przekierowaniem ruchu samochodowego tak, by na placu został tylko tramwaj. Świadomi tego, autorzy zwycięskiej propozycji przekierowali środek ciężkości gdzie indziej.

– Plac przed Muzeum Narodowym to część szerszej sekwencji urbanistycznej w linii północ–południe, na którą składają się plac Inwalidów, park Krakowski i park Jordana – mówi współautor pracy, Krzysztof Łatak. – Tymczasem właściwym placem muzealnym będzie nowy plac przed Cracovią i kinem Kijów, z pasażem i dziedzińcem, który przybliża cały ten układ w stronę Wisły. Obecnie ten kwartał ma wewnątrz ogród obniżony o jeden poziom, z czego nikt nie korzysta.

– Dostrzegliśmy w nim jedno z takich miejsc w Krakowie, które mają ogromny potencjał, a są niewykorzystane – podobnie było z dziedzińcem Muzeum Czartoryskich, obecnie oddanym mieszkańcom i turystom. Nadajemy mu charakter publiczny, ale odmienny od placu zewnętrznego, tworząc dziedziniec miasta: wewnętrzny ogród – dodaje Lewicki. Projekt obejmuje też budynek mieszkalny zamykający perspektywę ulicy Smoleńsk, który pełni w tym założeniu funkcję campanili – świadomie, zważywszy na związki Cęckiewicza z architekturą włoską. Przestrzeń wokół trzech brył i placu między nimi otwiera się na osi południe–północ aż do bulwarów wiślanych, co będzie stanowić rozwinięcie myśli Cęckiewicza.

*Hotel Cracovia w 1968 r.*

STANISŁAW DĄBROWIECKI / PAP

Podobne podejście do Cracovii – jako szerszego założenia, łączącego przeszłość z przyszłością, przyjęli też inni uczestnicy konkursu, jak śląsko-brytyjsko-urugwajski zespół z udziałem Wojciecha Fudali i Justyny Boduch. W ich projekcie, który zdobył wyróżnienie, też główną rolę odgrywa miejska oś, wytyczona dzięki podziemnej promenadzie przez nowy miejski ogród i kino Kijów aż do Wisły.

Za inspirację do zwycięskiej propozycji pracowni Lewickiego i Łataka posłużyły trzy rozwiązania z Europy, dobrze odbierane zarówno przez mieszkańców, jak i turystów: wieżowiec Pirelli w Mediolanie naprzeciwko dworca centralnego, również z lat 60., któremu przywrócono dawny blask; a w kontekście wnętrz urbanistycznych – plac przed Centrum Pompidou w Paryżu nachylony w kierunku wejścia, oraz Piazza del Campo w Sienie. Nachylenie terenu pozwala na odcięcie się od ruchliwych ulic dookoła i przekierowuje uwagę na fasadę budynku.

### Potrzeby epoki

Kompozycja elewacji Cracovii nawiązywała do abstrakcji geometrycznych, malarstwa Mondriana i reliefów Stażewskiego. We wnętrzu, projektowanym przy pomocy wybitnych plastyków, co było rozwiązaniem precedensowym, znalazły się złota mozaika, serpentynowe schody i posadzki z marmuru. Niektóre spośród zastosowanych wówczas pomysłów wróciły dopiero dekadę później podczas budowy warszawskiego Supersamu. Analogie można prześledzić na zdjęciach, bo Supersam z krajobrazu stolicy zniknął na zawsze – wbrew protestom miłośników architektury zburzono go już w kapitalistycznej Polsce.

Mało brakowało, a podobny los spotkałby również opustoszałą Cracovię, po zamknięciu hotelu służącą latami za wieszak dla wielkoformatowych reklam. Choć ze względu na walory architektoniczne wpisana była do ewidencji dóbr kultury, Echo Investment chciał ją wyburzyć, zastępując galerią handlową lub zespołem biurowców. Do jego uratowania najbardziej przyczynili się społecznicy z Fundacji Instytut Architektury i Stowarzyszenia Przestrzeń-Ludzie-Miasto (jak Cecylia Malik i Mateusz Okoński), któ-

MATERIAŁY PRASOWE

*Makieta zwycięskiego projektu przebudowy budynku byłego hotelu Cracovia autorstwa Biura Projektów Lewicki i Łatak, 2023 r.*

rzy organizowali protesty i pisali petycje w obronie budynku.

– Sprawa dalszych losów Cracovii budzi we mnie dużo mieszanych emocji – przyznaje Dorota Leśniak-Rychlak, prezeska Instytutu Architektury i jedna z organizatorek akcji, która pozwoliła ocalić budynek. Mówi, że dziś – podobnie jak jej współpracownicy – znajduje się w zgoła innym punkcie niż wówczas, gdy najważniejszym tematem była ochrona zabytków modernistycznej architektury. – Katastrofa klimatyczna, wojna w Ukrainie, pandemia: te wszystkie czynniki sprawiły, że stawiamy sobie pytania, czy jest sens powoływać nowe instytucje kultury, jeśli miałoby to wiązać się z marnowaniem tego, co już istnieje, i wykorzystywaniem nowych materiałów, których produkcja nie jest obojętna dla środowiska.

Cracovia składa się bowiem z dwóch wyraźnie rozdzielonych części: o ile dolna, dwupoziomowa, dziś mieszcząca sklepy, miejsce po restauracji, halle komunikacyjne i zabudowane dawne patio zmienione w główną salę kasyna, aż prosiła się o dostosowanie do potrzeb powstającego muzeum, to z górną, pięciokondygnacyjną częścią hotelową rzecz miała się zgoła inaczej. Ponad trzysta niewielkich pomieszczeń, wszystkie wyposażone w podobnej wielkości łazienki z węzłami sanitarnymi, ze względu na swój standard byłyby trudne do adaptacji na cele wystawiennicze, a nawet na zaplecze biurowe czy konserwatorskie. Poza tym ściany i płyty stropowe części hotelowej zbudowano z wielkowymiarowych prefabrykatów, co wymusza przebudowę poszczególnych pięter w całości. I to drugie główne wyzwanie, z jakim musieli zmierzyć się dziś architekci.

– Zagospodarowanie przestrzeni od strony kina Kijów na ogród oceniam na plus. Pytanie, czy plac przed Cracovią będzie wybetonowany, jak sugerowałyby wizualizacje, czy pojawi się tam zieleń, na którą byłoby miejsce. Kluczowe jest to, jaka część oryginalnej struktury, w tym również elewacji, ostatecznie ocaleje, a jaką obejmie rekonstrukcja – mówi Leśniak-Rychlak.

Autorzy wybranej propozycji zapewniają, że wartość budynku Cracovii będzie tym większa, im więcej z niego zostanie, mimo zmiany funkcji z hotelowej na muzealną. Dlatego starali się odpowiedzieć na to zapotrzebowanie z poszanowaniem istniejącej struktury. – Paradoksalnie okazało się, że ograniczenie do ram budynku daje niezwykłe możliwości przestrzenne: długie perspektywy, niskie wnętrza, dodatkowe, a nieoczywiste przestrzenie wystawiennicze, jak stary hall windowy – mówi Piotr Lewicki. – Jednocześnie budynek otwiera się na plac, gdzie też znajdzie się miejsce na ekspozycję. Funkcja hotelowa zostanie jako eksponat: jeden lub kilka pokoi hotelowych, natomiast pierwszym i najważniejszym eksponatem tego Muzeum Architektury będzie sam budynek, który ogląda się jako obiekt, z zewnątrz.

Krzysztof Łatak dodaje, że ich celem jest naprawianie, a nie odrzucanie. Porównują to podejście do japońskiej techniki *kintsugi*, gdzie łączenie kawałków ceramiki złotą laką tworzy nową jakość.

## Czynnik polityczny

Walka o zachowanie dawnego hotelu jako części bezcennego kompleksu urbanistycznego trwała kilkanaście lat. Ostatecznie rozstrzygnęło ją państwo. Kolejnych sześć lat zajęły dyskusje i ustalenia w szerokim gronie poprzedzające konkurs, którego wyniki ogłoszono tuż po wyborach. Pytanie, na ile nowa władza, zapowiadająca przegląd projektów już rozpoczętych lub planowanych przez odchodzącą rządową ekipę, będzie podzielać zasadność nowej muzealnej inwestycji. Przyjmując, że przedsięwzięcie potoczy się dalej w miarę gładko, trzeba liczyć co najmniej półtora do dwóch lat do rozpoczęcia prac nad przebudową i mniej więcej drugie tyle do chwili, w której do odnowionych wnętrz dawnej Cracovii wejdą pierwsi zwiedzający. W mniej optymistycznym scenariuszu wszystko może przeciągnąć się o kolejną dekadę. A im dłużej zamrożony w dotychczasowej formie, choć ogołocony z funkcji gmach będzie poddawać się działaniu czasu, tym mniejsza szansa, że bez zwielokrotnienia kosztów uda się go dostosować do wyzwań kolejnej epoki, które – jak widać na przykładzie obecnej – mogą być przecież zupełnie nowe.

Długiej historii Cracovii towarzyszyła od początku wielka polityka: stalinizm, polski Październik, potem przemiany ustrojowe i próba dominacji interesu prywatnego nad publicznym. I to ona będzie teraz trzecim, największym wyzwaniem dla planów ponownego udostępnienia budynku publiczności – już w nowej funkcji.

© BEATA CHOMĄTOWSKA

Przy pisaniu artykułu korzystałam z fragmentów własnych archiwalnych rozmów i korespondencji z prof. Witoldem Cęckiewiczem, a także z jego publikacji „Twórczość" (Politechnika Krakowska, 2016) i dwutomowej monografii „Witold Cęckiewicz" pod red. Marty Karpińskiej, Doroty Leśniak-Rychlak i Michała Wiśniewskiego (Instytut Architektury, 2015).

# Inna awangarda

PIOTR KOSIEWSKI

**W Muzeum Warszawy można oglądać wystawę Moï Vera. Jego prace, długo zapomniane, należą do najważniejszych osiągnięć awangardowej fotografii. I są częścią polskiej historii.**

Mojżesz Worobejczyk, Moï Ver, Moshe Vorobeichic, Moshe Raviv – cztery wcielenia. Świadomie je kształtował. Ze zmianami zapisu imienia i nazwiska wiązały się życiowe, ale też artystyczne wybory, aż jego biografia „rozpadła" się na kilka odrębnych życiorysów. Dopiero niedawno ułożono z nich jedną historię, która jest też opowieścią o losie żydowskiej społeczności w naszej części Europy. Na wystawie w Muzeum Warszawy znalazło się ponad 300 obiektów: fotografie, plakaty, wydawnictwa, projekty książek, obrazy, dokumenty.

Urodził się w 1904 r. jako Mojżesz Worobejczyk w Zaśkiewiczach, niewielkiej miejscowości na terenie obecnej Białorusi. W wieku 11 lat wraz z rodziną przeniósł się do Wilna. Tam ukończył Gimnazjum Hebrajskie im. Józefa Epsteina, a potem rozpoczął studia malarskie na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego. W 1927 r. wyjechał do Niemiec, by uczyć się dalej w słynnym Bauhausie w Dessau. Trafił do pracowni cenionego przez uczniów Josefa Albersa, prekursora minimalizmu w malarstwie. Chodził na zajęcia m.in. Kandinskiego i Paula Klee. A pod wpływem Lászla Moholyego-Nagya zainteresował się fotografią.

**JESIENIĄ 1928 R.** opuścił Niemcy i osiedlił się w Paryżu, gdzie zapisał się do prowadzonej przez Fernanda Légera Académie Moderne. Równolegle uczęszczał do tamtejszej l'École technique de photographie et de cinématographie. Wiedział już, że chce przede wszystkim robić zdjęcia. W Paryżu też, za radą Andrégo Malraux, przyjął artystyczny pseudonim Moï Ver.

Przeszedł drogę podobną wielu artystom i artystkom urodzonym w europejskiej części Imperium Rosyjskiego: od Marca Chagalla, El Lissitzkiego po Chaïma Soutine'a i Jankiela Adlera. Podróżującym do Niemiec czy Francji i wiążącym się z szeroko rozumianą awangardą, a jednocześnie odwołującym do swej żydowskiej tradycji.

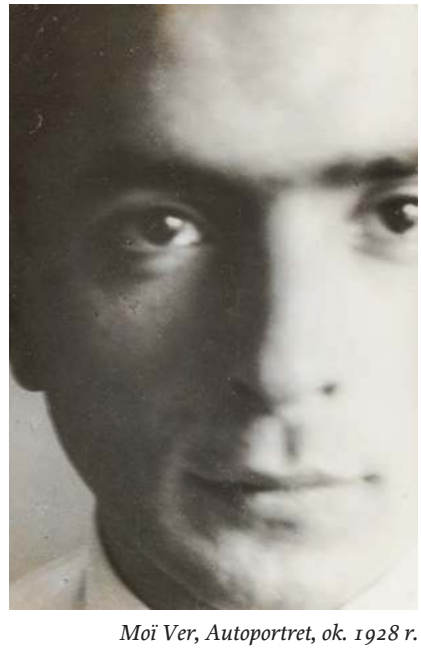

*Moï Ver, Autoportret, ok. 1928 r.*

Moï Ver nieustannie wracał do Polski. W latach 1929-37 wykonał tu ponad 1500 zdjęć. Przedstawiają mieszkańców dużych miast i małych miasteczek, ale także wieś, jej mieszkańców oraz lokalny folklor. Na tych zdjęciach są i Żydzi, i Polacy. Przygląda się ich wzajemnym relacjom, ale przede wszystkim interesują go jednostki. Fotografuje je w naturalnych sytuacjach: na ulicach, przed sklepami, na targowiskach, podczas pielgrzymki. Są wśród nich religijni Żydzi, z długimi brodami, w tradycyjnych strojach, ale też chłopi i chłopki, w zwykłych, często ubogich ubraniach.

Przygotowuje też reportaż o swoim rodzinnym mieście. Pokazany podczas Kongresu Syjonistycznego w Zurychu w 1929 r., zwrócił uwagę Emila Schaeffera, twórcy cenionej serii fotograficznych książek „Schaubücher". Dwa lata później w jej ramach wychodzi „Ein Ghetto im Osten. Wilna" („Getto na Wschodzie. Wilno"). Moï Ver dokumentuje tradycję i obyczajowość, posługując się nowoczesnym językiem fotograficznym. Pokazuje symboliczne dla żydowskiego Wilna budynki, jak Wielką Synagogę, ale też wyłożone kocimi łbami ulice czy okna ubogich mieszkań. Przede wszystkim jednak fotografuje mieszkańców.

Książka przypomina kadry wycięte z filmu. Nieprzypadkowo. „Po prostu puściłem w ruch moją leicę i tak powstała książka o Wilnie" – opowiadał. I dodawał, że z kina zaczerpnął sam układ zdjęć i sposób edycji. Wydana w kilku językach i w nakładzie ponad 12 tys. egzemplarzy, wzbudziła duże zainteresowanie.

W tym samym 1931 r. Moï Ver przygotował dwie inne publikacje, które należą do największych osiągnięć awangardowej fotografii pierwszej połowy XX wieku. Pierwszą jest „Paris". Znalazło się w niej 80 fotomontaży pokazujących stolicę Francji jako metropolię, tętniąca życiem, nieustannie w ruchu. Miasto burżuazji, stabilnego mieszczaństwa, ale też robotników. Moï Ver fotografuje ludzi na ulicach, ale i bruk je pokrywający. Szyny tramwajowe i witryny sklepowe. Zabudowania fabryczne i reklamy. Nakłada na siebie ujęcia, powiela je, multiplikuje, by uchwycić Paryż w jego niekończących się wcieleniach.

**W 1931 R. TWORZY** też drugą książkę, „Ci-contre" („Naprzeciw"). Składa się na nią 110 fotografii, tak skomponowanych, by pokazywały przeciwieństwa. Moï Ver zestawia ludzi, ale też architekturę czy fragmenty miasta, ze światem natury, z pejzażami, zdjęciami roślin. Fragment ceglanego muru sąsiaduje tu ze sfotografowanymi w zbliżeniu owocami jagód. Twarz starszego mężczyzny z liśćmi drzewa. To lekcja uważnego patrzenia na otaczający świat, „zobaczenia więcej", na co właśnie – jak pisał László Moholy-Nagy – pozwala fotografia.

Gotową makietę książki Moï Ver wysłał Franzowi Rohowi, niemieckiemu historykowi sztuki, który do krytyki wprowadził termin „realizm magiczny". Po dojściu do władzy nazistów Roh zostaje jednak pozbawiony możliwości publikowania, trafia nawet na krótko

do obozu koncentracyjnego w Dachau. Moï Ver, przekonany, że makieta zaginęła, przygotowuje po wojnie drugą wersję, która także nie zostaje wydana. Pierwotna odnajduje się pod koniec lat 60., ale udaje się ją wydać dopiero w 2004 r. Oryginalna makieta jest dziś w zbiorach paryskiego Centre Pompidou.

Moï Ver fotografię traktował także jako źródło utrzymania. Należał do agencji Fotoglobe, regularnie publikował swe zdjęcia w francuskiej oraz polskiej prasie. Twórczość łączył z zaangażowaniem politycznym i społecznym. W 1934 r. wyemigrował do Palestyny. Włączył się w ruch syjonistyczny dążący do odbudowy Izraela. Dokumentował rozwój Tel Awiwu oraz życie osadników w kibucach.

**W 1937 R. PONOWNIE** przyjechał do Polski. Tym razem miał sfotografować hachszary – miejsca, w których żydowska młodzież europejska przygotowywała się do emigracji do Palestyny. Uczyła się hebrajskiego i geografii regionu, ale też rzemiosła i pracy na roli. To oni stworzą potem podstawy nowoczesnego żydowskiego państwa.

Polska była centrum tego ruchu – pod koniec lat 30. funkcjonowało około 200 hachszar, największa na warszawskim Grochowie. Moï Ver stworzy ponad 500 fotografii przedstawiających ich życie. Codzienną pracę, wypoczynek, uroczystości. Pokazują fragment historii niemal całkowicie wyparty z polskiej pamięci.

Wojnę artysta przeżył w Palestynie. W Holokauście zginęła większość jego wileńskiej rodziny. W 1944 r. w Wiedniu popełnił samobójstwo wydawca jego książki o Wilnie Emil Schaeffer. W 1946 r. Moï Ver wydaje tekę fotograficzną „Polin" poświęconą nieistniejącemu już światu religijnych polskich Żydów. Wykorzysta w niej swoje przedwojenne fotografie. Okładka przypomina macewę, a jedynym tekstem towarzyszącym zdjęciom jest poemat urodzonego w Wilnie poety Abrahama Broldesa, rówieśnika Moï Vera, zaczynający się słowami „Pomścimy, a więc pomścimy, o mój Boże, moją okaleczoną siostrę i mojego zmarłego brata".

Po wojnie angażuje się w budowę państwa izraelskiego. Fotografuje, tworzy plakaty propagandowe, ilustruje książki. W 1951 r. dokonuje kolejnej zmiany: przyjmuje nazwisko Moshe Raviv. Dwa lata później przenosi się do niewielkiego Safed w północnym Izraelu. Dołącza do tamtejszej artystycznej społeczności. Porzuca fotografię, by po latach wrócić do malarstwa. Umiera w 1995 r.

Pod koniec życia ponownie odkryto go jako fotografa. Jednak prawdziwe zainteresowanie twórczością Moï Vera przyszło w nowym stuleciu. Jego książki uznano za jedno z kluczowych osiągnięć XX-wiecznej awangardy. Obecna wystawa, prezentowana wcześniej w Centre Pompidou, a w przyszłym roku zaplanowana w Muzeum Sztuki w Tel Awiwie, potwierdza jego obecność w kwanonie sztuki ubiegłego wieku i stawia pytanie o miejsce w globalnej historii sztuki twórczości powstającej poza tradycyjnie uznawanymi centrami. Bo w opowieści o modernizmie jest miejsce na sztukę czerpiącą z zachodnich wzorców, ale jednocześnie odnoszącą się do lokalnej tożsamości. ©

**MOÏ VER**, Muzeum Warszawy, wystawa czynna do 4 lutego 2024 r., kuratorki Julie Jones, Karolina Ziębińska-Lewandowska.

MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM WARSZAWY X3

*Moï Ver, Matka z dziećmi w dzień targowy, 1937 r.*

*powyżej: Moï Ver, Członkowie młodzieżowego ruchu syjonistycznego He-Chaluc, 1937 r.*

# Hasło nieprawidłowe

ANITA PIOTROWSKA

**Przemiany cywilizacyjne i kryzys klimatyczny sprawiają, że coraz więcej miejsc na Ziemi zaczyna przypominać krajobraz po katastrofie, a podgatunek zwany postapo łatwo znajduje dla siebie gotowe scenerie. Także u nas.**

W ojczyźnie Stanisława Lema, Macieja Parowskiego i Jacka Dukaja *science fiction* jakoś nie podbija dzisiaj ekranów, chociaż gatunek ten ma w Polsce również filmowe tradycje. Doczekał się kilkudziesięciu tytułów, w tym co najmniej kilku wartych uwagi, by wymienić tetralogię Piotra Szulkina (1979-1986), kultową „Seksmisję" (1983) Juliusza Machulskiego, „Na srebrnym globie" Andrzeja Żuławskiego (1987), przeżywające zresztą drugą młodość za sprawą dokumentu Kuby Mikurdy, czy nie tak dawny „Photon" (2017) Normana Leto.

Nie jest bowiem prawdą, jakoby fantastyka zawsze domagała się gigantycznych budżetów. Nie każdy tego rodzaju film musi być wielką kosmiczną operą czy popisem najnowszych technologii, czego dowodem produkcje typu „Moon" (2009) Duncana Jonesa, „Pod skórą" (2013) Jonathana Glazera czy „Ex Machina" (2014) Alexa Garlanda. W czasach, kiedy fabuła SF może równie dobrze, co w odległych galaktykach, rozwijać się we wnętrzu inteligentnej maszyny albo po prostu w ludzkiej głowie, jeszcze bardziej liczy się wyobraźnia i pomyślunek. A że przemiany cywilizacyjne i kryzys klimatyczny sprawiają, iż coraz więcej miejsc na Ziemi zaczyna przypominać krajobraz po katastrofie, podgatunek zwany postapo łatwo znajduje dla siebie gotowe scenerie. Także u nas, czego dowodem kręcony na Górnym Śląsku, na terenie kopalni Bolesław Śmiały i elektrowni w Łaziskach Górnych, film „W nich cała nadzieja" Piotra Biedronia. Czyli kino SF po polsku, zrealizowane za przysłowiową garść złotówek (dokładnie za jeden milion – w produkcji filmowej to kwota niewielka), w ramach specjalnego programu PISF-u dla początkujących twórców.

Sceptyk by rzekł, iż coś takiego nie może wypalić na naszym gruncie – a jednak się udało. Choćby dlatego, że Biedroń dzięki pasji i znajomości gatunkowych reguł potrafił przeskoczyć swoje ograniczenia. Jego film posiada też nieczęsto spotykaną w polskim kinie świadomość ekologiczną tudzież refleksje w wielu innych dziedzinach. Twórca rozpoczyna opowieść, jak to zwykle bywa, od punktu zero: apokalipsa właśnie się dokonała i nie wiadomo, czy przyniesie ostateczny kres wszystkiego, czy może jakiś nowy początek. Oto na skażonej planecie, na gruzach globalnych wojen klimatycznych, pozostały jedynie nikłe ślady życia i ludzkie niedobitki, chociaż wiele na to wskazuje, że dziewczyna o nieprzypadkowym imieniu Ewa może być człowiekiem ostatnim. W położonym na pustyni obozowisku walczy o przetrwanie i czeka na kontakt z innymi ostańcami, a jej jedynym towarzyszem i zarazem aniołem stróżem jest robot z demobilu, noszący imię Artur.

Już z wyglądu daleko mu do sterylnego bystrzaka typu HAL 9000. Przykurzony i zardzewiały, bardziej przypomina Blaszanego Drwala, na dodatek popsuło mu się oczko, niczym „temu misiu" z komedii Barei. I z początku rzeczywiście bywa zabawnie, kiedy testowany przez bohaterkę strażnik okazuje się istotą o bardzo małym rozumku – nie łapie metafor, nie ma poczucia humoru, operuje jedynie wyuczonymi procedurami. Robi się groźnie, gdy Artur, który miał bezwzględnie chronić swoją panią, okazuje się bezdusznym zadaniowcem. Jakkolwiek obce mu są kłamstwa, manipulacje i przekupstwa, to bez prawidłowego hasła cała domniemana inteligencja i przyjazność maszyny biorą w łeb. Co więcej – wdrukowane weń algorytmy mogą z łatwością obrócić się przeciwko człowiekowi.

Podejmuje zatem Biedroń wiele palących i obszernie omawianych dzisiaj kwestii – sukcesywne wyniszczanie naszej planety, ślepe zaufanie wobec technologii, jej realne możliwości i ograniczenia – z udziałem nader skromnych, choć przecież nie tylko chałupniczych środków. Pomimo pewnej teatralności świata przedstawionego czuje się na ekranie filmowy oddech, a scenografia Marka Zawieruchy i zdjęcia Tomasza Wójcika, osadzone w postindustrialnym pejzażu,

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

WIKTOR OBROK / MATERIAŁY PRASOWE

**W NICH CAŁA NADZIEJA**
*– reż. Piotr Biedroń. Prod. Polska 2023. Dystryb. Galapagos Films. W kinach.*

*Piotr Biedroń to twórca krótkometrażówek „PM 2.5" (2017) i „Piękna robota" (2020). W pełnym metrażu zadebiutował jako reżyser i scenarzysta filmem „W nich cała nadzieja", uhonorowanym nagrodą Méliès d'argent dla najlepszej fabuły na Science+Fiction Festival w Trieście i wyróżnionym na festiwalu w Gdyni w Konkursie Filmów Mikrobudżetowych oraz nagrodą Klimatyczny Film.*

*Powyżej: Magdalena Wieczorek (Ewa) w filmie „W nich cała nadzieja".*

na śmietnisku ludzkiej cywilizacji, przykrywają budżetowe niedostatki. Sporo też potrafi zdziałać oszczędna ścieżka dźwiękowa autorstwa Łukasza Pieprzyka, rozmyślnie oldskulowa, niczym wydobyta z trzewi komputera Atari.

Przed nami skromne kino o dużym potencjale i łatwo można je sobie wyobrazić przepisane na scenariusz superprodukcji. Zresztą lista spektakularnych referencji sama się narzuca, od „2001: Odysei kosmicznej" (1968) Stanleya Kubricka po „Mad Maxa: Na drodze gniewu" (2015) George'a Millera. A zajmująca sto procent czasu ekranowego Magdalena Wieczorek, znana już ze świetnej roli raperki w „Zadrze" (2022) Grzegorza Mołdy, tworzy postać jeszcze jednej w uniwersum *science fiction* wrażliwej twardzielki, mającej szansę uratować ten popsuty świat.

Oczywiście, można było taką historię na różne sposoby pogłębić i rozwinąć. Na przykład relację Ewy i Artura, która miałaby większy ciężar emocjonalny, gdyby prócz jednostronnych żartów o małżeństwie z robotem zakładała także przywiązanie bohaterki do jedynego towarzysza jej samotności, generując tym samym etyczne dylematy. Równocześnie docenić należy, że Biedroń nie podąża szlakiem fantazji na siłę antropomorfizujących maszynę jako rzekomo zdolną do empatii czy nawet bardziej ludzką od człowieka. Pod tym względem film nie pozostawia złudzeń, jakkolwiek można się przyłapać na tym, że w akcie projekcji będziemy odczuwać wobec Artura (mówiącego głosem Jacka Belera) uczucia ściśle zarezerwowane dla ludzi, np. moralne potępienie.

Intryguje również zasygnalizowany tutaj temat uchodźców klimatycznych, który ostatnimi czasy przestał być tematem z porządku *science fiction*. I nie trzeba być na sztywno zaprogramowanym Arturem, żeby w sytuacji morderczej walki o zasoby naturalne, w szczególności o wodę i czyste powietrze, pogubić się w rozróżnieniu między uchodźcą a intruzem. To bodaj najciekawszy wątek tej opowieści o głupich robotach, znajdujący swoje ironiczne, choć nie do końca jasne odniesienie w jej tytule. Bo mimo że „W nich cała nadzieja" ma wiele z „akcyjniaka" skupionego na walce o biologiczne przeżycie bohaterki, to kiedy blaszany strażnik mówi do niej w krytycznym momencie: „Nie mam uprawnień, żeby dać ci wodę", musi wybrzmieć polityczna – chcąc nie chcąc – aluzyjność owych słów. ©

# Lektor:
## *Bez lukru*

▪ *Julia Przyboś*
**PRZEPIERKI**
*Wydawnictwo Austeria, Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2023, ss. 226*

„Większość moich tekstów to tylko przepierki. Nie w głowie mi wielkie pranie, bo za mało wiem o ludziach, których tu wzmiankuję. Ale wierzę, że choć częściowo zmyją one makijaż z oficjalnych życiorysów i ukażą rysy osób, które rzadko można znaleźć w uczonych biografiach i rzewnych wspomnieniach bliskich". Nie ma więc generalnych porządków, ale te przepierki układają się w znakomitą całość, zdystansowany obraz własnego życia na tle epoki, w Peerelu i na emigracji. Nie ma lukru, ale też skandalizowania – choćby rozpad małżeństwa rodziców przedstawiony został powściągliwie i dyskretnie.

Julia Przyboś, córka Juliana i Bronisławy z Kożdoniów, romanistka i teatrolożka związana z Uniwersytetem Yale, ma nie tylko talent narracyjny, ale przede wszystkim dar obserwacji, trzeźwej, czasem cierpkawej. W migawkowych odsłonach portretuje zarówno polskie elity – córka świetnego poety obracała się wśród nich od młodych lat, a w Stanach Zjednoczonych związała się z kręgiem emigrantów marcowych – ale też, nie bez złośliwości, zagraniczne środowiska naukowe i panujące w nich mody (polecam „Błazna w żabocie" – rzecz o wizycie Jacques'a Lacana w New Haven).

Są tu oczywiście anegdoty – jak o niewysokim Przybosiu holującym przez Kraków pijanego Gałczyńskiego, który w zaspie śnieżnej gubi sztuczną szczękę. O spotkaniu w 1973 r. z Wisławą Szymborską, o której Julia Przyboś nic nie wiedziała i obawiała się jakiejś postmłodopolskiej melancholiczki – ale okazało się, że nasycony erotyzmem album Beardsleya, który przywiozła z Ameryki, był prezentem nadzwyczaj trafionym. Ciepło i pięknie, ale nie laurkowo wspomina „trzech panów, którzy po nagłym zniknięciu Ojca wypełnili rodzicielską pustkę" – to Jan Szczepański, Mieczysław Porębski i Jan Kott. Także Hannę Rudzką-Cybisową, Tadeusza Różewicza, Krystynę Zachwatowicz i wielu innych. No i przyjaciół, których Marzec wypędził z Polski – a był wśród nich jej przyszły mąż, neurobiolog Klaudiusz Weiss.

Wzruszająca jest końcowa lista „Moich zmarłych", którzy, jak pisze Julia Przyboś, „zaszyli się w moich urazach i upodobaniach; schronili się w powiedzonkach, odruchach, czynnościach". Dzisiaj znalazłby się na niej także Klaudiusz, Klaude, zmarły w grudniu ubiegłego roku – na kartach tej książki żyje. ©℗

**W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie** w II Wydziale Cywilnym pod sygn. akt II Ns 500/23 toczy się postępowanie z wniosku Open Finance Wierzytelności Detalicznych Niestandaryzowanego Sekurytyzacyjnego Funduszu Inwestycyjnego Zamkniętego z siedzibą w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Urszuli Sulkowskiej z domu Szczęsnej, córki Zofii i Kazimerza, zmarłej 29 grudnia 2020 roku, ostatnio stale zamieszkałej przy ulicy Nowickiego Mariana 5/59 w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla. m. st. Warszawy w Warszawie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

**Sąd Rejonowy w Gnieźnie** Wydział I Cywilny zawiadamia, że pod sygn. akt I Ns 306/23 toczy się sprawa z wniosku Alior Bank SA w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Hieronimie Romanie Zamiarze (Zamiar), urodzonym 16 lutego 1958 r. w Wełnicy, synu Franciszka i Reginy z domu Wiśniewska, zmarłym 12.01.2022 r. w Pawłowie, mającego ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Pawłowie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu, podali swoje miejsce zamieszkania i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku po Hieronimie Romanie Zamiarze

**Sąd Rejonowy w Gnieźnie** Wydział I Cywilny zawiadamia, że pod sygn. akt I Ns 79/23 toczy się sprawa z wniosku VeloBank S.A. w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Marianie Andrzejewskim, ur. 10 sierpnia 1940 r. w Żydowie, s. Franciszka i Petroneli z domu Woźniak, zm. 10 maja 2018 r. w Żydowie, ostatnio stale tam zamieszkałym.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu, podali swoje miejsce zamieszkania i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

**Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu** w I Wydziale Cywilnym toczy się pod sygnaturą akt I Ns 215/23 postępowanie z wniosku Janiny Piechoty z uczestnictwem Jana Smykli, Michała Smykli, Marcina Smykli, Tomasza Smykli, Stanisławy Guła, Krystyny Maňkoš, Franciszki Smykli, Krystyny Smykli o stwierdzenie nabycia spadku po Michale Smykle, s. Kazimierza i Marii z d. Tyniec, zmarłym w dniu 14 marca 1995 r. w Tarnobrzegu, o ostatnim miejscu zwykłego pobytu w Knapach.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa spadkobierców po żonie Michała Smykli – zmarłej uczestniczce Janinie Smykle z d. Mazur c. Feliksa i Heleny, ur. 23.04.1919 r. w Borowie, zm. 16.09.1998 r. w Kraśniku, aby w ciągu trzech miesięcy zgłosili i udowodnili nabycie spadku po Janinie Smykle z d. Mazur, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

**Przed Sądem Rejonowym w Stalowej Woli** I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 61/23 toczy się postępowanie z wniosku Zbigniewa Wiktora i Krystyny Wiktor o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości gruntowej o powierzchni 266 $m^2$ położonej w Stalowej Woli przy ulicy Szewskiej 5 stanowiącej działkę numer ewidencyjny 58 objętej księgą wieczystą numer TB1S/00019362, w której jako właściciele ujawnieni są Eleonora Kolbuszewska, Małgorzata Kolbuszewska i Mariusz Kolbuszewski.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli i wykazali prawa do nieruchomości pod rygorem stwierdzenia zasiedzenia, jeżeli zostanie wykazane.

**W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim**, w sprawie I Ns 300/23 toczy się postępowanie z wniosku Gminy Wilków o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w miejscowości Szczekarków Kolonia obręb 0015 stanowiącej drogę i działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 31 o powierzchni 0,03 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych do wylegitymowania praw do ww. nieruchomości w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi, albo zgłosiwszy się, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

**Pobudka z Tygodnikiem**

CODZIENNIE NAJLEPSZE TEKSTY

**Pobudka z Tygodnikiem** to krótki, codzienny newsletter „Tygodnika Powszechnego".

Od wtorku do piątku wysyłamy wiadomość o kilku najlepszych tekstach dnia oraz autorskie rekomendacje czytelnicze redaktorów „Tygodnika".

„TP" 43/2023

## Skończmy z rygoryzmem moralnym

W nawiązaniu do artykułu Dariusza Piórkowskiego SJ „Zlekceważone sumienie", chciałbym dorzucić coś w temacie jansenizmu, o którym mowa w tekście, bo nie brakuje i dziś tendencji neojansenistycznych. Możemy je usłyszeć na ambonach, w katolickich rozgłośniach, przeczytać na portalach i w czasopismach. Bywa, że im bardziej jakaś wspólnota podkreśla swą katolickość, tym więcej w niej bp. Jansena. Warto przypomnieć o osobie, która go intelektualnie i duchowo znokautowała. Żył w XVIII wieku i najpierw przezwyciężył rygorystyczną moralność w sobie, a potem walczył o spokój sumienia innych. Alfons Maria de Liguori swoim rozumieniem moralności przyczynił się do potępienia rygoryzmu, który przenikał jansenizm. W swoim podręczniku do teologii moralnej wyszedł nie od analizy normy, co było wówczas powszechne, ale właśnie od pozytywnego ujęcia sumienia. Był to odważny i ryzykowny krok. Podobnie jak wypowiedziane przez niego zdanie: „Spośród dwóch skrajnych tendencji – rygoryzmu i laksyzmu – ta pierwsza czyni znacznie większe spustoszenie w duszach chrześcijan". Kilka lat temu miałem okazję słuchać wykładu Alfonsa Amarantego, profesora rzymskiej akademii zajmującego się teologią moralną, członka zgromadzenia zakonnego założonego przez wspomnianego Doktora Kościoła. W wykładzie zaznaczył, że św. Alfons niemal znika z dokumentów kościelnych i katechizmu po Vaticanum II. Poza jednym drobnym cytatem brakuje go w wydanym dokładnie 30 lat temu Veritatis splendor, które przecież traktuje o teologii moralnej. Zdecydowanie jego wizja dowartościowania sumienia nie pasowała do nauczania Jana Pawła II, który skupiał się na tworzeniu systemu odpornego na relatywizm moralny. Na szczęście na naszych oczach sumienie wraca na właściwe miejsce. Papież Franciszek już kilkukrotnie dał wyraz podziwu dla Bernarda Häringa, który poszukiwał nowych dróg rozkwitu teologii moralnej, narażając się wielokrotnie na konflikt z Watykanem. Był redemptorystą podobnie jak o. Amarante. Ten ostatni został niedawno mianowany rektorem Papieskiego Uniwersytetu Laterańskiego nazywanego „Uniwersytetem Papieża". Nominacja miała miejsce 1 sierpnia, czyli w dzień liturgicznego wspomnienia Alfonsa Liguoriego, patrona moralistów.

TYMOTEUSZ

REKLAMA

OLGA

# Drenda:
## *Prawda ekranu*

Zapewne większość ludzi na świecie ma jakieś grzeszki związane z tym, co w przesyconym pragmatyzmem języku nazywa się „marnowaniem czasu". To sformułowanie budzi mój odruchowy sprzeciw, bo jestem zdania, że właściwie nie ma czegoś takiego, jak czas zmarnowany. Nawet oddając się zbijaniu bąków, czegoś się uczymy, miewamy myśli, przetwarzamy dane ze świata zewnętrznego. Są oczywiście ludzie, którzy w komunikacji miejskiej potrafią słuchać wykładów, uczyć się nowych słów, oddawać się modlitwie albo praktykować ćwiczenia oddechowe. To ludzie szlachetni i godni – cóż, ja korzystam z przyjemności scrollowania internetu i wciągania się czasami w jego królicze nory.

Od dawna nurtuje mnie pytanie, „jak właściwie żyją ludzie" i czy istnieje obowiązujący skrypt na życie. Nie, żebym sama była jakoś szczególnie nadzwyczajna, mogę bywać powyżej normy nudna; prześladuje mnie jednak to pożyczone od Kundery powiedzenie, że „życie jest gdzie indziej", i chciałabym tam zajrzeć. Wiedzieć, jak żyją ci ludzie, którym prawdopodobnie wychodzą naleśniki, jeśli przyjmiemy to za kryterium mieszczenia się w standardzie. Sięgałam po odpowiedź do ksiąg, szukałam na WikiHow, nurkowałam w stare fora internetowe poświęcone gadkom o wszystkim i o niczym, pytałam ChatGPT; wszelkie próby pozostawiały mnie jednak z poczuciem niedosytu. Nietrudno domyślić się więc, że gdy odkryłam cały świat krótkich filmów o „typowym dniu z życia", zakrzyknęłam: w to mi graj!

Naleśnik, sekret dobrego życia.

OLGA DRENDA

Internetowy fenomen polega na tym, że użytkownicy zapraszają publiczność, by „spędzili z nimi 24 godziny" i zajrzeli na chwilę w ich życie. O swoim typowym dniu opowiadają zatem studentka, farmer, właścicielka mobilnego salonu kociej urody. Czasami ktoś zagadkowo oznajmia, że jest w pracy, o czym świadczy wykonywanie tajemniczych działań na komputerze. Wiele tych produkcji dotyczy branży stylu życia i influencerstwa, więc oglądamy filmiki o profesjonalnym byciu pięknym i zdrowym, co wcale nie wygląda jak bułka z masłem. Są one różnej jakości, od budzącego podejrzenia profesjonalizmu po trzęsący się obraz „z rąsi". Jest jednak coś wciągającego, może nawet coś z przygody, w przyjęciu zaproszenia, żeby spędzić z kimś dzień.

Niczyj dzień oczywiście tak nie wygląda. Niemożliwe, żeby wszystko się tak płynnie i bezproblemowo udawało, żeby mknąć przez życie z precyzją pociągu Shinkansen. „Typowy dzień" w filmach toczy się podejrzanie płynnie i sprawnie. Ludzie teleportują się z miejsca na miejsce i z entuzjazmem przechodzą od jednej czynności do drugiej. Niewidzialna dobra wróżka dba o to, by wszystko działo się samo (poza kontem pana, który codziennie prasuje sobie prześcieradła i odkurza walizkę w środku, ale to zdecydowanie pasjonat), a w magicznych domach kanapki nawet same się nie smarują, bo ich mieszkańcy żywią się koktajlami zapewniającymi optymalny balans mikroelementów na kolejny satysfakcjonujący dzień. Nikt nie bywa zmęczony, nie zmienia planów, mleko nigdy nie kipi, kasa samoobsługowa nie żąda „potrzebnych informacji", autobus się nie spóźnia. A przede wszystkim nikt nie chodzi do łazienki (to kryterium wiarygodności numer 1). Próba nakręcenia realistycznego krótkiego metrażyku o własnym dniu musiałaby przypominać filmy Warhola o przewracaniu się z boku na bok we śnie. Wierząc w autentyzm twórców treści, zapominamy też o kuchni realizacyjnej. Dobre ujęcie nie zrobi się przecież samo; trzeba włożyć nieco wysiłku w ustawienie, znalezienie kadru, powtarzanie ujęć. Wymaga też spędzenia dnia z telefonem w ręce i przeżywania tego samego dwa razy: na żywo i w opowieści, co zjada czas niezbędny na pracę, robienie jedzenia, zakupy itp. Czyli wymaga przemiany życia w plan filmowy.

No właśnie – w tym cały sęk. Wcale nie ma być realistycznie. To nie są typowe dni z życia: to życie, w którym ktoś świadomie odgrywa rolę główną. Dlatego zawierają zalążki scenariusza, przemyślane ujęcia, dynamiczny montaż. Ma to coś wspólnego z postawą ujętą w kandydaturze na słowo roku (w Polsce i na świecie), czyli „delulu". To życie iluzją, złudzeniem, ale bez poczucia, że można się rozczarować. Przeciwnie: świadome „zaczarowanie" czyni istnienie bardziej znośnym niż kłapouchy pesymizm. A zatem: może jestem wtedy z wyboru naiwna, ale przynajmniej coś z tego mam, trochę fantazji, trochę odwagi, trochę przygody.

Ma być tak, jak w dialogu z „Bezsenności w Seattle": „Ty wcale nie chcesz być zakochana, chcesz przeżywać miłość jak w filmie". Albo odkurzać jak w filmie i jeść płatki jak w filmie. Nadal nie znam więc odpowiedzi na to, jak żyją ludzie. Wiem za to trochę więcej, jak chcieliby żyć albo jak żyją – ale w równoległym wymiarze. ©

PAWEŁ

# Bravo:
## *Energia zza morza*

Czterdzieści sześć tysięcy mieszkańców szwedzkiego miasta Luleå miało się przez cały listopad w kółko pozdrawiać – to znaczy każdą napotkaną osobę, nie tylko znajomych i rodzinę. Na tym polegała kampania „Powiedz: cześć!", którą włodarze chcieli podnieść poziom kapitału społecznego w powierzonym im zakątku hen na czubku Zatoki Botnickiej – czyli, patrząc z perspektywy grajdoła na Helu, na drugim końcu Bałtyku.

O tej porze roku słońce łaskawie pokazuje się tam na trzy godziny na dobę. W tak ekstremalnych warunkach żadnego pomysłu na znośniejsze życie nie należy z góry uznawać za głupi. Przyjdzie jeszcze czas na podsumowania socjologiczne akcji oraz analizę statystyk wizyt u psychiatrów, sprzedaży antydepresantów oraz wódki w jedynym w mieście stoisku monopolowym, przypominającym, jak to w Szwecji, więzienny sklepik. A ile potencjalnie było tych pozdrowień? Mam zbyt lichy komputer, by ustalić liczbę kombinacji dwuelementowych bez powtórzeń przy n=46000. Chcąc zgodnie z zapamiętanym z liceum wzorem podstawić silnię tej liczby, trzeba by procesorów, na jakich geniusze z firmy OpenAI hodują swoją sztuczną inteligencję.

Przy okazji pasjonującej sagi przewrotu pałacowego w tej firmie – z pewnością najbardziej brzemiennego w skutki newsa ostatnio – dowiedzieliśmy się mimochodem, że na szczytach tej kapitalnej firmy jest sporo Polaków, w tym jeden o nazwisku *nomen omen* Mądry i z tego kuchennego kącika, gdzie jedyny obwód scalony tkwi w tranzystorowym radyjku na parapecie, niech popłynie apel do jego i kolegów mądrości. I tak już, panowie i panie, jesteście największymi bystrzakami tej dekady, może więc nie aż tak bystro pędźcie kobyłę historii ku zatraceniu naszej poczciwej ludzkiej inteligencji przez coraz mniejsze „i". Swoją drogą, czy ubocznym skutkiem dominacji narzędzi mających dostęp wyłącznie do policzalnych aspektów istnienia będzie dowartościowanie tzw. serca przez coraz większe „S", bo tyle nam łaskawie AI zostawi?

Przyznajmy jednak, że wyższa matematyka jest zdolna otworzyć wrażliwą duszę na sprawy, które zazwyczaj się oswaja poezją. Jeśli w wiosce liczącej 46 mieszkańców liczba możliwych par, które codziennie mogą sobie pomachać na przywitanie, wynosi 1035, to w miasteczku Luleå, liczącym tysiąc razy więcej dusz, słowo „cześć" miało szansę zabrzmieć tak wiele razy, że żadne słowo normalnego języka ani ekran telefonu nie pomieszczą tych wszystkich zer biegnących szeregiem poza horyzont ludzkiego pojęcia. Taki jest, śmiem przypuszczać, powód owej zorzy polarnej, którą widywałem na Instagramie w minionych tygodniach, fotografowanej głupim telefonem na polskich plażach. Suma wszystkich iskierek, jakie przeskakiwały na ulicach, gdy obcy ludzie się pozdrawiali, musiała wpłynąć na balans niechwytanej przez stacje badawcze energii.

Nie ma co oczywiście przesadzać w entuzjazmie, nie chodzi przecież o to, że ludzie naraz zaczęli padać sobie w ramiona i wybaczać wzajemnie winy przodków na trzy pokolenia wstecz. Mówimy o iskrach o znikomym napięciu. A jednak. „Badania pokazują, że słabe więzi – powierzchowne relacje między ludźmi – są ważniejsze, niż nam się wydaje. Drobne codzienne kontakty zostają wyparte przez rozwiązania technologiczne. Bycie rozpoznawanym i widzianym sprawia, że ludzie czują się dowartościowani. Jest to szczególnie ważne dla osób samotnych, ale ma też znaczenie dla poczucia przynależności i bezpieczeństwa dla wszystkich. Im więcej słabych więzi istnieje w sąsiedztwie, tym mniej będzie konfliktów, a konflikty, które się pojawią, będą łatwiejsze do rozwiązania" – napisał ktoś mądry z lulejskiego magistratu, kreśląc obywatelom socjologiczne tło całej akcji.

Można by przytomnie zauważyć, że coś jest nie tak, skoro trzeba ich namawiać do widzenia i bycia widzianym. Ciemności i paskudny ziąb nie skłaniają, by się rozglądać po drodze i emitować jakieś dźwięki, takie być może jest częściowe usprawiedliwienie. A co usprawiedliwia nas, zamieszkujących o tyleż hojniej oświetloną i mniej wymrożoną okolicę? Ktoś może policzył, jaki jest w Polsce próg wielkości wioski, powyżej którego ludzie przestają się po drodze pozdrawiać. Przypuszczam, że niski. W czas kulminacji mroku i zestresowanej wsobności, w jaką popadamy w obliczu świąt (chyba tylko uczestnikom rorat obcy jest neurotyczny wymiar adwentu), zacznijmy się chociaż widzieć, nawet bez witania. Zorzy polarnej przy tym nie wygenerujemy, ale może będzie o jeden lumen jaśniej. ©℗

**Tygodnik Smaków** – co piątek w Twojej skrzynce przepisy na Tygodnikowy lunch, deser, obiad. Zapisz się na **powszech.net/tygodnik-smakow**

*Oto przepis na niewyszukany deser, który przywołuję dziś, bo w moim domu ten prosty i szybki placek jogurtowy dzieci zwykły nazywać „słoneczkiem" z racji wyglądu. 4 jajka ubijamy krótko z 150 g cukru, dodajemy kapkę esencji waniliowej, następnie wkręcamy stopniowo 400 g gęstego kremowego jogurtu (niekoniecznie typu greckiego, ale też nie najrzadszy). Na koniec dodajemy 75 g skrobi kukurydzianej i porządną szczyptę soli. Wlewamy do tortownicy o średnicy 22-24 cm wyłożonej papierem do pieczenia. Pieczemy w 190 stopniach 30-40 minut, aż mocno „spuchnie" i się skarmelizuje na powierzchni. Studzimy – wtedy ciasto mocno opadnie, stanie się dość zwarte, na podobieństwo flanu.*

BEEBOYS / SHUTTERSTOCK

ZMYSŁY

# 25 DNI Z KSIĄŻKĄ

Kalendarz adwentowy nie musi pachnieć czekoladą ani brzęczeć zabawkami schowanymi w maleńkich skrytkach. Czekać na święta można z opowieścią, która koi dziecięce smutki.

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Pomysł jest prosty. Historia zostaje rozpisana na 24 rozdziały i krótszy finałowy. Lekturę należy zacząć 1 grudnia, a skończyć w bożonarodzeniowy poranek. Można czytać przed snem, po przebudzeniu albo w ciągu długich grudniowych popołudni, zwłaszcza jeśli zwieńczeniem rozdziału jest zadanie do wykonania, upieczenie pierniczków lub wyczarowanie pięknej ozdoby na choinkę. W praktyce to są zwykle zadania dla rodziców. Dziecko wciela się raczej w rolę surowego sędziego lub nieugiętego sekundanta niezdarnych poczynań swoich dorosłych. Książki należy więc wybierać z rozwagą, mając na uwadze własne ciągoty do robótek ręcznych. A wybierać jest z czego.

W księgarniach kuszą te bogato zrobione papierowe cacuszka. Część z nich to ilustrowane podręczniki dla najmłodszych, jak przygotować się do świąt. To magazyny czasu, o którym zagonieni rodzice i często równie zapracowane dzieci zapomnieli, że mogliby go kupić przed świętami, a przede wszystkim dla siebie. Taką rolę odgrywają książki Eweliny Włodarczyk – „W grudniu po południu" z ilustracjami Małgorzaty Kwapińskiej (poznajemy świąteczne zwyczaje z kilkuletnią dziewczynką) oraz „Ekspres grudniowy" z rysunkami Anny Łazowskiej (tu głównym bohaterem jest chłopiec) – czy „Ania i Święty Mikołaj" Maren Tjelty Thu (zamiast wyzwań plastyczno-kulinarnych mamy tu wyszukiwanki i zagadki matematyczne). Formę książki-kalendarza z okienkami ma kunsztownie zdobione „Czekając na Święta", rozchodzące się jak świeże bułeczki. Wydawca zachęca, by zadania z okienek wykonywać przy „dedykowanej" świątecznej liście piosenek dostępnej na Spotify.

### Mała historia czytania

Książki adwentowe to jednak nie tylko „odhaczanie" zadań. To także ekscytujące opowieści. Łączy je wspólna myśl, że Boże Narodzenie nie jest czymś, co należy brać za pewnik. Trzeba się postarać, żeby nadeszło w domach, a nie tylko w galeriach handlowych. Opowieść w odcinkach przypisanych do konkretnych dni to także zobowiązanie złożone samej opowieści, że się jej nie porzuci. Że pozwoli jej się rozwijać w swoim tempie, nie pójdzie się na skróty i nie pominie żadnych szczegółów. Kalendarz adwentowy zaklęty w książce dla najmłodszych – którzy nie potrafią czytać lub dopiero się uczą – to także pakt między nimi a dorosłymi. To obietnica, że znajdziemy dziesięć minut dziennie, by bez wspomagaczy z migoczącymi ekranami pobyć ze sobą. Wreszcie, to zaproszenie do czytania starannego i zdyscyplinowanego.

„Głośne czytanie uważnemu słuchaczowi zmusza często lektora do większej skrupulatności, nie przeskakuje on stron, nie wraca do przeczytanych już fragmentów, utrwala tekst za pomocą pewnego formalnego rytuału" – pisze Alberto Manguel, pochodzący z Argentyny pisarz i antropolog czytania, niegdyś lektor niewidomego Borgesa. W „Mojej historii czytania" przypomina, że pierwsze książki powstawały po to, by ich słuchać. Średniowieczni autorzy wypowiadali słowa, zanim je zapisali, sprawdzając, czy będą odpowiednio brzmieć w uszach słuchaczy. Książki obrazkowe, w tym *bibliae pauperum*, dały pierwszeństwo oku, jednak czytanie na głos, czasem w większej kompanii, przetrwało aż do XIX wieku. Później stało się domeną opiekunów czytających dzieciom.

Adwentówki (jak potocznie nazywa się podzielone na 25 rozdziałów książki dla dzieci) znane są w wielu krajach, a od kilku lat ta forma coraz chętniej jest wybierana przez polskich autorów. Spośród wielu tytułów na wyróżnienie zasługuje „Świąteczna podróż" Jarosława Kaczmarka i Bereniki Kołomyckiej (najpierw podaję nazwisko autora, potem ilustratorki). Rodzeństwo Alicja i Kuba znajdują na strychu tajemniczy ↦

*Ilustracja z książki Eweliny Włodarczyk i Magdaleny Kwapińskiej „W grudniu po południu", Wydawnictwo Dwukropek*

MAGDALENA KWAPIŃSKA / MATERIAŁY PRASOWE

↦ kalendarz adwentowy, z którego każdego dnia wydobywają nowe opowiadania z różnych stron świata. Autor sięga do przeszłości i tradycji, ale to, co dawne, stara się odnosić do współczesnego doświadczenia dzieci.

W „Projekcie Święta" Magdaleny Szczepańskiej i Kasi Nowowiejskiej grupa przedszkolaków słusznie zauważa, że rodzicom i Świętemu Mikołajowi też należą się prezenty. Postanawiają wykonać upominki, a część sprzedać, żeby zarobić na podróż do wioski Świętego Mikołaja. Umieszczenie słówka „projekt" w tytule zobowiązuje, więc pojawią się nieprzewidziane opóźnienia, wydatki nieujęte w planie oraz problemy z zarządzaniem. Nie jest to na szczęście poradnik z przedsiębiorczości, ale rzecz o współpracy i wdzięczności.

Do siedziby słynnego świętego udać się można również ze skrzacimi bohaterami „Elfa do zadań specjalnych" Katarzyny Wierzbickiej i Ulyany Nikitiny. Opowieść o optymalizacyjnych zmianach w fabryce zabawek stanie się metaforą nie tylko komercjalizacji Bożego Narodzenia, ale również rezygnacji dorosłych ze spędzania wspólnego czasu z potomstwem. Kiedy do wioski przybędą krasnale i trolle, w które najmłodsi masowo przestali wierzyć, cały misterny „projekt" zwiększenia produkcji i usprawnienia przestarzałej dystrybucji prezentów legnie w... śniegu. Fantazja tytułowego elfa do zadań specjalnych pozwoli jednak szczęśliwie dowieźć adwent aż do Wigilii.

Młodsi czytelnicy ucieszą się z przygód Gabrysi i Ignasia w „24 dniach do Gwiazdki" Agaty Przybyłek oraz „Gwiazdki u Niedźwiadka" Béatrice Garel i Thomasa Baasa. Nieskomplikowana, trochę pretekstowa fabuła służy wprowadzaniu dziecka w świat świątecznych tradycji i legend. Dodatkowo w książce o Niedźwiadku i jego przyjaciołach ukryte są ozdoby do ubrania papierowej choinki. Uszy i ręce będą więc pełne roboty.

### Misja „uratować święta"

Polskiej modzie na książki-kalendarze chyba najbardziej przysłużyły się bestsellery Alexa T. Smitha „Jak Winston uratował Święta" oraz „Winston wraca na Święta" (obecnie do kupienia jedynie na portalach aukcyjnych). Brytyjski pisarz i ilustrator stworzył książkę niemal idealną. Ośmioletni Oliver pomaga rodzicom pracującym w sklepie z zabawkami. W przerwie biegnie wrzucić do skrzynki list do Świętego Mikołaja. Nie zauważa, że jego przesyłka wyślizgnęła się z puszki i uleciała z wiatrem. Kopertę znajduje rezolutny myszek Winston i postanawia dostarczyć ją do brodacza w czerwonej czapce. Z pomocą gołębicy Edny, rudzika Jerzego, kotki Prudencji i szczura Eduarda maleńki Winston rusza w wir rozgorączkowanego miasta, zwiedziony tym, że Mikołaja widziano w domu towarowym.

Dostajemy rozczulającą opowieść o małym stworzeniu, które budzi w sobie wojownika i może zameldować, że misja została wykonana. Za rok, czyli w drugiej części przygód, podejmie się kolejnego zadania (czyżby święta bez misji były świętami straconymi?). Czytelnik też dostaje listę sprawunków, każdy rozdział kończy się przepisem na ciasteczka z witrażami, serowe gwiazdki czy pomander z pomarańczy. Stylizowane ilustracje i uniwersalne przesłanie o znaczeniu przyjaźni dopełniają dzieła. Książki o Winstonie w zasadzie nie mogą się nie podobać.

Jeśli jednak brzuch już boli od tych uroczych i ociekających lukrem książek, można sięgnąć do adwentówek z Północy. Szwedzcy autorzy zadbają o to, żebyśmy się nie zasłodzili. Poznańskie Wydawnictwo Zakamarki, które upowszechnia skandynawską literaturę dla dzieci, od dekady niemal rok w rok proponuje czytelnikom książki, które choć pachną domowej roboty karmelkami i szafranowymi bułeczkami – zapachami szwedzkiego Bożego Narodzenia – niepokoją i koją jednocześnie. Skandynawscy dziecięcy bohaterowie nie są milusińskimi. Bywają marudni, opryskliwi, docinają innym, czasem wpadają w rozpacz. Ich światu daleko do mitycznej krainy beztroskiego dzieciństwa. Święta, choć bardzo oczekiwane, nie mienią się brokatem i złotem, są jakby przymglone. Nawet jeśli dzieci wierzą w Świętego Mikołaja, wiedzą, iż samo jego pojawienie się nie wystarczy, żeby zmartwienia zniknęły. Brodaty święty nie przyniesie w worku przyjaciela albo rodzica, którego brakuje przy świątecznym stole.

Słodko nie będzie w książce Cecilii Heikkili i Ellen Karlsson „Jak ratowaliśmy Wigilię". Katalizatorem wydarzeń staje się kalendarz, z którego od 1 grudnia aż do ferii codziennie jedno dziecko z zerówki ma zrywać kartkę. Nauczycielka żartuje, że ten, komu przypadnie kartka z Wigilią, musi się nią dobrze opiekować, bo inaczej święta się nie odbędą. Tim bierze żart na serio, ukradkiem zrywa 24 grudnia, przekonany, że to on będzie najlepszym strażnikiem Wigilii. Kiedy chce zwrócić kartkę, okazuje się to misją niemożliwą, bo rzeczony kawałek papieru schowany w kieszeni brudnych spodni trafia do pralki. Razem z przedszkolną samotniczką Esme Tim będzie się musiał bardzo postarać, aby święta jednak się odbyły. To historia dla perfekcjonistów i nadwrażliwców, którzy po niepowodzeniu zalewają się tsunami łez lub spalają się w płomieniach wstydu, nim poszukają pomocy. Rutka, bohaterka „Kosmicznych świąt" Ingelin Angerborn i Pera Gustavssona, wprost prosi Mikołaja o przyjaciela. Wsparcie przychodzi jednak nie z bieguna północnego, ale kosmosu, skąd przybywa niewidzialny jegomość, który żywi się metalem. Trzeba mu wyklarować, czym są święta, ale ciekawsze od bożonarodzeniowych tradycji okaże się poznawanie siebie nawzajem.

Siedmioletni Elof z „Zagadki złodzieja świąt" Lisy Bjärbo i Matildy Ruty też musi uratować Boże Narodzenie. Mama, która sama wychowuje jego i jego siostrę po przedwczesnej śmierci męża, co roku szykuje dla nich kalendarz adwentowy z zagadkami. Ale tym razem wszystko idzie na opak, ktoś zostawia w śniegu tajemnicze ślady i kradnie atrybuty świąt. Na dodatek mama spotyka się z nowym mężczyzną i zaprasza go wraz z córką na wigilijną kolację. Zanim ten *patchwork* uda się zszyć, bohaterowie będą musieli się pogodzić z tym, że koniec dzieciństwa i żałoby to niekoniecznie apokalipsa. I uwierzyć, że żaden złodziej nie ukradnie wspomnień i czułych myśli o tych, którzy odeszli, o ile na to nie pozwolimy.

W „Hurra, są Święta!" Ulfzaa Nilssona i Emmy Adbåge na sprzedawany w mediach obrazek sytego Bożego Narodzenia mamy popatrzeć oczami Rufusa, prosiaka, który uciekł z transportu do rzeźni, gdzie miano z niego zrobić polędwicę i golonkę na świąteczny obiad. Ocalały wieprz spotyka ferajnę wyrzutków: kotkę Kici Kici oraz myszy Petterssona i Anderssona. Skłotują opuszczony dom, w którym znajdują książkę o Bożym Narodzeniu. Postanawiają przeżyć je jak należy, czyli tak, aby nikt nie został daniem głównym. Dotrwanie cało do świąt będzie wymagało międzygatunkowej empatii, „bo – jak przytomnie zauważa Rufus – każde zwierzę to inna osoba". Dla dorosłych będzie to „Folwark zwierzęcy" opowiedziany na opak.

U Nilssona zwierzęta ratują święta przed ludźmi, a we „Wierzcie w Mikołaja!" Lotty Olsson i Benjamina Chauda dzieci muszą uratować Boże Narodzenie przed dorosłymi. Ci poddali święta rynkowi i wygodzie na tyle bezceremonialnie, że Święty Mikołaj odmówił współpracy i zaczął mącić. Gasną adwentowe świece i elektryczne gwiazdy betlejemskie. Ktoś wyjada czekoladki z kalendarzy, wykrada bombki z pudełek i figurkę małego Jezusa ze żłobka, a w jej miejsce kładzie... szkielecik. Mamusie i tatusiowie wpadają w panikę, bo przestają kontrolować materialną rzeczywistość. „Dorośli są jak chomiki. Nie przypuszczają, że istnieje coś poza ich własną klatką" – dlatego główna bohaterka, Tina, musi wziąć sprawy w swoje ręce i przekonać Mikołaja, żeby dał ludziom jeszcze jedną szansę.

### Kilkuletnia tęsknota

Traktującą o samotności i stracie książkę adwentową należy starannie dobrać do wieku i wrażliwości dziecka, żeby opowiadana w 25 rozdziałach historia uderzyła w taką strunę, którą młody czytelnik usłyszy, ale której dźwięk go nie przytłoczy.

W tym roku Zakamarki proponują tytuł dla młodszych przedszkolaków, „Święta w Wielkim Lesie" Ulfa Starka i Evy Eriksson. Gburowaty skrzat mieszka w opuszczonym domu i nie ma komu uprzykrzać życia. Nie zauważa, że wiatr porwał z furtki tabliczkę z napisem: „Świetna okazja! Skromny domek w niewielkiej cenie". Czas i deszcz zrobiły swoje i teraz można na niej przeczytać tylko: „Świet, skr, wielk". Tajemniczą tabliczkę przywiewa do Wielkiego Lasu, gdzie znajdują ją rezolutne króliczki. Od leśnych ptaków dowiadują się, że w święta pojawi się w lesie wielki skrzat. Trzeba go godnie ugościć. Sęk w tym, że nikt nie wie, co udobrucha skrzata. Do sprawy wmiesza się najbardziej bożonarodzeniowa szwedzka święta, czyli Łucja, a skrzat, niczym Ebenezer Scrooge, przejdzie wigilijną przemianę.

Z nieco starszymi dziećmi warto przeczytać „Prezent dla Cebulki" Fridy Nilsson i Marii Nilsson Thore. Tata żyjącego w niewielkiej miejscowości Stiga, zwanego Cebulką, mieszka gdzieś w Sztokholmie i nie wie o istnieniu syna. Jego mama spędziła z tym mężczyzną jedną noc, ale nie chciała spędzać życia. Mało zarabia i nie stać jej na to, by Stig znalazł pod choinką wymarzony rower, o czym otwarcie mu mówi. Cebulka nie wypatruje więc na niebie zaprzęgu reniferów. Za to rower stanie się lokomotywą działań chłopca, któremu rówieśnicy dokuczają, bo nie ma taty ani ładnych rzeczy. Czy uda mu się na „pożyczonym-niekradzionym" rowerze koleżanki dojechać do Sztokholmu i odnaleźć ojca? Czy może tatusiowy prezent, o którym marzy, mieszka bliżej, niż mu się wydaje?

O czekaniu na rodziców traktuje też „Grudniowy gość" Siri Spont i Alexandra Janssona, rzecz o doświadczeniu imigranckim, które jest rzeczywistością coraz większej liczby dzieci na świecie. Mama Marty i Fadiego pochodzi z kraju, gdzie toczy się wojna. Nie pada nigdzie jego nazwa, ale można przypuszczać, że chodzi o Syrię i jej chrześcijańską społeczność. Dla Marty ojczyzną jest już Szwecja. Jej bezpieczny świat chwieje się w posadach, kiedy w jej domu zamieszkuje Yusuf. Jego rodzicom nie udało się wydostać z ogarniętego wojną państwa, a największym marzeniem chłopca jest ponownie się z nimi połączyć. Wraz z Yusufem i Martą nurkujemy w głąb dziecięcej wyobraźni, gdzie trolle, talizmany i... zaczarowany chomik

*Okładki książek adwentowych, których polecenia można znaleźć w artykule*

staną się skafandrem ratującym przed zatonięciem w oceanie problemów, za które odpowiedzialni są dorośli.

Magia świąt jest tarczą w najbardziej poruszającym tytule skandynawskiej serii, „Świętach dzieci z dachów" Mårtena Sandéna i Liny Bodén (do kupienia na portalach aukcyjnych). Stella, Mago i Issa uciekają z domu dziecka. 12-letnia Mago chce odszukać swojego ojca, który podobno pracuje w kopalni złota gdzieś w Afryce. Stella i Issa wierzą, że tata Mago przygarnie także ich. Trójka uciekinierów stanie się rozbitkami w Sztokholmie. Ich nauczycielami przetrwania będą tytułowe dzieci z dachów, osierocone istoty, które z pomocą dobrych ludzi stworzyły wspólnotę. Włączają trójkę przybyszy w misję, która pozwoli ocalić święta i nie pozostawić nikogo bez podarunku. Muszą tylko przypomnieć bezdomnemu Niklassonowi, żebrzącemu na dworcu, kim był. Mają na to ni mniej, ni więcej tylko 24 dni.

W szwedzkich książkach adwentowych Charles Dickens spotyka się z Astrid Lindgren i idą w odwiedziny do Hansa Christiana Andersena. A ten, już po terapii, przeprasza czytelników za śniące im się po nocach złe zakończenia jego baśni i prosi następców o więcej nadziei dla małego człowieka. Nie bójmy się, że te książki mogą być zbyt smutne czy refleksyjne dla współczesnych wychuchanych dzieci, hasających na co dzień po popkulturowej krainie jednorożców i superbohaterów. Żaden autor ani autorka książki-kalendarza nie zostawi na lodzie czytelników spragnionych mitycznej magii świąt. Wyposaży ich na ostatnie dni grudnia w kojące szczęśliwe zakończenie, które młodzi odbiorcy docenią, bo wiedzą, że nie przyszło ono bohaterom tak łatwo.

A co ma do tego Boże Narodzenie? Wydaje się tylko dekoracją, na tle której rozgrywają się dziecięce dramaty. Jednych będzie to razić, innych zjedna tym, że książkę mówiącą więcej o świętujących ludziach niż o samych świętach można czytać nie tylko w grudniu, lecz zawsze wtedy, gdy problemy przysłaniają radość z celebrowania życia. A tym, który zarzekają się, że i tak nic ich do świętowania nie przekona, można sprezentować inny hit wspomnianego wyżej Alexa T. Smitha – „Jak Zrzędus chciał zepsuć Święta", komiczną historię o nieznoszącym Bożego Narodzenia stworze, który pod wpływem kilku zbiegów okoliczności będzie musiał zweryfikować swoje ostre sądy. Cóż, na każdego znajdzie się jakaś adwentowa książka.

©MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

STANISŁAW

# Mancewicz:
## *Mistrz świata*

Poczucie godności to emocja. Bardzo nam się podoba to zdanie, choć już słyszymy, że jednak można było się wysilić, pomyśleć i się skupić. Że – słyszymy – każdy szary Czytelnik bez naszych złotych myśli i podpowiedzi jest sobie w stanie taką mądrość wykoncypować i nie pęknąć przy tym z dumy. Owszem. Ale nie o oryginalność nam się dziś rozchodzi, lecz o pewne podsumowanie wzbogacone o element zaskoczenia. Albowiem – to sygnalizujemy z naciskiem – zaskoczenie jest niemałe.

Przez wiele ostatnich lat opinia, że poczucie godności bądź jej nadwyrężanie to najważniejsze emocje wynoszące do władzy polską prawicę, była uważana za banał podstawowy. Tak też się powiada po dziś dzień. Jest to poniekąd oczywista oczywistość. Spostrzeżenie, że prawica na całym świecie opiera swe sukcesy w zdobywaniu władzy na godnościowych oczekiwaniach mas, nie wnosi dziś już niczego nowego i ma charakter poczciwego, a nudnego konstatowania. O godność walczyli i walczą – popatrzmy – bez ustanku, prócz naszych tu nadwiślańskich specjalistów, a to D. Trump czy W. Putin, by wymienić tylko dwóch najważniejszych na świecie pionierów walki z uciskiem, biedą, zmową elit, niesprawiedliwością i wykluczeniem.

No więc godność, ta prosta do uruchomienia emocja, zmieniła świat gruntownie, a manual jej używania okazał się prosty jak schemat cepa. Po prostu godność dostarcza się jednym, odbierając ją innym. I wtedy mamy sukces. Jest to stosunkowo niedroga i niekłopotliwa operacja, jest w niej bowiem coś z *perpetuum mobile*, coś z urządzenia działającego wbrew paradygmatom fizyki czy może samonakręcającego się zegarka. Sam chodzi i tyle, ale, co ważne, chodzi coraz szybciej. Z arcyciekawych zabaw godnością wypada wymienić kilka tych, które mogłyby umknąć uwadze ludziom pobieżnie obserwującym samych siebie. Zacząć wypada od aplikowania czującym się niekomfortowo wiadomości, że właśnie zapadły na świecie wiążące – zwłaszcza najuboższych – decyzje, iż mają jeść owady. Że – idźmyż dalej – sfera Amora i Wenery w ich życiu będzie skrupulatnie regulowana przez, dajmy na to, Parlament Europejski (lubimy hasło: „Tu jest Polska, nie Europa!"). Że jazda samochodami spalinowymi zostanie zabroniona, że jazda konno jest nieetyczna, że jazda na rowerze jest obowiązkiem. Nie tak dawno b. Gospodarz pojechał do lasu i ostrzegł ludność Polski, że godność grzybiarza polskiego będzie brutalnie gwałcona przez grzybiarza niemieckiego.

Czy to było śmieszne? Nie dla wszystkich. Samiśmy zadrżeli, a wiele milionów ludzi w kraju poczuło, że ich godność w lesie zostanie stłamszona. Dlatego, popatrzmy, PiS wygrało wybory. No właśnie. Wygrało. Czas zatem na zapowiadane podsumowanie z elementem zaskoczenia. Ponieważ partia walki o godność wygrała, p. A. Duda niezwłocznie polecił M. Morawieckiemu sformowanie rządu na następną kadencję. I ten zabrał się raźno do dzieła. Niestety.

Trzeba tu głośno rzec, że nigdy za naszej pamięci żadne siły ani tutejsze, ani obce, ani tęczowe, ani żydowskie, ani masońskie, ani europejskie, ani ciemne, ani jasne, ani niemieckie, ani rosyjskie, ani inuickie – nikt nigdy nie upokorzył tak okropnie i spektakularnie, długotrwale, na oczach wielu milionów ludzi jednego człowieka, jak zrobiła to prawica z M. Morawieckim. Od wielu tygodni człowiek ten żyje poza godnością własną i naszą, pomijając godność państwa i urzędu Prezesa Rady Ministrów, żyje takoż poza rzeczywistością i racjonalnością. Ktoś powie, że to gra na czas, na sprawną ewakuację, na spalenie papierzysk. OK, ale cena za te popioły jest – przyznajmy – nieludzka. Ceną jest bowiem niespotykana śmieszność i odebranie cienia godności osobie ludzkiej. To się po prostu nie mogło zdarzyć, ale się zdarzyło. Trzeba przyznać, że jeśli chodzi o tego typu wydarzenia, nasz kraj jest jednak mistrzem świata, a na podium stoimy kompletnie sami. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

MAŁE, CODZIENNE RADOŚCI W RODZINIE PRACOWNIKÓW TVP.

REKLAMA

# „Filozofia nie jest po to, by się jej »uczyć«, ale po to, by się nią karmić”

Nieznane teksty wybitnego filozofa ks. Józefa Tischnera, które tłumaczą świat i ludzkie relacje. Mądra i wnikliwa diagnoza rzeczywistości, w jakiej żyjemy.

Wybór tekstów:
Wojciech Bonowicz

REKLAMA

Fundacja
Dorastaj z Nami

# Dla Ciebie zginął żołnierz, strażak, policjant, a dla nich tata

Pomóż, by chciało im się żyć

www.dorastajznami.org

Poznaj historie dzieci Bohaterów